

JEROZOLIMA – WARSZAWA

Rafał A. Ziemkiewicz o kolejnym
starciu Izraela z Polską

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZEC

NR 26/482 27 CZERWCA–3 LIPCA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Polemika Piotra Semki
w sprawie federacyjnego
państwa polsko-ukraińskiego

WSZYSTKIE
SPRAWKI
PIOTRA KRAŚKI



Dziwactwo naszych czasów
– kontakt ze zwierzętami
ważniejszy od kontaktu z ludźmi?

Inwazja ideologii LGBT na Polskę

CZY UDA SIĘ NAM OBRONIĆ?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 54 000 egzemplarzy

Go Deeper

Automatyczny Diver 200m

Antymagnetyczny. Wodoszczelny. Wyrazny.
Solidna funkcjonalność
w wytrzymałej kopercie Super Titanium™.
Obudź ducha przygody.

 **PROMASTER**



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

Suwerenność jako instrument



PAWEŁ LISICKI

Wostatnim tygodniu premier Mateusz Morawiecki kilka razy zabrał głos na temat suwerenności Polski. Można się tylko cieszyć, bo, szczególnie w obecnej sytuacji międzynarodowej, jej rozumienie ma ogromne znaczenie. Czym jest suwerenność? Najkrótsza, słownikowa definicja mówi, że chodzi tu o zdolność do samodzielnego, niezależnego od innych podmiotów sprawowania władzy politycznej nad określonym terytorium, grupą osób lub samym sobą. Suweren to ten, kto sam podejmuje decyzję. Państwo jest suwerenne, jeśli w kluczowych sprawach wewnętrznych i zewnętrznych samo decyduje o swoim losie. Otóż zdaniem premiera – mówił to podczas spotkania z klubami „Gazety Polskiej” – Polska może utracić tę zdolność na trzy sposoby: gdy Ukraina przegra wojnę z Rosją, jeśli stracimy suwerenność gospodarczą i kiedy PiS przegra wybory parlamentarne. Co ciekawe, premier przeciwstawił też te trzy przypadki trosce o sądownictwo i wymiar sprawiedliwości. Jak powiedział: „Ja bym nie chciał umierać za wymiar sprawiedliwości. Naprawdę. Nie opłaca się. Opłaca się utrzymać przede wszystkim suwerenność Polski, to jest dziś najważniejsze”.

Cóż, można mieć w związku z tym wiele pytań. Pierwsze dotyczy kwestii relacji między suwerennością Polski a przebiegiem wojny na Ukrainie. W późniejszym spotkaniu z polskimi ambasadorami premier postawił tę sprawę jeszcze mocniej, twierdząc, że „suwerenność Ukrainy jest warunkiem suwerenności Polski”. Co ciekawe, twierdzenie to nie wywołało żadnej osobnej dyskusji, tak jakby wielu polskich polityków przyjmowało je za oczywiste. Tymczasem tak nie jest.

Gdyby faktycznie twierdzenie to było prawdziwe, to – jest to

nieubłagana konsekwencja – Polska nie byłaby państwem suwerennym już teraz. Nie można być suwerennym, jeśli warunkiem suwerenności jest suwerenność innego państwa. Owszem, można powiedzieć, że suwerenna Ukraina przyczynia się do zachowania suwerenności Polski. Można twierdzić, że jest ważnym czynnikiem pozytywnym, że wreszcie utrata przez Ukrainę suwerenności bardzo pogarszałyby bezpieczeństwo Polski – wszystko to tezy prawdziwe. Ale jednak to nie to samo. I nie są to kwestie językowe.

Ktoś, kto myśli, że „suwerenność Ukrainy jest warunkiem suwerenności Polski”, zachowuje się, jakby chodziło o jedno państwo albo o ścisły pakt wojskowy. Polska jednak nie jest związana z Ukrainą sojuszem obronnym, takim jak związały się państwa NATO. Tylko w ich przypadku, kiedy to wcześniej podpisano umowy między osobnymi podmiotami, można twierdzić, że zachowanie suwerenności jednego jest tym samym co zachowanie suwerenności pozostałych – do tego zobowiązują państwa podpisane przez nie traktaty. Każde ma obowiązek bronić drugiego w przypadku ataku. Suwerenność jednego w tym sensie zależy od pozostałych. Ukraina jednak częścią sojuszu nie jest. Czy zatem takie postawienie sprawy – albo suwerenność Ukrainy, albo utrata jej przez Polskę – jest roztropne? Więcej – jeśli premier uważa tak, jak mówi, dlaczego polskie wojsko nie walczy z bronią w ręku u boku Ukrainy? Czyżbyśmy patrzyli tylko, jak za naszą suwerenność biją się inni? Zastanawiam się, czy podobnych sformułowań używają pozostali przywódcy państw w Europie Środkowej. Czy któryś z nich tak bezpośrednio i jednoznacznie uzależnia los suwerenności swojego państwa – Rumunii, Czech

czy Węgier – od losu suwerenności Ukrainy? Nie sądzę.

O ile nie mogę do końca zrozumieć tej łatwości, z jaką premier stawia suwerenność Polski na jednym poziomie z suwerennością Ukrainy, o tyle tym bardziej zaskakuje mnie łatwość, z jaką przechodzi do porządku dziennego nad suwerennością polskiego wymiaru sprawiedliwości. W pierwszym przypadku – obrony Ukrainy – wykazuje się nadzwyczajnym radykalizmem; w drugim – ochrony polskiego wymiaru sprawiedliwości przed zakusami Brukseli – całkowitym lekceważeniem. Znowu – czy to jest roztropne? Jak można poważnie traktować deklaracje państwa, które z jednej strony dla obrony drugiego ryzykuje swój los, z drugiej dla obrony swoich własnych praw i własnej autonomii nie jest gotowe walczyć? I jak mam rozumieć to osobliwe przeciwstawienie wymiaru sprawiedliwości suwerenności, którego dokonał szef rządu? Okazuje się, że jego zdaniem można utrzymać suwerenność Polski, tracąc kontrolę państwa nad wymiarem sprawiedliwości. Bo to się nie opłaca? Ale przecież ten wymiar jest jedną z trzech głównych władz, a z pewnego punktu widzenia w ogóle władzą najważniejszą, władzą suwerennego państwa narodowego.

Mam dziwne wrażenie, że owe niespójności i osobliwości można wytłumaczyć tylko jednym – suwerenność jest używana wyłącznie na użytek debaty wewnętrznej. Raz, jeśli chodzi o Ukrainę, ma pobudzić pozytywne emocje ogółu polskiego społeczeństwa i pokazać sympatię dla Kijowa; dwa – w przypadku sporu o wymiar sprawiedliwości jest elementem rozgrywki z konkurentem, czyli ministrem sprawiedliwości. Szkoda, że w Polsce nawet najważniejsze pojęcia zawsze muszą być narzędziami rozgrywek. Powadze państwa i jego suwerenności to nie służy. ©



TEMAT TYGODNIA

43

INWAZJA IDEOLOGII LGBT NA POLSKĘ
Czy obronimy naszą tożsamość?



KRAJ

12 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA KONTRATAKUJE?
Polska – Izrael: dość chowania głowy w piasek?

16 PIOTR SEMKA
LOGIKA WOLNOŚCI
KONTRA LOGIKA LĘKU

19 ROZMOWA
Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
OPERACJA „GŁÓD”

22 ZUZANNA DĄBROWSKA
ROTA BEZ BOGA

24 JAKUB ZGIERSKI
STALINOWSCY POGROBOWCY

26 TOMASZ ROWIŃSKI
KŁAMSTWO ZAKŁĘTE W PLAKATACH

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
IDZIE BIEDA

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NADREDAKTOR

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
ŚMIERĆ NA RECEPTĘ
Kulisy opiatowej epidemii w USA

NIE PRZEGAP

37 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CO PO FRANCISZKU?
Pontyfikat papy Bergoglia dobiega końca

62 ŁUKASZ WARZECHA
FRONT NASTROJÓW SPOŁECZNYCH

66 DARIUSZ WIEROMIJCZYK
ZACIERANIE RÓŻNIC

HISTORIA

70 ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM ŁUKOMSKIM
PISTOLET I PIÓRO
Sergiusz Piasecki – z więziennej celi na salony literackie

ŚWIAT

76 OLIVIER BAULT
KLĘSKA MACRONA
Polityczny obraz Francji



80 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA KTÓRYM FRONCIE WYGRYWAJĄ UKRAIŃCY, A NA KTÓRYM ROSJANIE?

84 PIOTR WŁOCZYK
NIEDŹWIEDŹ
WCHODZI DO „OGRÓDKA”

EKONOMIA

86 JAKUB WOZIŃSKI
DOCHODOWY WYJĄTEK
Węgry i ropa z Rosji

88 JACEK PRZYBYLSKI
KONTROFENSYWA HUAWEI



ADRES: **TYGODNIK DO RZECZY**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmieł, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torajski, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wolkzyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Zygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład),

Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okladka: **Aliaksandr Mazurkevich/Dreamstime.com**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro,

wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA**:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy.

Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 20 czerwca 2022 r. zmarł,
przeżywszy 102 lata



Józef Władysław Walaszczyk

urodzony 13 listopada 1919 r. w Częstochowie.

Podczas drugiej wojny światowej kierował
fabryką i rodzinnym majątkiem ziemskim
w Rylsku koło Rawy Mazowieckiej.

Od 1940 r. zatrudniał kilkadziesiąt osób
pochodzących z pobliskiego getta
i organizował im schronienie.

W 1941 r. wykupił z niemieckiego więzienia
przy alei Szucha w Warszawie 21 osób
narodowości żydowskiej.

Wielokrotnie przedostawał się na teren
warszawskiego getta,
udzielając tam pomocy głodującym
mieszkańcom.

Heroicznie narażał własne życie, chroniąc
i ratując przed zagładą obywateli polskich
żydowskiego pochodzenia.

Wieloletni wiceprezes Polskiego Towarzystwa
Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Uchonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu
Odrodzenia Polski,
medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”,
Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości,
medalem „Pro Bono Poloniae”
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!
Cześć Jego pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Londyński spleen

Jakoś tak się plecie, że wizyty w stolicy Albionu zawsze odmierzają rozmaite etapy mojego życia. Nic więc dziwnego, że to właśnie Londyn był celem pierwszego mojego wyjazdu za granicę po ponad roku szpitalno-rehabilitacyjnej zamrażarki. Dzięki zaproszeniu od Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego na spotkanie z czytelnikami moich książek mogłem zajrzeć do brytyjskiej stolicy akurat na koniec obchodów platynowego jubileuszu Elżbiety II. Pobić rekord 63 lat panowania królowej Wiktorii aż o siedem lat to nie było co. Nawet „wieczny” Franciszek Józef panował „tylko” 68 lat. Ludzie rodzą się i umierają, a gospodyni pałacu Buckingham niezmiennie subtelnie uśmiecha się z funtowych banknotów.

Królewscy gubernatorzy rozładowywali przez te siedem dekad tysiące konfliktów w krajach Commonwealthu, czyniąc spore poacie świata lepszym miejscem do życia. Od małych wysepek na Pacyfiku do Australii czy Kanady królowa działała i działa kojąco oraz skutecznie niczym uosobienie Pax Britannica.

Coś z tego łagodzącego wpływu zaważyło także na spokojnym

stosunku Brytyjczyków do brexitu. Owszem, Zjednoczone Królestwo zмага się z wieloma kłopotami wynikającymi z rozvodu z Brukselą, ale mało kto wzywa do kolejnych referendów mających odkręcić decyzje wyspiarzy sprzed sześciu lat. Przez ten czas zapowiadano koniec Londynu jako centrum światowych finansów, oderwanie się Szkocji i powrót na klęczkach do Unii. Niedawno wiele polskich gazet zapowiadało koniec politycznej kariery Borisa Johnsona i jego przegraną w wewnętrznym referendum torysów.

Brytyjski premier potrafił jednak przetrwać kolejne kryzysy. Pracowicie zawiera umowy o wolnym handlu z kolejnymi azjatyckimi tygrysami, takimi jak Japonia, Korea Południowa czy Wietnam, i pokazuje, że poza Unią też istnieje życie. Owszem, kością niezgody na linii Bruksela – Londyn jest wciąż status handlowy Irlandii Północnej, ale nastroje secesyjne w Szkocji już mocno osłabły.

I jak tu nie zazdrościć Brytyjczykom ich wiary w swoje siły i wyczulenia na własne swobody? Nie darmo synowie Albionu od 1740 r. śpiewają nieformalny hymn

„Rule Britannia, Britannia rule the waves! / Britons never, ever, ever shall be slaves” („Brytyjczycy nigdy nie będą [niczymi] niewolnikami”).

A czerwiec tego roku to nad Tamizą okazja do wspomnienia 40-lecia finału zwycięskiej wojny o Falklandy. Brytyjczycy pokazali wówczas całemu światu, że są w stanie bronić swoich obywateli nawet na wyspach leżących tysiące mil od Londynu. Argentyńczycy, którzy połaskili się na wyspy zwane przez nich Malwinami, najedli się tylko wstydu. A starsi Brytyjczycy wspominają do dziś, jak zwycięska armada Jej Królewskiej Mości wróciła do Londynu w aureoli triumfatorów. W tamtej atmosferze narodowej fiesty gwiazdor Limahl z zespołem Kajagoogoo śpiewał na teledysku „Too shy” na tle banneru „Welcome Home Boys”. A Margaret Thatcher nigdy nie wyglądała godniej niż w tamtych uroczystych dniach.

Jakby mało było jubileuszy, to akurat w czasie mojej wizyty w Liverpoolu sir Paul McCartney, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, świętował 80. urodziny. Ech, monarchistyczna łąza się w oku kręci... ©©

SĄD: PODRZYNANIE KUKŁY TO SZTUKA

Sąd Rejonowy Poznań-Stare Miasto uniewinnił Marka M., który podczas wyborów Mr Gay Poland przebrany za drag queen wystąpił z lalką upodobowaną na abp. Marka Jędraszewskiego i symulował podrzynanie gardła duchownemu. Sąd uznał, że nie ma wystarczających dowodów m.in. na nawoływanie do nienawiści na tle różnic wyznaniowych i że nie może pełnić funkcji „recenzenta sztuki”. (luz) ©©

CZYTAJ TAKŻE „CZY OBRONIMY NASZĄ TOŻSAMOŚĆ?” NA STR. 43

STREFA WOLNA
PUNTO
OD NIENAWIŚCI

Punto Punto Club
@puntopunto.club

Strona główna

Posty

Wydarzenia

Informacje



Tak naprawdę tej książki nie trzeba zachwalać, bo broni się sama.
Wystarczy zacząć czytać,
żeby zanurzyć się w ciszy,
w milczeniu i w samotności,
gdzie słyhać głos Boga.



w|drodze

Dla czytelników „Do Rzeczy” specjalna cena 36 zł.
Przy zakupie na wdrodze.pl, wpisz kod rabatowy: **hewel***

   wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* oferta ważna do 4.07.2022 r.



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Więcej tego samego

Donald Tusk ogłasza publicznie, że PiS chce zakazać rozwodów, antykoncepcji i aborcji. Klaudia Jachira, posłanka z jego partii, robi w Sejmie cyrk i wiochę, rozrzucając w czasie zaprzysiężenia prezesa NBP papierki imitujące banknoty. Sens jej „protestu” jest niejasny, ale Donald Tusk staje za swoją podwładną murem. Wspiera też skrajnie radykalny projekt aborcji na życzenie od 13. roku życia. Za wsparciem Tuska idzie oczywiście wsparcie opozycyjnych, lewicowo-liberalnych mediów, „Gazeta Wyborcza” zmienia się wręcz w „Gazetę Aborcyjną” – wszędzie te same „argumenty” z czasów Boya-Żeleńskiego o „piekle kobiet” i ta sama demagogia, oparta na całkowicie sprzecznym z ustaleniami nauki ideologicz-

nym założeniu, że dziecko w łonie matki nie jest osobnym życiem, ale częścią jej organizmu. Z tą jedyną zmianą w stosunku do kampanii proaborcyjnych sprzed dwóch dekad, że tamte prowadziło od hasłem „oby aborcji było jak najmniej, ale trzeba zostawić kobiecie taką możliwość, bo czasami to mniejsze zło”, a aborcjonistki dzisiejsze twierdzą, że „abo” to samo dobro, kobieta czuje się po niej zrealizowana i szczęśliwsza, i oby jak najczęściej.

Wszystko to nic nowego, przeciwnie, stale to samo, zgodnie z przypisywaną Einsteinowi definicją głupoty jako robienia po raz kolejny tego samego w taki sam sposób i oczekiwaniu, że za którymś razem da to inny rezultat. Ale poza tym, że powtarzając to

samo, stale zaostrza opozycję retorykę, aż do prymitywnych, wulgarnych bluźnięć, widać jeszcze jedną tendencję. Siedem lat temu brednie o zakazie rozwodów rozpowszechniały PO z anonimowych kont i przez akcje SMS-owe. Trzy lata temu opowiadały o szykowanym zakazie Szczurba z Jońskim. A teraz występuje z takimi rewelacjami sam Tusk.

Jeśli ktoś mimo tego jawnego objawu degrengolady ma wciąż złudzenia, że w PO i jej przystawkach tli się jeszcze jakieś życie rozumne – niech zajrzy w sondaże. PiS traci zwolenników, ale nie na rzecz opozycji, tylko z wolna wyrastającej na „trzecią siłę” partii niezdecydowanych. Nic się PiS tak nie udało jak opozycja. ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Hańba Europy (i nasza)

Dwa dni po wizycie w Kijowie Macrona i Scholza prezydent Zełenski złożył w Radzie Najwyższej wniosek o ratyfikację genderowej konwencji stambulskiej. Po kolejnych dwóch dniach parlament ratyfikację poparł i tak w ciągu niespełna 100 godzin dokonało się to, czego Ukraina nie chciała robić przez poprzednich 10 lat. Konwencję rząd ukraiński parafował w pierwszym roku prezydentury Janukowycza, nie ratyfikował jej ani prezydent Poroszenko, ani – do czasu wojny – prezydent Zełenski.

Unia brutalnie wykorzystała nieszczęście zaatakowanego i niszczonego narodu, spragnionego broni i solidarności, by narzucić mu

zmianę polityki. Sprzeciw Ukrainy miał zaś nie tylko charakter ciągły, lecz także „ekumeniczny”. Ideologię i politykę gender w równym stopniu krytykowali patriarcha Onufry i abp Szewczuk. Choć ich księża służą i giną na froncie w obronie ukraińskiej niepodległości – to ich głos okazał się nieistotny wobec presji unijnych „autorytetów”.

Rzecz przypomina jako żywo los Polski w czasie drugiej wojny światowej. Najpierw obalenie przez Francję prezydenta Wieniawy-Długoszowskiego, potem obalenie przez Wielką Brytanię całego porządku konstytucyjnego Rzeczypospolitej i wysłanie Mikołajczyka do kraju w celu skonsumowania układów jałtańskich. Sojusznicy bywają

straszni dla narodów skazanych na samotną walkę.

My powinniśmy to wiedzieć najlepiej, a jednak władze Rzeczypospolitej – mimo wielokrotnie kierowanych do nich apeli – nie zrobiły nic, żeby wesprzeć sprzeciw Ukrainy czy środkowoeuropejskich państw Unii wobec narzucania genderowej konwencji. Choć było jasne, że waży się kształt Europy, a konkretnie – kulturowe otoczenie Polski. Obowiązkiem polskich władz było powiedzieć, że w Unii Europejskiej, owszem, są kraje przyjmujące ideologię gender, ale są też Litwa, Słowacja, Bułgaria, które jej nie chcą przyjąć. Jeśli i one będą musiały się zmienić, to co pozostanie Polsce? ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Olaf Scholz i Emmanuel Macron
katkują swojego misia kawałkami
Ukrainy



Cezary Krysztopa



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O piłeczce i kinie w Kalkucie

Dawno temu w Londynie pisarz Sasthi Brata opowiedział mi historyjkę ze swego dzieciństwa w Kalkucie. Wraz z kolegami chodził kilkanaście dni z rzędu do kina, ale nie na film, a na pokazywaną wcześniej reklamę. Modelka stojąca za torem kolejowym zabierała się do

nadzieję, że choć raz pociąg się spóźni.

Podobnie i ja wraz z milionami polskich kibiców od lat włączam telewizor, by obejrzeć mecz naszej futbolowej reprezentacji z nadzieją, że tym razem wreszcie zobaczą coś pięknego i podniecającego. Niestety, nasza reprezentacja niemal od dwóch pokoleń w każdym turnieju gra siermiężno-jaskiniowy, beznadziejny futbol. Pewnym wyjątkiem od tej deprymującej reguły były występy naszych piłkarzy na ME 2016, ale wszystko skończyło się katastrofą na mundialu w Rosji. Potem przyszedł smutny Brzęczka, tragiczny farsa z Souzą i kopanina ze Szwecją, dzięki której znów zagraliśmy na MŚ. Prognozy nie są dobre. Belgowie bezlitośnie rozbili nas niedawno 6:1. Ale jesienią, pełni bezpodstawnej nadziei i wiary w sportowe cuda, na pewno znów

gremialnie zasiądziemy przed telewizorami, żeby pooglądać naszych w Katarze.

Być może liczenie na cud to nasza cecha narodowa, głęboko uzasadniona historią, w której naród nieraz podnosił się po klęskach. Znany trener Arsène Wenger, który pracował we Francji, w Japonii i Anglii, napisał w swojej książce, że cechy narodowe w podejściu do futbolu jak najbardziej istnieją: „Gdybym kazał piłkarzom rozpędzić się i próbować rozbić mur głową, Włoch powiedziałyby, że owszem, polecenie wykona, pod warunkiem że trener zrobi to pierwszy. Japończyk po bolesnym zderzeniu z murem by się obraził, a Anglik otrząpałby się po upadku, zaklął i natarł powtórnie”. My chyba jesteśmy trochę jak ten Anglik i Sasthi Brata razem wzięci. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Prognozy nie są dobre. Ale jesienią, pełni wiary w sportowe cuda, na pewno znów zasiądziemy przed telewizorami, żeby pooglądać naszych w Katarze

ściągnięcia T-shirtu, ale wtedy na chwilę widok zasłonił pędzący pociąg. Gdy przejechał, miała już na sobie reklamowany biustonosz. Sasthi z kolegami oglądał tę reklamę kilkanaście razy, mając



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no i rozpoczęły się wakacje. Pewnie wielu z was ma dylemat, gdzie je w tym roku spędzić.

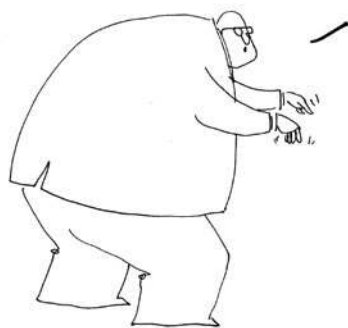
Uspokajamy. Otóż jest szansa, iż jednak w tym kraju będzie znośniej niż zazwyczaj. Dlaczego? – zapytacie.

Widzieliśmy wyniki badań, iż aż jedna trzecia Polaków mniej niż w ostatnich latach planuje spędzić wakacje w tym kraju. Jest to świetna wiadomość, iż jeśli pojedziecie nad polskie morze, to nadal będzie zimno, drogo, zapewne zakwitną głony, ale za to będzie mniej Polaków – czyli jednak bilans na plus.

Zdecydowanie natomiast odradzamy wczasy zagraniczne. Dane wskazują bowiem, iż Polacy raczej wyjadą na zachód i południe Europy, robiąc nam przed nią siarę w chooy. Jeśli więc mimo wszystko wybieriecie się do Rzymu, Barcelony czy nawet Pragi – rozmawiajcie na ulicach po angielsku, iżby nikt was nie wziął za przedstawiciela narodu, którego członkowie noszą skarpety do sandałów, podkoszulki o sobożonobijki opinające się na wielkich brzuchach, piją piwo i palą papierosy.

Zdecydowanie bardziej polecamy wam lato w mieście i nasze wielkie ośrodki. Ci spośród was, którzy na co dzień żyją w niewielkich ośrodkach miejskich bądź wiejskich, mogą w końcu mieć okazję pojechać spokojnie do większego ośrodka, napić się latte albo flat white, przejechać ruchomymi schodami w galerii handlowej lub tramwajem po mieście. Zapraszamy.

Wiesz co, Donald... weź ty tam zobacz, czy cłg w Polsce nie ma...



c e z e x y z r j i t o x z

Dziwi nas, kochani, iż aż 91 proc. mieszkańców tego kraju ma pozytywne zdanie o Ameryce. Co bowiem Ameryka nam dała? Z czego korzystamy?

Of kors wyjąwszy ajfony, starbunia, netflixa, Microsoft, coca-cole, twittera czy mcdonalda (oczywiście mamy na myśli wegańskie zestawy).

Ameryka to jednocześnie siedlisko polskiej mniejszości narodowej, a więc jednej spośród tych mniejszości, których nie powinny obowiązywać przepisy antydyskryminacyjne, wyzysku młodych osobodzieci, które na każdym rogu amerykańskich ulic sprzedają lemoniadę, oraz dzikiego kapitalizmu.

Serio te polskie fascynacje nie przestają nas dziwić, ale skoro mówimy o narodzie, który lubi flaki i disco polo, to i nic dziwnego, że lubi Amerykę.

Jak się pewnie doskonale orientujecie, od zawsze reprezentujemy postawę proekologiczną. Co więcej, promowaliśmy ją jeszcze wtedy, zanim stała się modna. Dlatego z uznaniem i akceptacją oraz wyrozumiałością podchodzimy do unijnego prawa, wedle którego po 2035 r. nie można będzie rejestrować samochodów spalinowych, a więc m.in. tak popularnych na Podkarpaciu polonezów na ropę wprost z szybów koło Gorlic.

Widzieliśmy jednak ostatnio info, iż niemiecki rząd nie chce zaakceptować tego zakazu, a zdanie to wyraził niemiecki minister finansów. Sprawa więc wygląda na pierwszy rzut oka

poważnie i ktoś niemyślący szeroko mógłby to uznać za brak europejskiej solidarności.

Jednak uspokajamy. Jak wiecie, Niemcy zajmują w ramach europejskiej solidarności specjalne miejsce, a więc mogą sobie, co za tym idzie, pozwolić na więcej niż np. ten kraj. Poza tym Niemcy od lat pozostają w awangardzie postępu, a ten kraj – nie pozostaje.

Dlatego tesh nie ma się czego bać. A jeśli chodzi o samochody spalinowe – to jeździć, obserwować, czekać na rozwój wypadków. Ale of kors wykazać się europejską solidarnością w godzinie próby! ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDZ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Jesteś wszędzie

Mateusz, nic nie poradzę. Jeśli Mariusz ma cię nie zdominować, to musisz utrzymać tempo. Czyli jutro tak: spotkanie koła gospodyń wiejskich w Białogardzie o 11, o 12.30 młodzi patrioci w Wałbrzy-

chu, o 13.15 hodowcy kanarków w Białymstoku, o 14 obiad w klubie „Gazety Polskiej” w Zgorzelcu, 16 – otwarcie skweru pod hasłem „Narodowe dbanie o zdrowie” w Nakle, tym nad Notecią, 17.30 – debata o unii polsko-ukraińskiej w Tomaszowie Mazowieckim, tuż przed 20 – „Gość Wiadomości”. Michał, nie moglibyście jakoś tego planować bliżej siebie? Bo wychodzi, że znowu będę musiał się z miejsca na miejsce przenosić tym... A wiesz, że tego nie znoszę.

Wiem.

Rozebrać się trzeba, człowiek czuje, jakby go na kawałki rozrywało.

Nie narzekaj.

Pierwsi odkryliśmy teleportację i to cud, że się wciąż nikt nie domyślił, jak my to robimy, że jesteś wszędzie. A jakby co, to się wypuści plotkę, że masz sobowtóra. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dla nich możliwość represjonowania opozycji jest ważniejsza od członkostwa Polski w Unii Europejskiej”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” o ministrze sprawiedliwości i politykach z jego otoczenia

Zegnamy szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego, witamy szeregowego premiera Mariusza Błaszczaka! Zauważamy przy okazji, że ze względów językowych jest on następcą idealnym. Błaszczafi brzmi bowiem równie groźnie jak Kaczafi.

Przy okazji ciekawa informacja zza kulis na temat „jak to się robi”. Choć oficjalnie Kaczyński SWP poinformował o swym odejściu we wtorek rano, to tak naprawdę dymisję złożył już kilka dni wcześniej. I kiedy pochwalił się PAP, to cały obieg informacji i dokumentów był już załatwiony. Jak widać, kiedy rząd chce być szczelny, to jest nawet wielce szczelny.

Po niespodziewanej deklaracji Kaczafiego, że Błaszczafi zastąpi go „pod każdym względem”, rozpętało się piekło. Namaścił przyszłego prezesa partii czy mówił tylko o rządzie? Gdy dopytaliśmy na Nowogrodzkiej, wieściorki orzekły salomonowo: jeszcze nie ogłoszono delfina, ale bez wątpienia jest to krok w kierunku bycia delfinem.

Nominacja uszczęśliwiła zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Cieszą się wicepremier Sasin oraz marszałek Witek. I koalicjantów, bo Zbyszek Zizou Ziobro też się jakoś nie martwi. Zapytaliśmy pewną ważną wieściorkę o główne zalety Błaszczafiego. „Nie gra na siebie, nie ma trupów w szafie i nie ma bzika na punkcie mediów” – odpowiedziała.

Rząd powiększył się o Agnieszkę Ścigaj, czyli koło Polskie Sprawy. Z tego, co słyszeliśmy, jeśli chodzi o większość rządzącą, to szykują się jeszcze dwa albo trzy transfery. Nie wiemy tylko na razie, czy tylko sejmowe czy także do rządu. Ale znacie nas. Dowiemy się.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Niektórzy ubolewają nad okrutną decyzją Jarosława Gowina, który usunął z Porozumienia posła Andrzeja Sośnierzę za współpracę z rządem PiS. Przypominamy, że Gowin wcześniej usunął za to samo Jarosława Gowina. Drobna różnica – nie z Porozumienia, tylko z rządu PiS.

Zainteresowała nas deklaracja Izabeli Leszczyny z PeŁo, która ogłosiła, że na razie jej partia ma „lepsze

pomysły [od PiS – przyp. panowie GG]; jak wygramy wybory, przedstawimy wszystkie szczegóły”. Nie możemy się doczekać tej koncepcji pracy do parlamentu. „Szanowni Państwo, dzisiaj głosujemy ustawę o podatkach. Proszę nie pytać, co w niej jest, na razie same pomysły, a jak przegłosujecie, to przedstawimy wszystkie szczegóły”.

Na Ukrainie natomiast zakazano działalności prorosyjskiej partii Platforma Opozycyjna. Są wiadomości, które komentują się same. Nas jednak bardziej interesuje co innego – skąd oni na Ukrainie, u diabła, wzięli inspirację do tej nazwy i dlaczego akurat z bliskiej zagranicy?

Co oczywiście przypomnieli nam krążący po sferach dyplomacji polskiej żarcik: PiS eksportuje na Ukrainę broń i amunicję. Co eksportowała tam PeŁo? Sławka Nowaka.

Burza wybuchła, gdy Paweł Kukiz wyraził u Mazurka swoje zniesmaczenie. Mówił o pewnej dziennikarce „alkoholiczka” oraz „pijaczka, która ma partnera polityka”. My tam ludziom nie wytykamy alkoholu. Dopóty, dopóki nie siadają za kółkiem. Jednak fakt, że znana dziennikarka pozostaje w związku z politykiem, jest już dla nas nie bez znaczenia. Tym bardziej, że wiemy, kogo miał na myśli Kukiz.

dwaj panowie



FOT. ROBERT CARDZINSKI

Nie będziemy rzucać żadnych aluzji, gdyż lubimy fantazjować. Pofantazjujmy razem: a co by było, gdyby istniał taki kraj, w którym znana dziennikarka dużego portalu i dużej gazety, w dodatku należących do kapitału zagranicznego, pokochała pewnego polityka, który kiedyś heilował niemieckim funkcjonariuszom na lotnisku we Frankfurcie? Sami zdecydujcie, czytając nasz wytwór czystej fikcji, czy byłoby to bardziej straszne czy bardziej śmieszne.

Dobra fantastyka prosi się o sequel. Oto i on. W drugim tomie wyobraźmy sobie, co by było, gdyby istniał taki kraj, w którym znana dziennikarka dużego portalu i dużej gazety nie tylko pozostaje w związku z pewnym politykiem, ale jeszcze robi z nim niezależne i dociekliwe wywiady dla mediów, w których pracuje. Śmieszne to by już nie było. Ale straszne czy bardzo straszne? Zdecydujcie sami.

Wfantastyce modne są trylogie, zatem i my proponujemy tom trzeci. Wyobraźmy sobie: co by było, gdyby istniał taki kraj, w którym znana dziennikarka dużego portalu i dużej gazety, pozostająca w związku z pewnym politykiem (z którym robi też niezależne i dociekliwe wywiady), jeździła po mieście tym samym autem, które widnieje w oświadczeniu majątkowym tego polityka? Macie rację, to byłoby już tylko śmieszne. I nieostrożne, zatem niemożliwe. Gdyż wszyscy wiedzą, że ukrywający się kochankowie są przede wszystkim bardzo ostrożni.

Tymczasem w PeŁo. Zaczęły się MeetUpy, czyli zorganizowana przez Złego Donalda i Radka Sknerusa konkurencja wobec Campus Polen Der Zukunft Rafcia Czajkowskiego. Mówią na nich, co mówią, szkoda papieru na cytowanie. Ale przy okazji wyszła na jaw zabawna rzecz: w ramach organizacji imprez Radek Sikorski sprawuje nadzór nad Sekretariatem Młodych. Uważamy, że Radek dobrze nadaje się na I sekretarza. A młodzież ma się czego od niego uczyć. Zwłaszcza w czasach inflacji. Otóż jak zapytacie ludzi, którzy znali go w młodości (a znamy takich wielu), to jego przemyslenia od zawsze były spójne i konsekwentne: powtarzał głównie, że nie ma pieniędzy. ©©



Polska

FOT. ADOBE STOCK

Ponieważ do publicznej wiadomości nie podano szczegółów sporu, który doprowadził do wstrzymania przez Izrael wycieczek szkolnych do Polski, nie możemy ocenić z całą pewnością, czy jest przypadkiem, że zbiegł się on w czasie z przesileniem rządowym w Izraelu. Faktem jest, że przesilenie prawie na pewno sprowokuje polityków izraelskich do kolejnych brutalnych ataków na Polskę. Tym razem jednak jesteśmy w znacznie bardziej korzystnej sytuacji niż podczas antypolskiej kampanii po nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. „Pełnoskalowa” agresja Rosji na Ukrainę spowodowała bowiem reorientację geopolityki amerykańskiej, za którą nie nadążyła, przynajmniej na razie, zmiana w polityce Izraela. W ten sposób w kilku strategicznych dla USA kwestiach ich dotychczasowy polityczny pieszczoł zaczął de facto grać w drużynie przeciwników. To dobra okazja dla Polski, by postawić na porządku dziennym kilka istotnych dla nas spraw, które dotąd były przez Amerykę odsuwane na bok lub wyciszane. Jest nadzieja, że zmuszona udzielić Izraelowi lekcji lojalności Ameryka zechce uczynić to, przychylając się do polskich postulatów.



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie jesteśmy już w sporach z Izraelem i diasporą żydowską na tak przegranej pozycji jak do niedawna. Czy jednak jesteśmy przygotowani, żeby tym razem, gdy Polska znowu zostanie opluta albo obrzucona rasistowskimi obelgami, zamiast tradycyjnie kłaść uszy po sobie i prosić nieśmiało o sprostowania, zachować się tak, jak zwykle robili to Żydzi – kontratakować mocno i z całą stanowczością?

Do jesieni roku 2022 w polityce największego światowego mocarstwa, walczącego o utrzymanie swej hegemonii, dominowała nadzieja na porozumienie z Rosją. Ameryka skłonna była jej zaoferować bardzo dużo: status regionalnego mocarstwa i wspólną z Niemcami dominację nad Europą Środkową – co pokazały akceptacja Waszyngtonu dla umowy niemiecko-rosyjskiej na jesieni 2021 r. i zapowiedź zniesienia sankcji nałożonych na Nord Stream 2. W zamian oczekiwał jednak Waszyngton przyłączenia się przez Rosję do obozu amerykańskiego w konfrontacji z rzucającymi jej wyzwanie Chinami; a co najmniej ochłodzenie stosunków z nimi.

Z punktu widzenia amerykańskich realistów, rozumujących w sposób zaprezentowany ostatnio w Davos przez Henry’ego Kissingera, sprawa wydawała się oczywista. Amerykańska mocarstwowość nie zagraża Rosji, niemającej już nawet co marzyć o powrocie do statusu światowego mocarstwa, natomiast budowana mocarstwowość chińska – tak. Eurazja nie jest tak wielka, żeby mogła pomieścić jednocześnie Wielką Rosję i Wielkie Chiny, a rozległa, słabo zaludniona i bogata w surowce Syberia od dawna jest obiektem zainteresowania Pekinu. Na Kremlu jednak myśli się inaczej, niż zakładają realisci: cokolwiek by się działo, za głównego wroga uważa



kontratakuje?

się tam zawsze Zachód, a zwłaszcza Amerykę. Wierny tej zasadzie Putin nie tylko nie odwdzieczył się, lecz także na początku lutego 2022 sformułował we wspólnym oświadczeniu z Xi Jinpingiem coś w rodzaju manifestu cywilizacji (czytaj: satrapii) „odrzucającego dyktat liberalnego Zachodu” i wypowiadającego mu wojnę. Późniejsza o niecałe trzy tygodnie nieudolna próba dokonania „blitzkriegu” na Ukrainie uświadomiła Ameryce, że ta deklaracja napisana została jak najbardziej serio i odzwierciedla strategiczne cele poczuwających się do cywilizacyjnej wspólnoty reżimów. To, jak widzimy, zmieniło podejście Amerykanów do Rosji; miejmy nadzieję, że trwale.

Nadzieja na uświadomienie Rosjanom, że „chińskie marzenie” zagraża ich przyszłości, sprawiała, że Waszyngton patrzył dotąd przez palce na coraz bliższą współpracę swego bliskowschodniego protegowanego z Moskwą. Poza rozpychaniem się Putina w Syrii usprawiedliwiała to izraelskie interesy dotyczące Iranu. To państwo, które gdyby nie było nieustannie tłamszone sankcjami, dawno już sięgnęłoby po lokalną mocarstwowość, jest uważane przez Izrael za największe zagrożenie dla jego państwowości i Ameryka przyjęła ze zrozumieniem, że

przeciwko Teheranowi szuka Jerozolima porozumienia choćby z samym diablem.

TEST LOJALNOŚCI

Gdy jednak Izrael, by zachować żywotność Moskwy, zablokował przekazanie Ukrainie elementów osławionej „żelaznej kopuły” i innych technologii wojskowych, w których używa się należących do niego komponentów, kwestia lojalności Jerozolimy wobec Zachodu stanęła pod znakiem zapytania. Tym bardziej że w nowej sytuacji geostrategicznej w interesie USA zaczęło być osiągnięcie porozumienia z Iranem i pojawiły się już wyraźne sygnały gotowości do „resetu”.

Gdyby założyć, że o polityce Izraela decyduje parlamentarna większość i rząd przez nią wyłoniony, można by obecną sytuację tego państwa uznać za katastrofalną. W istocie jest tajemnicą poliszynela, że wobec chronicznej słabości i dysfunkcyjności izraelskiej demokracji wypracowano pozakonstytucyjne mechanizmy, zapewniające ciągłość polityki tego kraju, i że istotną rolę odgrywają w nim elity wojska i służb specjalnych. Te mechanizmy nigdy jednak nie przeszły jeszcze testu w warunkach takich wyzwań, jakie się w najbliższym czasie szykują.

Sam fakt, że wyznaczone na październik wybory będą już piątymi w ciągu trzech ostatnich lat, jest wystarczająco wymowny. W czterech poprzednich toczyła się zajądła i wyrównana rywalizacja między „niezatapialnym” Benjaminem Netanjahu a, praktycznie rzecz ujmując, całą resztą. Rywalizacja, której motorem byli skrajni nacjonaliści, tacy jak obecny premier Naftali Bennett i przejmujący właśnie jego funkcję Ja’ir Lapid, atakujący go z pozycji syjonistycznego radykalizmu. Ostatecznie rok temu udało się im zmontować kuriozalną koalicję „wszyscy przeciwko Bibbiemu”, dysponującą minimalną przewagą jednego głosu i opartą na umowie o rotacyjnym pełnieniu przez Bennetta i Lapidą urzędu premiera.

Kilka miesięcy temu ogłosił odejście z tej koalicji jeden z nacjonalistów Bennetta, uznając politykę rządu za zbyt proarabską, a ostatnio – arabska posłanka partii lewicowej, stwierdzając po zastrzeleniu przez policję dziennikarki Al-Dżaziry i spektakularnym spalowaniu jej pogrzebu, że sumienie nie pozwala jej dłużej tego rządu popierać. Lapid i Bennett nie mieli innego wyjścia niż rozwiązać parlament i ogłosić nowe wybory, do wygrania których szykuje się liczący na powrót do

■ władzy Netanjahu. Sondaże wskazują, że pewnie mu się uda osiągnąć najwyższy wynik – ale próba skonstruowania parlamentarnej większości może dać skutki równie albo jeszcze bardziej groteskowe.

Izraelska lewica wydaje się równie słaba i odrzucana przez większość społeczeństwa jak Polska; wyborcze spektrum od lat przesuwają się coraz bardziej w stronę radykalnego nacjonalizmu, a linia umiarkowanych polityków i liderów opinii traktowana jest w dyskursie publicznym jak zdrada. Sam jestem dowodem, że niemal dosłowne zacytowanie tez głoszonych przez lewicowych żydowskich intelektualistów, dotyczących nakręcania przez Netanjahu, Lapid, Bennetta i innych syjonistów spirali nienawiści, skutkuje wpisaniem na „listę antysemitów” instytutu Włodzimierza Mojszesa Kantora, skądinąd będącego jednym z symboli zgodnej współpracy żydowskich i rosyjskich nacjonalistów, obliczonej na agregowanie w całym świecie putinowskiej propagandy o wrogich Rosji krajach, w tym Polsce, jako o państwach „faszystowskich” i szczególnie antysemitowskich.

TRESURA NIENAWIŚCI

Słabość lewicy (zastrzec trzeba, że pojęcia „lewica” i „prawica” określają w Izraelu niemal wyłącznie stosunek do ludności arabskiej) jest funkcją wzrastania w Izraelu poczucia zagrożenia przez Arabów oraz zbudowanego poczucia wyższości wobec nich, lecz także skutkiem napływu emigrantów z Rosji. Choć stanowią obecnie nie więcej niż 10 proc. elektoratu, to oni zniszczyli względną równowagę polityczną z czasów Icchaka Rabina. W praktyce rywalizacja wyborcza toczy się tylko o nich (inne elektoraty są w większym stopniu „zagospodarowane” i stabilne) i tylko między syjonistami, i jest to rywalizacja napędzająca ciągle narastanie radykalnego nacjonalizmu. W praktyce przerodziła się w rywalizację, kto – Netanjahu, Lapid czy Bennett – bardziej nienawidzi Polaków i kto powie o nas coś bardziej agresywnego, kto nas mocniej poniży i rzuci najmocniejsze oskarżenia. Wszystko wskazuje, że odsunięcie Netanjahu od władzy przez kuriozalną koalicję było możliwe, ponieważ podpisał on swego czasu „deklarację historyczną” wspólnie z polskim premierem, co pozwoliło Lapidowi ogłosić go renegatem.

Na stałe przesuwano się Izraela ku radykalizmowi ma również wpływ istna tresura nienawiści i paranoja bycia zagrożonym przez wszystkich, jakiej

Czy w warunkach nadchodzącej w Izraelu bardzo zawziętej rywalizacji wyborczej może nie dojść do antypolskich ekscesów? Wydaje się to przesądzone

poddawane jest izraelskie społeczeństwo, a szczególnie najmłodsze pokolenie. Istotnym elementem tego prania mózgów są właśnie owe przymusowe, edukacyjne wycieczki izraelskich licealistów do Polski, które stały się zarzewiem kolejnego sporu.

W założeniu godne pochwały jako poznanie wspólnego dziedzictwa kulturowego, w praktyce wyrodziły się one w istic orwellowskie seanse, podczas których opiekunowie wmawiają oprowadzanym po miejscach Zagłady dzieciom (poza Zagładą nic autorów programu wycieczek nie interesuje), że mordercy ich przodków marzą tylko o tym, żeby zamordować ich. Przestrzegają, by nie oddalać się od grupy, nie przyjmować od Polaków żadnych poczęstunków (będą was próbowali otruci!), zmyślają niestworzone rzeczy o rzekomych antysemitowskich zachowaniach mijanych Polaków. W pisanym na bieżąco komentarzu do sprawy wstrzymania tych wyjazdów przywoływałem film Jo'awa Shamira „Zniesławienie”, który pokazał taką wizytę od wewnątrz, z ukrytej kamery, ale nie jest to jedyne świadectwo wskazujące, że pobyt na „przeklętej ziemi”, jaką stanowimy w narracji historycznej izraelskiego ministerstwa edukacji, ma wprawdzie młodych Żydów w poczucie osaczenia, rozgrzeszające na przyszłość z najbardziej brutalnych czy wręcz zbrodniczych zachowań, jakich mogą zażądać od nich dowódcy.

Stała obecność wśród młodzieży funkcjonariuszy Mossadu z noszoną w widoczny sposób bronią i ostrą amunicją stanowi niezbędny element stworzonego teatru grozy – trudno się więc dziwić, że gdy władze Polski odważyły się wreszcie cofnąć zgodę na tę ostentację, niczym przecieć merytorycznie nieuzasadnioną, a nieoficjalnie postawili pewne żądania co do wycieczkowej edukacji, Izrael program wycieczek zatrzymał. Podstawowe dla zrozumienia sytuacji pytanie, na które nie znam odpowiedzi, brzmi: Czy postawienie przez nasz rząd tych żądań było przy-

padkiem czy też, wolno mieć nadzieję, skutkiem uświadomienia sobie politycznej koniunktury na ukrócenie syjonistycznych roszczeń?

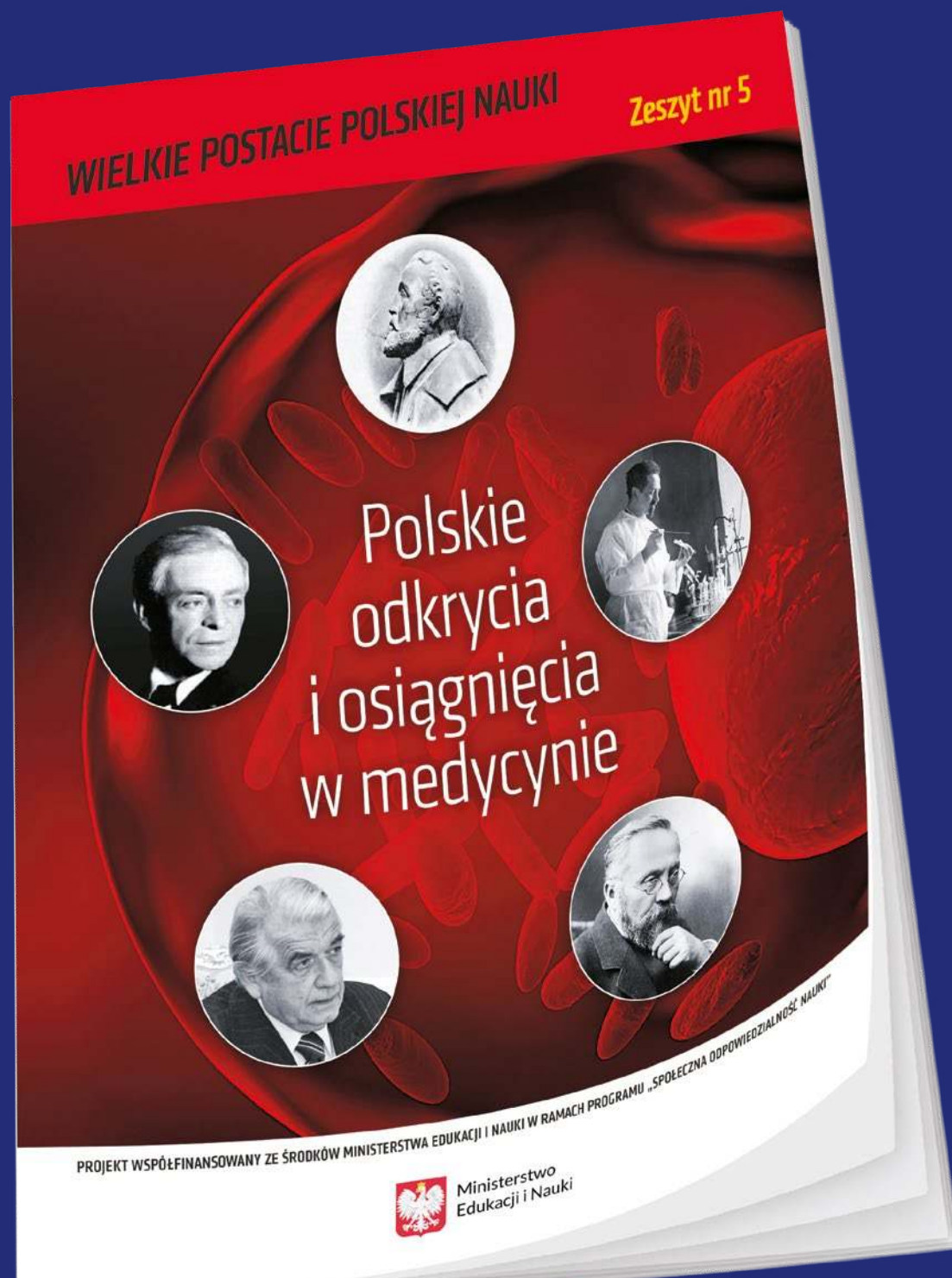
Kilka dni po ogłoszeniu decyzji w sprawie wycieczek obecny ambasador Izraela w Polsce, Jaakow Liwnie, odwiedził KUL i wygłosił tam bardzo przyjazny w tonie wykład o wspólnym dziedzictwie i korzyściach z dialogu, jakby był ambasadorem zupełnie innego państwa niż jego poprzedniczka, która tak brutalnie „przejechała się” po Polakach podczas rocznicowych uroczystości w Auschwitz. Widać więc, że rząd Izraela nie chce eskalacji sporu. Co samo w sobie jest dowodem potwierdzającym postawioną na wstępie tezę, że nie jesteśmy już w sporach z Izraelem i diasporą żydowską na tak przegranej pozycji jak do niedawna.

SPODZIEWAJMY SIĘ ATAKÓW

Czy jednak w warunkach nadchodzącej rywalizacji wyborczej, bardzo zawziętej, bo o władzy rozstrzygnąć może dosłownie każdy głos, toczonych przez skrajnych nacjonalistów o skrajnie radykalnych wyborców – wszystkich od lat przyzwyczajonych do używania jako totemu nienawiści „polskich sprawców Holocaustu”, „gorszych od samego Hitlera”, bo wysysających antysemityzm „z mlekiem matki” – może nie dojść do antypolskich ekscesów? Wydaje się to przesądzone.

Należy sobie zadać inne pytanie: Czy jesteśmy przygotowani, żeby tym razem, gdy Polska znowu zostanie opluta albo obrzucona rasistowskimi obelgami, zamiast tradycyjnie kłaść uszy po sobie i prosić nieśmiało o sprostowania, zachować się tak, jak zwykle robili to Żydzi – kontratakować mocno i z całą stanowczością? Czy zdołamy wykorzystać koniunkturę do (ta sprawa wydaje mi się najważniejsza) rozmontowania w USA struktury prawnej, którą tamtejsze lobby żydowskie przygotowało, czekając na okazję do obrabowania Polski z „mienia bezspadkowego” na wzór obrabowania Szwajcarii z „bezspadkowych kont”, tylko na wiele większą skalę? Bez wdawania się w szczegóły przypomnę, że mamy tutaj do wykorzystania podpisaną przez USA pół wieku temu umowę indemnizacyjną. Okazja do jasnego postawienia polskich oczekiwań trafi się na pewno; naszą sprawą jest być przygotowanym do jej wykorzystania.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl e3dd7d64fc

Logika wolności kontra logika lęku



Piotr Semka

Możliwości są dwie – albo będziemy spełniać rosyjskie życzenia, albo szukać sojuszników. Ukraina jest dla Polski dobrym partnerem. Wolę logikę wolności, w ramach której ktoś, kto chce dołączyć do wspólnoty wolnych państw, może liczyć na pomoc innych demokratycznych narodów. I wskazywanie, że Rosję może to rozwścieczyć, jest zawsze logiką akceptowania zachcianek rosyjskiej władzy

Utopia 2022 – publicystyczna mrzonka federacyjnego państwa polsko-ukraińskiego – tytuł na pierwszej stronie „Do Rzeczy” brzmiał niezwykle stanowczo. Jeszcze bardziej jednoznaczne sądy można było znaleźć w tekstach Jana Fiedorczuka i Wojciecha Golonki na temat dylematów Polski w obecnych relacjach z Ukrainą.

„Idea polsko-ukraińskiej federacji może wyglądać atrakcyjnie na papierze, gdy w zaciszu gabinetów rysujemy mapy neojagiellońskiego imperium, jednak konsekwentna realizacja tego projektu oznaczałaby dla Polski prawdziwą katastrofę” – pisał Fiedorczuk. I chętnie sięga po bardzo ostre określenia.

„Koncepcja polsko-ukraińskiego państwa wiąże się ze śmiertelnym zagrożeniem dla naszej wspólnoty narodowej. Urzeczywistnienie tej idei oznaczałoby

destabilizację regionu, gospodarczą zapaść, bezpośredni konflikt z Rosją, osłabienie sprawczości polskich instytucji, a także – bardzo możliwe – pogrzebanie dobrych relacji z samymi Ukraińcami”.

Wszystko to spuentowane sformułowaniem „groźna fantazja”.

PUŁAPKA ZBYT OSTREGO PIÓRA

Jan Fiedorczuk wrzuca bardzo różne teksty i różne wypowiedzi do jednego worka – więc wypada zacząć od podstawowych rozróżnień. Czym innym są wypowiedzi polityków, czym innym opinie publicystów.

A w kwestii wypowiedzi i faktów politycznych mój kolega po piórze podaje jedynie górnolotne określenie prezydenta Andrzeja Dudy o „zaręczeniu obu narodów” oraz fakt konsultacji ministerialnych obu państw. Wypowiedź prezydenta można np. uznać za radość z zasywywania przepaści emocjonalnej między oboma narodami. Przepaści wynikającej z dzielących nasze narody złych wzajemnych doświadczeń z przeszłości. Fakt konsultacji ministerialnych jest naturalny, gdy Polska koordynuje w porozumieniu z USA pomoc dla Ukrainy. Wymaga to ścisłych konsultacji z Kijowem na bardzo

To, co mnie w tekście mojego kolegi po piórze drażni, to metoda srogich zaklęć, i to od razu „na najwyższym C”. Po co szafować określeniami: „śmiertelne zagrożenie”, „groźna fantazja”



wielu polach – od spraw wojskowych, przez współpracę sił policyjnych, do koordynacji związanej z ogromną rzeszą ukraińskich uchodźców. Zresztą podobne spotkania ministrów rządów Polski i RFN odbywały się w epoce rządów PO i nikt ich nie uznawał za wstęp do unii Polski i Niemiec.

Czym innym jest polityka, a czym innym publicystyka.

Zwraca na to uwagę zresztą sama Kancelaria Prezydenta, która najwyraźniej przywołała prezydenckiego ministra Zybortowicza do większej powściągliwości w snuciu planów coraz ściślej współpracy Polski i Ukrainy.

Ale to, co ogranicza polityków, nie obowiązuje publicystów i analityków.

Jan Fiedorczuk może uważać takie poglądy za nietrafne, ale właśnie na tym polega rola publicystów, aby wskazywali na nowe scenariusze dla swoich państw.

To, co mnie w tekście mojego kolegi po piórze drażni, to stosowanie metody srogich zaklęć, i to od razu „na najwyższym C”. Po co szafować określeniami: „śmiertelne zagrożenie”, „groźna fantazja”. Rysowana tak ostrym piórem publicystyka łatwo może zderzyć się z kontrokreśleniami „niebezpieczny eskapizm” czy „głupia krótkowzroczność”.

Nie chcę uczestniczyć w takiej rywalizacji, więc przejdę raczej do kolejnego uściślenia.



Uważam, że sojusz Polski i Ukrainy, niekoniecznie jako federacja, jest kluczowy dla naszego bezpieczeństwa

Jeśli tacy publicyści jak Marek Budzisz piszą o wizji daleko idącego zbliżenia obu państw, to prognozują procesy obliczone długoterminowo – sam Budzisz podaje okres 10 lat. Nikt nie może przewidzieć, jaka będzie sytuacja na Ukrainie za miesiąc, za pół roku czy za dwa lata. Nie zmienia to tego, że bez wskazywania strategicznych szans i celów żadna długofalowa polityka nie jest możliwa.

I małe jest dziś emocjonowanie się, że Polska, wchodząc na drogę współpracy, weźmie na siebie odpowiedzialność za poziom życia Ukraińców a ich zawiędzone nadzieje mogą skłócić oba narody.

To oczywiście, że proces takiego zbliżenia może być długi i pełen niewiadomych. Wymagać będzie mądrości z obu stron i będzie obiektem przeciwdziałania

ze strony Berlina i Moskwy oraz radykałów w Polsce i na Ukrainie.

Ale podstawowa kwestia, która dzieli mnie z Fiedorczukiem i Golonką, to ocena, czy taki alians jest korzystny dla polskiej racji stanu czy też na odwrót – jest dla niej zagrożeniem. Uważam, że sojusz obu państw, niekoniecznie jako federacja, jest kluczowy dla naszego bezpieczeństwa.

I to jest istota sporu. Kwestie „okna możliwości” trzeba realistycznie oceniać na bieżąco. Ale w każdej polityce musi być jakiś element idealizmu i nie musi być to sprzeczne z politycznym realizmem.

TO SE NE VRATI

Jan Fiedorczuk pisze: „Polska jest beneficjentem postzimnowojennego rozdania geopolitycznego. Na prawicy po wielokroć pojawiały się głosy kontestujące obecny porządek, ale – przy wszystkich niekwestionowanych wadach III RP – z perspektywy ostatnich 300 lat walory naszego obecnego położenia są oczywiste. Dlatego też w żywotnym interesie Polski jest podtrzymywanie obecnej burzy całą architekturą państwową i bezpieczeństwa. W momencie proklamowania wspólnego państwa znaleźlibyśmy się w stanie otwartej wojny z Rosją. Cały arsenał Kremla pozostałby wycelowany już nie tylko w Kijów i Lwów, lecz także w polskie miasta. Kraków, Warszawa czy Białystok mogłyby podzielić los Mariupola. Sprawa jest śmiertelnie poważna, „oddziela” nas wyłącznie Białoruś, która

burzy całą architekturę narodowego bezpieczeństwa. W momencie proklamowania wspólnego państwa znaleźlibyśmy się w stanie otwartej wojny z Rosją”.

Rozbierzmy na poszczególne elementy te linie argumentacji. Po pierwsze, to, co Jan Fiedorczuk nazywa „postzimnowojennym rozdaniem geopolitycznym”, zakończyło swój byt w momencie agresji Putina na Gruzję, a ostatecznie wyzionęło ducha w momencie ataku ziołonych ludzików na Donbas i Krym w 2014 r. i wreszcie zniknęło wraz z agresją 24 lutego.

Upadł wtedy dogmat, że Rosja podąży do jakiejś formy kompatybilności z Zachodem.

Podeptano zasadę trwałości powojennych granic zagwarantowaną także przez Moskwę na konferencji w Helsinkach w 1975 r. Teraz Rosja posuwa się wręcz do demonstracyjnych zbrodni wojennych i taktyki wojny totalnej znanej wcześniej z walk w Syrii czy Czeczenii.

Powrót do zimnej wojny skłonił USA do przesunięcia wojsk sojuszu na wschodnią flankę NATO, a teraz do dozbierania Ukrainy.

To, że jesteście sojusznikiem Ukrainy, to nie polski romantyzm z szabelką w dłoni, ale polityka całego obozu Zachodu. Jeśli w tej pomocy posuwamy się dalej niż Portugalia czy Włochy, to dlatego, że wiemy, iż po upadku Ukrainy czołgi z literą „Z” staną na granicy w Medyce i Dorohusku.

Dlaczego nie trzeba tego tłumaczyć w Tallinie, Rydze i Wilnie, ale trzeba to wyjaśniać w Warszawie?

Należy obserwować, jak USA i inne kraje NATO będą dozować pomoc dla Ukrainy, ale nie zmienia to faktu, że przetrwanie niepodległej Ukrainy leży w naszym najgłębszym interesie. A przyjmowanie logiki, że pomoc Ukrainie jest niebezpieczna, bo rozdrażni przeciw nam Rosję, jest naiwnością godną wiedzy o polityce papieża Franciszka.

George Kennan, autor tzw. długiej depechy, która zmieniła politykę USA wobec Stalina po wojnie, często wyjaśniał, że błędem wielu proslonijnych polityków amerykańskich było przekonanie, że konflikty z Sowietami to znak, że

Ameryka zrobiła coś złe. Jak wyjaśniał Kennan – Moskwa jest przeciw Ameryce nie za to, co Ameryka robi, ale za to, czym ona jest.

W tym sensie Polska, uznając prawo Ukrainy do tego, by nie wchodzić w skład uzależnionego od Kremla „ruskiego miru”, stawia nasz kraj w pozycji wroga Rosji. Polska, uznając aspiracje Ukrainy do wolności, jest i będzie przeciwnikiem Rosji dopóty, dopóki ta hołdować będzie neoimperialnej ideologii. A ponieważ Federacja Rosyjska – niczym alkoholik po 10-letnim odwyku epoki Jelcyna – wraca do polityki agresji, to i świat z 1990 r. już nie istnieje. I straszenie potencjałem militarnym Rosji nic nie zmieni.

Jan Fiedorczyk pisze: „W momencie proklamowania wspólnego państwa znaleźliśmy się w stanie otwartej wojny z Rosją. Cały arsenał Kremla zostałby wycelowany już nie tylko w Kijów i Lwów, lecz także w polskie miasta. Kraków, Warszawa czy Białystok mogłyby podzielić los Mariupola. Sprawa jest śmiertelnie poważna, jeżeli uzmysłowimy sobie, że od Rosji »oddziela« nas wyłącznie Białoruś, która wpełchnęła w orbitę moskiewskich wpływów

Mam dla autora tekstu „Przepis na katastrofę” złe wiadomości. Arsenał Kremla już jest wycelowany także w polskie miasta

nie może być traktowana jako bufor oddzielający nas od Rosji. Ponad 400 km polsko-białoruskiej granicy stanowiłoby bramę wjazdową dla rosyjskich wojsk”.

Mam dla autora tekstu „Przepis na katastrofę” złe wiadomości. Arsenał Kremla już jest wycelowany nie tylko w Kijów i Lwów, lecz także w polskie miasta. Kraków, Warszawa czy Białystok, każde polskie miasto mogą podzielić los Mariupola, jeśli Rosja uzna, że dla realizacji swoich celów może skutecznie użyć siły. „Sprawa jest śmiertelnie poważna”, bo od Rosji oddziela nas Białoruś? Już jest „śmiertelnie poważna”, bo państwo białoruskie już jest w pełni podległe Mo-

skwie. Bez jej nadzoru władze w Mińsku zapewne nie urządziłyby wobec Polski miniagresji przy pomocy uchodźców. Kraj Łukaszenki już stanowi bramę wejściową dla rosyjskich czołgów.

Możliwości są więc dwie – albo spełniać rosyjskie życzenia, jak np. Armenia szantażowana przez Moskwę groźbą oddania jej na pastwę Azerbejdżanu, albo szukać sojuszników. Ukraina jako kraj doświadczony w walkach z Rosjanami i z dużym potencjałem poparcia społecznego dla zachowania niepodległości jest dla Polski dobrym partnerem. Nie znaczy to, że idealnym. Nie znaczy to, że nie może w wypadku jakiegoś kryzysu ulec Moskwie. Nie znaczy to, że nie może w końcu zostać sprzedana przez Zachód. Ale na razie Kijów twardo stawia opór. Zachód Ukraińców wspiera może niedostatecznie, ale jednak pomaga i tego się trzymajmy. W naszych sąsiadach lepiej widzieć trwałych sojuszników, a nie straszyc wziętą Ukrainę jako kuli u nogi.

WOŁĘ LOGIKĘ WOLNOŚCI

Wyobraźmy sobie, że jakimś cudem po wybuchu Solidarności w latach 1980–1981 Jaruzelski nie decyduje się na stan wojenny, a Wojsko Polskie grozi Moskwie, że nie będzie bierne w razie inwazji.

Jak czulibyśmy się, gdyby w RFN odezwały się wówczas głosy, by nie wspierać polskiej rewolucji, bo może to rozgniewać Kreml i spowodować, że „sowieckie rakiety zostaną wycelowane na Kolonię i Monachium”?

W dokładnie w takiej samej sytuacji jak ta wymagowana Polska z 1981 r. jest dziś Ukraina. Ja wołę logikę wolności, w ramach której ktoś, kto chce dołączyć do wspólnoty wolnych państw, może liczyć na pomoc innych demokratycz-

nych narodów. I wskazywanie, że Rosję może to rozwścieczyć, jest zawsze logiką akceptowania zachcianek rosyjskiej władzy. Owszem, stoi za Rosją realny potencjał siły. Rosja nie jest kološem na glinianych nogach i wcale nie uważają tak wszyscy ci, którzy chcą pomagać Ukrainie. Ale od realnej oceny siły rosyjskiego niedźwiedzia do gotowości ulegania jej neoimperialnym żądaniom jest jeszcze długa droga.

Wojciech Golonka w tekście „Przestrojenie narracji” przytacza opinię analityka Szymona Wiśniewskiego: „Polacy mają tysiąc pomysłów, jak zniszczyć Rosję, ale ani jednego, jak obok niej żyć”.

Nie, problem w tym, że to Rosja nie umie pokojowo współżyć z sąsiadami. Właśnie rosyjskie MSZ grozi Litwie za to, że ta jako kraj UE dostosowuje się do sankcji unijnych i blokuje część tranzytu kolejowego do obwodu kaliningradzkiego. Litwa to też kraj niemający pomysłu, jak żyć obok Rosji?

Dziś rozprawianie o konfederacji polsko-ukraińskiej jest śmieszne, bo to odległa wizja i tu Jan Fiedorczyk ma łatwe pole do publicystycznych strzałów. Ale jako cel przyszłości może być szansą kolejnego pokolenia. Może Ukraińcy będą tego chcieli, może nie. Może Polacy będą tego chcieli, może nie. Ale rozdzieranie szat z powodu paru publicystycznych tekstów to moim zdaniem przesada. Chyba że ktoś chce Markowi Budziszowi i innym publicystom zakazać pisanie sążnistych upomnień. Wołę spokojną wymianę opinii. I mam nadzieję, że tygodnik „Do Rzeczy” będzie dla takich dyskusji zrównoważonym i dostępnym dla różnych punktów widzenia miejscem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



RYSZARD GROMADZKI: Czy wojna rozpętana na Ukrainie przez Rosję toczy się tylko o powrót „ruskiego miru” na Ukrainę czy też o kontrolę nad strategicznym globalnym zasobem, jakim są ukraiński czarnoziem, ukraińskie zboże?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Rosjanie chcieli tę wojnę rozegrać na różne sposoby, również wywołując kryzys żywnościowy na świecie, który w sposób naturalny może przełożyć się na niepokoje społeczne w krajach, gdzie zacznie brakować żywności. Może także spowodować nową falę ruchów migracyjnych, głównie z Afryki Subsaharyjskiej i Bliskiego Wschodu do Europy. Zapewne analitycy KGB wkalkulowali, podejmując tę wojnę, że żywnością, jej dostarczaniem lub wstrzymywaniem, można kreować globalną politykę Rosji.

Zakładali, że wojna potrwa krótko i uda się bezproblemowo przejąć zasoby Ukrainy. Chodzi zarówno o zasoby kopalne, zakłady przemysłowe, zapasy zbóż i bieżącą produkcję rolną na czarnoziemach. Rosja w oparciu o te zasoby, przede wszystkim ukraińskie zboże, planowała realizować politykę, którą niegdyś prowadził Związek Sowiecki. Sami głodowali, a kraje, które godziły się na ich dominację, jak Kuba, Wietnam czy Angola, mogły liczyć na pomoc.

Skoro „blitzkrieg” na Ukrainie nie wyszedł, a Ukraińcy nadal się bronią, to Rosjanie kradną. Opowiadali mi ukraińscy rolnicy, że tam, gdzie wjeżdżają ruskie czołgi, to za nimi podążają lawety. Wszystko, co nadaje się do wywieżenia, co ma jakąkolwiek wartość, jest wywożone. To, czego nie da się ukraść, jest niszczone w myśl zasady „spalonej ziemi”, którą Rosjanie przejęli od Mongołów i stosowali przez wieki. Reasumując, jednym z głównych skutków wojny wywołanej przez Rosję jest rozszerzenie głodu na świecie.

Rząd w Kijowie szacuje, że Rosjanie ukradli już zboże o wartości 100 mln dol. Odessa, główny port, przez który zboże z Ukrainy wysyłane jest w świat, zamarła z powodu rosyjskiej blokady. Jaki jest udział ukraińskiego zboża w światowym łańcuchu dostaw?

Ukraina jest liczącym się w skali globalnej producentem. Nie największym, bo są kraje, które produkują więcej zboża, ale głównie na własne potrzeby. Ukraina ze względu na dużą powierzchnię upraw, na słynne czarnoziemy, jest ważnym eksporterem żywności. Skala tego eksportu jest na tyle duża, że tworzyło to wcześniej, nie ma co udawać, problemy



Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady ds. Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencji RP, byłym ministrem rolnictwa

rozmawia Ryszard Gromadzki

Operacja „Głód”

Skala ukraińskiego eksportu zboża tworzyła problemy w relacjach z UE. Ten eksport niszczył europejskie rolnictwo, także polskie

w relacjach z Unią Europejską. Ukraiński eksport trafiający do Unii niszczył rolnictwo europejskie, także polskie. W tej sytuacji Ukraińcy, w pewnym sensie, wyspecjalizowali się w eksporcie do krajów Afryki, na Bliski Wschód czy do Azji Wschodniej. Są tam kraje, które są wręcz uzależnione od importu ukraińskiego zboża. Zablokowanie przez Rosjan tego eksportu powoduje, że widmo głodu w różnych częściach świata staje się zjawiskiem realnym. ONZ-owska agenda – Organizacja ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) – szacuje, że w związku z blokadą eksportu ukraińskiego zboża głód dodatkowo zagraża 300–400 mln ludzi.

Myśląc jednak o pomocy w eksporcie lądowym zboża, trzeba trzeźwo patrzeć na możliwości transportu zboża z Ukrainy przez terytorium Polski. Nawet gdyby bardzo sprawnie działał eksport kolej, choć są tu ogromne problemy, które

stwarza choćby inna szerokość torów na Ukrainie i w Polsce, to sprawa jest trudna, by nie powiedzieć, że w oczekiwanej skali niemożliwa. To jest także kwestia przeładunku z wagonów ukraińskich, no właśnie, pytanie: na co? W Polsce praktycznie nie ma wagonów do przewozu zboża, bo kolej z nich zrezygnowała kilka lat temu. Zboże w Polsce jest transportowane przede wszystkim samochodami ciężarowymi. Mówi się o kontenerach. Musiałyby to być jednak kontenery specjalnie do tego przystosowane. Ja takich nie znam. A jak je potem rozładowywać? Łopatami? Nawet gdyby cały ten obieg działał perfekcyjnie, to analitycy szacują, że tak realizowany eksport stanowiłby 15 proc. tego, co Ukraina w czasie pokoju wysyłała w świat statkami.

Zamiast szukać karkołomnych rozwiązań typu silosy budowane gdzieś przy szerokim torze, tranzyt zboża przez Polskę, może trzeba postawić na odblokowanie portu w Odessie. Ja wiem, że wszyscy obawiają się reakcji Rosjan, ale wydaje mi się, że gdyby to były statki pod banderą ONZ, co niedawno zaproponował polski ambasador przy Organizacji Narodów Zjednoczonych Krzysztof Szczerski, czy też krajów NATO, Rosjanie nie odważyliby się ich zaatakować. Dopiero wtedy eksport zboża ukraińskiego może być skuteczny.

Nikt nie kwestionuje obowiązku pomocy Ukrainie. My tymczasem preżyjemy muskuły lub opowiadamy bajki, a tu trzeba patrzeć realnie. Nie dysponujemy infrastrukturą, która pozwoliłaby przewieźć zboże przez terytorium Polski. Nasze porty są nieprzystosowane do skokowego zwiększenia eksportu ponad ilość, którą eksportujemy sami. Problemem jest także to, że nie mamy żadnego państwowego portu do przeładunku zboża. Nabrzeża do załadunku statków w naszych portach są w rękach prywatnych zachodnich firm. Nie wiadomo, czy te firmy będą zainteresowane eksportem ukraińskiego zboża, tłumacząc to tym, że mają swoje kontrakty i terminy. Mogą też zwyczajnie nie być zainteresowane pomocą Ukrainie. I jeszcze jedna, może najważniejsza, kwestia, o której mówię głośno i otwartym tekstem: świetnie, jeśli ukraińskie zboże udałoby się przez polskie terytorium wyeksportować w świat, ale nie ma pewności, że część tego zboża nie pozostanie w Polsce. A jeśli by do tego doszło, to będzie to oznaczać katastrofę dla naszego rolnictwa.

Czyli strzelimy sobie w stopę z rusznicy, organizując taki transfer?

Spadnie cena polskiego zboża, a rolnicy nie będą mieli gdzie go sprzedać. Firmy handlujące zbożem czy produkujące pasze są zainteresowane zbożem z Ukrainy i już je sprowadzają. Na dodatek UE zniósła cła i kontyngenty na import z Ukrainy, którymi do tej pory regulowała obrót z krajami pozaunijnymi. Pojawienie się dużych ilości zboża z Ukrainy, choć minister rolnictwa to bagatelizuje, będzie, co oczywiste, elementem gry politycznej ze strony opozycji i pogorszeniem już i tak nadszarpniętego wizerunku PiS na wsi. Chociaż zdaje sobie sprawę z wykorzystywania tej sytuacji przez opozycję, której de facto na sprawach wsi nie zależy, to jednak moim obowiązkiem – człowieka, który całe życie zajmuje się sprawami polskiego rolnictwa – jest przestrzeganie, żeby nie dopuścić do takiego czarnego scenariusza. Jestem absolutnie przekonany, że polską racją stanu jest pomaganie narodowi ukraińskiemu, ale jednocześnie trzeba mieć świadomość, że ukraińskie rolnictwo zdominowane jest przez zagraniczne agroholidingi, które użytkują dziesiątki milionów hektarów czarnoziemów i są właścicielami wspomnianego zboża. Właścicielami agroholidingów, we współpracy z oligarchami, są Niemcy,

Holendrzy, Chińczycy i Bóg jeden wie, kto jeszcze. To one de facto decydują o eksporcie i na tym zarabia kapitał międzynarodowy, a nie rolnicy ukraińscy. Ja, mówiąc o tych uwarunkowaniach, chcę przestrzec przed zachowaniami naiwnymi, kiedy będziemy przekonani, że pomagamy narodowi ukraińskiemu, a w rzeczywistości będziemy nabijali kabzę zagranicznym korporacjom operującym na Ukrainie.

Wróć do planu budowy wielkich silosów przy granicy z Ukrainą, co zaproponował ostatnio prezydent USA Biden. Nie obawia się pan, że Polska „kupi w ciemno” pomysł Bidena, nie oglądając się na jego skutki i infrastrukturalne braki w imię czystej miłości do Ukrainy?

Te silosy to sprawa bardziej propagandowa niż faktyczna. Po pierwsze, na razie żadnej budowy nikt nie rozpoczął. Po drugie, sam proces budowy silosów zbożowych, nawet gdyby były one składane z jakichś gotowych elementów przywiezionych ze świata, to operacja na wiele miesięcy, a może nawet na dłużej.

Głodu na świecie spowodowanego blokadą Ukrainy raczej w ten sposób się nie zażegna...

Na pewno nie. Zresztą nie pomoże to również Ukraincom w tegorocznych żniwach, które są tuż-tuż. W ciągu miesiąca żadne nowe silosy nie powstaną. Przestrzegam wyraźnie przed masowym wykorzystywaniem polskich silosów, których nie mamy za dużo, bo są one potrzebne polskim rolnikom, a nie żeby zasypać je zbożem ukraińskim.

Pomysł Amerykanów jest może dobry w perspektywie długoletniej. Rozumiem, że chodzi o to, żeby

FOI ALEKSANDRA SZWIECIEL/REPORTER

wywieźć zboże z Ukrainy w bezpieczne miejsce, by chronić je przed tym, że Rosjanie będą chcieli je ukraść, a tam, gdzie nie da się ukraść, po prostu zniszczyć. Powtórzę: jedną sprawą jest ulokowanie ukraińskiego zboża w Polsce na jakiś czas, a zupełnie inną pozostanie tego zboża w Polsce. Do tego nie można dopuścić. Ono ma trafić do Afryki, tam, gdzie ludzie głodują, a nie zniszczyć polskie rolnictwo. Chcemy Ukrainie pomagać, ale musimy mieć też silną gospodarkę, żeby tę pomoc realizować. Jeżeli zniszczymy swoją gospodarkę, której ważną częścią jest rolnictwo, jeżeli produkcja rolna w Polsce spadnie, to nie tylko spowoduje to społeczne napięcia, protesty rolników, lecz także osłabi ekonomicznie Polskę. W jaki sposób będziemy wtedy pomagać Ukrainie, kiedy staniemy się „dziadem”, który sam będzie biedny i pozbawiony możliwości pomocy innym?

Ta pomoc musi być

Zachód powinien odblokować przynajmniej port w Odessie, zapewniając ochronę statków handlowych pod banderą ONZ przez okręty NATO

racjonalna, żebyśmy nie stali się kolejnym upadłym krajem.

Wszystko wskazuje na to, że strategia obecnie realizowana przez Rosję na Ukrainie obliczona jest na totalne wyniszczenie. To długoterminowy plan. A jeśli tak, to czy kryzys żywnościowy spowodowany wojną Putina też będzie miał charakter przewlekły? Nikt nie wie, kiedy produkcja rolna na Ukrainie i jej eksport zostaną przywrócone do poziomu sprzed rosyjskiej agresji.

Niestety, ten czarny scenariusz jest bardzo prawdopodobny. Jeśli wojna wejdzie w stan chroniczny, a tereny wschodniej Ukrainy, gdzie przede wszystkim położone są tamtejsze czarnoziemy, będące spichlerzem Europy i świata, nie będą obsiewane jak w tym roku, ze względu na toczące się tam walki, to kłopoty żywnościowe na świecie będą się pogłębiać, bo skończą się zapasy. Ukraińcy obsiali, co prawda, pola w centrum i na zachodzie kraju, ale bez nawozów i środków ochrony roślin wielkich zbiorów nie można się spodziewać. Podstawowym zasobem ukraińskiego rolnictwa były czarnoziemy na wschodzie kraju. Jeśli Rosja je zajmie i odetnie Ukrainę od Morza Czarnego, pozbawiając ją komunikacji ze światem poprzez porty czarnomorskie, to będziemy mieli wyjątkowo trudną sytuację. Ukraina stanie się państwem kadłubowym o słabej gospodarce, skazanym na biedę i brak perspektyw.

Trzeba robić wszystko, żeby Ukraina tę wojnę

wygrała, żeby odzyskała swoje terytoria. A świat nie powinien tylko ronić krokodylich łez, jaka ta Rosja podła, ale trudno, nie można sobie wyobrazić Europy bez niej i trzeba przejść do porządku dziennego niezależnie od tego, jakie barbarzyństwo uprawia. A takie głosy z Zachodu płyną coraz częściej. Zachód powinien odblokować przynajmniej port w Odessie, zapewniając ochronę statków handlowych pod banderą ONZ przez okręty NATO. Jeżeli świat tego nie zrobi, to wszystkie próby, o których mówimy, będą tylko protezami. Bez szans na skuteczny transfer ukraińskiego zboża do głodującej Afryki.

Luki, jaką w globalnej żywności powoduje brak zboża z Ukrainy, nie da się szybko wypełnić?

Nie ma możliwości jej szybkiego wypełnienia. Kraje, które mają możliwości zwiększenia produkcji żywności, takie jak Polska, powinny tę produkcję zwiększać. To nie tylko konkretny interes gospodarczy, lecz także nasz moralny obowiązek. Tymczasem głupota Unii Europejskiej prowadzi do zmniejszania produkcji żywności. Takie plany można było rozważać w innej sytuacji geopolitycznej, kiedy nie było wojny i odcięcia Ukrainy od światowych rynków. Ograniczanie powierzchni upraw, różne regulacje promujące rolnictwo ekologiczne, zmniejszanie nawożenia czy środków ochrony, polityka odłogowania gruntów uprawnych – to są działania absolutnie szkodliwe.

Zastąpienie z roku na rok niedoboru żywności z Ukrainy jest, oczywiście, nierealne. W rolnictwie wszystko toczy się wolniej, tu planuje się w dłuższej perspektywie, w oparciu o cykle wegetacyjne. Przykład Ukrainy jest wymowny; nie dali rady obsiać pół wiosną – rok mają stracony. Trzeba czekać do następnego, żeby zasiać zboże i mieć nadzieję, że się je zbierze.

Może w długoterminowej perspektywie na świecie zajdą zmiany w produkcji żywności, ale podkreślę raz jeszcze: w najbliższych latach wyrwa spowodowana brakiem żywności z Ukrainy nie będzie do wypełnienia produktami z innych krajów. Na to liczyli Rosjanie. To jest ich charakterystyczny cynizm. Są gotowi na to, żeby ludzie umierali milionami z głodu lub ratowali się masową migracją do bogatej Europy. To bezwzględna gra bandyty, który tę wojnę zaplanował łącznie z klęską głodu na świecie.

W maju w Warszawie obradował 42. Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego. Jako najważniejszy organ władz jest on odpowiedzialny za wyznaczanie kierunków. Instruktorzy decydują o przyszłości organizacji. Po długiej dyskusji – jak relacjonowała Polska Agencja Prasowa – zapadła demokratyczna decyzja o wprowadzeniu do statutu ZHP alternatywnej roty przyrzeczenia harcerskiego. Teraz nowo zaprzysięgani harcerze będą mogli wybrać jeden z dwóch tekstów przysięgi. Pierwsza, oryginalna wersja brzmi: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/posłuszną Prawu Harcerskiemu”. Druga, z której wycięto Boga, ma następującą treść: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Polsce, stać na straży harcerskich zasad, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/posłuszną Prawu Harcerskiemu”.

Władze ZHP wyjaśniają, że alternatywa powstała z myślą o osobach, „które nie są gotowe na określenie swojego wyznania, ale ciągle go poszukują”. I przekonują: „Rozwój duchowy jest bardzo ważnym elementem w pracy wychowawczej ZHP. Chcemy jako organizacja dawać możliwość młodym ludziom szukania swojej drogi, w której wspierają ich instruktorzy i instruktorzy”.

Między wierszami można wyczytać, że odniesienie do Boga jest ograniczeniem w „rozwoju duchowym”. Brzmi to może absurdalnie, lecz jest kolejną odstoną zjawiska, które właściwie zrównało już Europę Zachodnią w sferze moralnej z ziemią, a przez Polskę przetacza się coraz silniejszą falą. Hiperpoprawność polityczna połączona z kasowaniem wiary w Boga i jej przejawów w życiu publicznym. Z jednej strony przedstawia się tłumaczenie, że taka a taka decyzja ma prowadzić do inkluzywności i spełniać hasła typu „Każdy inny, wszyscy równi”, z drugiej zaś, co znamienne, ograniczenia najczęściej uderzają w wiarę. Sprawa wydaje się być o tyle alarmująca, że dotyczy organizacji wyjątkowej, którą w polskiej kulturze, tradycji, ale i współczesności jest harcerstwo.

BOGU I KRÓLOWI

Pierwotna treść przysięgi skauta z 1907 r., autorstwa twórcy ruchu skautowskiego, brytyjskiego generała Roberta Baden-Powella, brzmiała tak:

Rota bez Boga



Zuzanna Dąbrowska

Związek Harcerstwa Polskiego dopuścił alternatywną rotę przysięgi, w której nie ma odniesienia do Boga. Ideowe rozmiękczenie może być początkiem końca tej organizacji

„Przyrzekam na mój honor ze wszystkich sił służyć Bogu i królowi, o każdym czasie nieść pomoc bliźnim, być posłusznym prawu skautowskiemu”.

Rota ZHP na przestrzeni ponad 100-letniej historii zmieniała się wielokrotnie. Odwołanie do Boga po raz pierwszy pojawiło się w 1919 r. W okresie PRL w przyrzeczeniu odwoływano się do Polski Ludowej i socjalizmu (bez odniesień do absolutu). W 1990 r. władze organizacji zatwierdziły dwie rotę – jedną z odwołaniem do Boga, drugą bez. Dwie wersje obowiązywały przez pięć lat, następnie zrezygnowano z „bezbożnej” alternatywy. Do pomysłu dwóch rot powrócono w dyskusjach w 2015 r., czego realizacją są ostatnie decyzje.

– W jednym z listów Robert Baden-Powell, twórca i założyciel skautingu,

napisał: „Jeśli by wasze skautostwo miało być bez Boga, to lepiej, żeby go wcale nie było”. Służba Bogu jest tożsama z ponad 100-letnią tradycją ruchu harcerskiego w Polsce, który założył Andrzej Małkowski i który był jednoznacznie od początku ukierunkowane na wartości chrześcijańskie – mówi „Do Rzeczy” harcmistrz Piotr Rydzewski, komendant Północno-Wschodniej Chorągwi Harcerzy im. św. Michała Archanioła Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. – My jako instruktorzy, czyli wychowawcy, poprzez przykład własny, pracę nad sobą, przysługę, inne elementy metody harcerskiej oraz służbę Bogu i Polsce, wychowujemy dzielnych, prawych i zdolnych do poświęceń młodych ludzi. Jesteśmy organizacją kompleksową, ponieważ stwarzamy warunki do pełnego rozwoju człowieka we wszystkich aspektach: du-



ocenili. Harcerscy kapłani piszą wprost, że wszystko to „z biegiem czasu zaowocuje ateizacją członków Związku i konfliktami o podłożu nie tylko moralnym, ale w ogóle ideowym”.

Etyk ks. prof. Paweł Bortkiewicz nie ma wątpliwości, że efektem wykreślenia Boga z tożsamości będzie upadek organizacji. – To jest albo absurd, albo świadome złe działanie – mówi ks. Bortkiewicz. – Absurd dlatego, że ZHP nie jest niczym innym, jak organizacją kierującą się prawem i posiadającą symbolikę, w których to pojawia się element religijny. Tak było z woli założyciela skautingu, gen. Roberta Baden-Powella. Tak było też z woli tych, którzy idee tę przenieśli na polski grunt, czyli Andrzeja i Olgi Małkowskich. Jeżeli rezygnuje się z tych elementów, to tworzy się organizację alternatywną. Jeżeli nie jest to absurd, to jest to złowrogie działanie, mające na celu zniszczenie ZHP. Wyobraźmy sobie, że w organizacji komsomolców umieszczają się gdzieś odniesienie do Boga. Wtedy nie mamy już przecież organizacji komsomolskiej. Jeśli w ZHP usuwa się Boga, to przestaje ono być harcerstwem – uważa.

Kapelani stawiają w swoim stanowisku bardzo istotne pytanie: Dokąd zmierza ZHP? Ksiądz profesor Bortkiewicz wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy”, że organizacja wpisuje się w globalny trend. – Jest to nurt, który obserwujemy od wielu lat. Można wskazać chociażby na przykład europejski – w preambule Konstytucji dla Europy [dokument przyjęty w 2004 r., który nie został do tej pory ratyfikowany – przyp. red.] zabrakło odniesień do Boga, a znalazło się odwołanie do planety – matki ziemi, którą można potraktować jako symbol „ekologii głębokiej” – mówi ks. Bortkiewicz. – Dokonuje się dezynfekcja życia publicznego z Boga. Dzieje się to w wymiarze politycznym, prawnym i – jak pokazuje przykład ZHP – także organizacji społecznych. Związek, wyzbywając się szlachetnego dziedzictwa, traci tożsamość. Jest to działanie samobójcze.

Mogłoby się wydawać, że skoro trzeba zmienić statut, to do tej pory osoby niewierzące lub poszukujące były w ZHP traktowane jako niepasujące do ogółu, a przez to wykluczane. – Odniesienie do Pana Boga nigdy nie miało charakteru stygmatyzującego – zaznacza poseł PiS Jacek Kurzępa, socjolog, wieloletni instruktor ZHR. – Dziewczeta i chłopcy w wieku kilkunastu lat muszą mieć punkt odniesienia. Nie może być tak, że ich wychowanie

odbywa się w mgławicowej konstelacji niejasności czy wielokierunkowości, która prowadzi na rozdroża. Nie ma powodu, aby w XXI w. jednoznacznie odniesienie do Boga, do wartości chrześcijańskich, będących jednocześnie wartościami uniwersalnymi, postrzegać jako zawadę – przekonuje. I przypomina: – Wśród mnogości NGO-sów harcerstwo było zawsze najbardziej jednoznaczne i wyraziste w sferze wartości organizacji i to stanowiło jego siłę. Jeżeli komuś przeszkadza Pan Bóg w przyrzeczeniu, to nikt nie zmusza go, aby był harcerzem.

**Harcerscy duszpasterze
piszą wprost, że wszystko to
„z biegiem czasu zaowocuje
ateizacją członków Związku
i konfliktami”**

Związek Harcerstwa Polskiego jest większą, choć nie jedyną organizacją harcerską w kraju. Drugą najbardziej liczną jest Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Są także organizacje mniej rozpoznawalne, lecz posiadające bogatą tradycję i dorobek – np. Skauti Europy. Zdaniem Kurzępy problemem jest to, że większość obywateli traktuje harcerstwo jako monolit. – ZHP podjęło radykalną decyzję. Inni pozostają wierni tradycji harcerstwa Baden-Powellowskiego. Niestety, patrzy się przez pryzmat największego. Wielu rodziców może po prostu nie chcieć zapisać swojego dziecka do organizacji, która odcina się od Boga. PR-owsko decyzja ZHP jest niezwykle szkodliwa dla wszystkich harcerzy i skautów – ocenia Kurzępa.

Piotr Rydzewski zapewnia, że w ZHR jest miejsce dla każdego. – Również dla tych, którzy ciągle poszukują swojej wiary, jednocześnie inspirując się Prawem i Przyrzeczeniem Harcerskim – zapewnia. – Harcerstwo jest miejscem, w którym każdy z nas może jeszcze bardziej zbliżyć się do Boga – szczególnie w aspekcie służby, która kojarzy się z podjęciem wysiłku oraz dania czegoś z siebie innym. Służba to nie tylko jednorazowe akcje dające rozgłos – chodzi tu o stałą pracę dla Boga, Polski i drugiego człowieka. W mojej ocenie służba Polsce oraz Bogu jest ze sobą bardzo mocno powiązana.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

chowym, emocjonalnym, intelektualnym i fizycznym.

NIEUCHRONNA ATEIZACJA?

Zmianę w statucie krytycznie ocenili kapelani ZHP. W swoim stanowisku podkreślili, że zmiany wprowadzające alternatywną wersję „czynią niespójnym” cały proces wychowawczy w ZHP. „Mamy wrażenie, że zostały dokonane na zasadzie wyboru tzw. mniejszego zła. Usankcjonowanie zwolnienia się ze służby Bogu podważa tożsamość harcerza polskiego, narusza ponad stuletnią tradycję skautingu stworzonego przez Baden-Powella, jak i harcerstwa Andrzeja Małkowskiego, które było jednoznacznie zorientowane na Boga i wartości chrześcijańskie” – czytamy w stanowisku kapelanów. Zwracają oni także uwagę na zmiany w rocie Obietnicy Zucha (odpowiednik przyrzeczenia starszych harcerzy). „Usunięcie duchowego odniesienia do Boga zawartego w formule »Zuch kocha Boga i Polskę«, stanowiącej pierwszy punkt Prawa Zucha, jest działaniem, które wyczerpuje znamiona nietolerancji, a nawet może być odbierane jako dyskryminacja polegająca na jawnej dechrystianizacji w systemie wychowawczym od początku, czyli od formacji najmłodszych członków ZHP” –



Jakub Zgierski

W odróżnieniu od kawiorowej lewicy Komunistyczna Partia Polski nie opowiada się za reformami kapitalizmu, tylko wprost pisze o konieczności jego likwidacji

5 kwietnia 1989 r. – tego dnia większość Polaków odetchnęła z ulgą, sądząc, że wraz z końcem obrad Okrągłego Stołu wieko nad trumną z polskim socjalizmem zostało domknięte. Co bardziej wnikliwi obserwatorzy wiedzieli jednak, że to wieko należałoby przybić gwoźdźmi, a to dokona się dopiero wraz z odsunięciem od władzy prominentnych postaci PRL na czele z gen. Jaruzelskim czy gen. Kiszczakiem.

Dzisiaj można odnieść wrażenie, że przeżytki PRL (może z wyjątkiem paru dziennikarzy czy pomników czerwonoarmistów) zostały już wyrzucone na śmietnik historii. Wciąż jednak funkcjonuje w naszym kraju Komunistyczna Partia Polski uważająca się za kontynuatorkę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Czy ma w tym rację?

POLSKI RUCH KOMUNISTYCZNY

Początki polskiego ruchu komunistycznego w wydaniu marksistowskim związane są z osobą znanego nam z PRL-owskiego banknotu Ludwika Waryńskiego i założonej przezeń Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii „Proletariat”, zwanej również I Proletariatem albo Wielkim Proletariatem. W strategii działania partii dało się zauważyć zapożyczenia z myśli anarchistycznej, m.in. stosowanie terroru indywidualnego. Fala aresztowań z 1886 r. całkowicie rozbiła ugrupowanie, a sam Waryński zmarł w 1889 r., podczas odbywania katorgi.

W latach 1888–1893 istniała Socjalno-Rewolucyjna Partia „Proletariat” zwana II Proletariatem, a przez przeciwników – Małym Proletariatem. Założyli ją: Marcin Kasprzak, Ludwik Kulczycki i Stanisław Mendelson, w strategii działania stawiając przede wszystkim na walkę przy pomocy strajków. Kulczycki nie był jednak marksistą ortodoksyjnym – krytykował marksizm za jego deterministyczną teorię rozwoju społecznego i centralistyczne

zasady kierowania gospodarką. Kulczycki, po zerwaniu z II Proletariatem, założył w 1900 r. Polską Partię Socjalistyczną „Proletariat”, zwaną III Proletariatem. Dyktaturę proletariatu zamierzała ustanowić przy pomocy anarchistycznej taktyki terroru indywidualnego.

Marksizm reprezentowała Socjaldemokracja Polska, szybko przemianowana na Socjaldemokrację Królestwa Polskiego, istniejąca od 1893 r. Odbudowana w 1900 r. pod nazwą Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy rywalizowała z proniepodległościową Polską Partią Socjalistyczną, sama lekceważąc kwestię niepodległości Polski. Polskiego i Litwy. Uzasadniała to internacjonalistycznymi interesami proletariatu, jak również kwestią chłopską, opierając się na miejskim proletariacie.

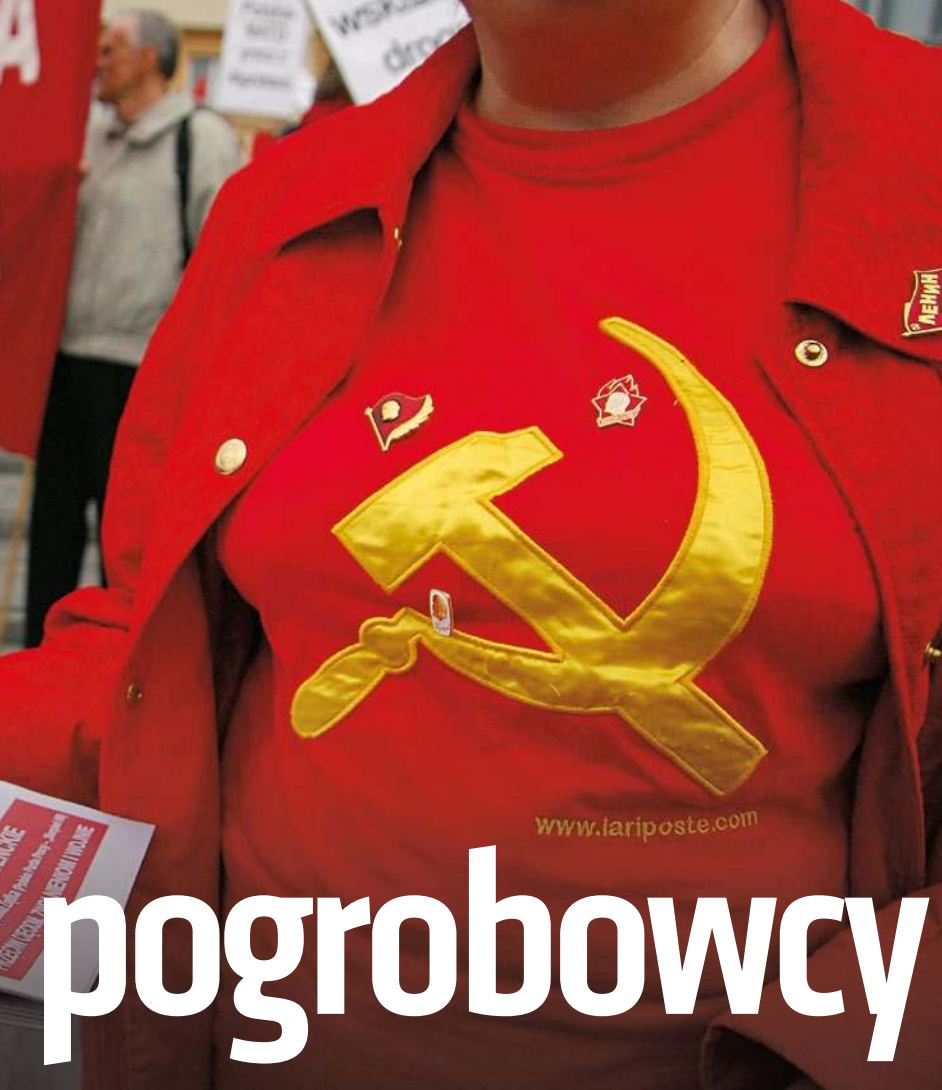
Spirała się z rosyjskimi komunistami, co wyrażało się w odrzuceniu leninowskiej idei kadrowej partii zawodowych rewolucjonistów. Sama SDKPiL opowiadała się za ideą partii jako narzędzia kształtującego rewolucyjną świadomość robotników. Wśród jej najbardziej znanych działaczy znalazły się takie osoby, jak: Róża

Luksemburg, Adolf Warski, Karol Radek, Julian Marchlewski i Feliks Dzierżyński. W 1918 r. z połączenia SDKPiL z Polską Partią Socjalistyczną – Lewica powstała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, której ideologię początkowo stanowił luksemburgizm, stopniowo wypierany przez leninizm, a ostatecznie – stalinizm. W swej działalności stosowała metody terrorystyczne. W 1938 r. w ramach wielkiej czystki została zdmuchnięta ze sceny politycznej na polecenie Stalina, a jej czołowi działacze zamordowani.

W 1942 r. tzw. Grupa Inicjatywna, czyli działacze zrzućeni na spadochronach przez sowieckie lotnictwo, utworzyła Polską Partię Robotniczą z połączenia Związku Walki Wyzwoleńczej i wielu mniejszych ugrupowań komunistycznych z różnych stron okupowanej Polski. Partii podporządkowana była komunistyczna partyzantka spod sztandaru Gwardii Ludowej. Od początku szykowana była na ugrupowanie sprawujące władzę w kraju w interesie ZSRS. W odrodzonej Polsce jej działacze weszli w rządzącą koalicję, zajmując stanowiska głównie w resortach siłowych, dzięki cze-



Stalinowscy



pogrobowcy

FOT. WŁADYSŁAW GĄCZYSKI / EAST NEWS

mu mogli łatwo wykończyć politycznych przeciwników. W 1948 r. połączyła się z lewym skrzydłem PPS, przybierając nazwę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W PRL rządziła jako partia hegemoniczna, której podporządkowano Zjednoczone Stronnictwo Ludowe oraz Stronnictwo Demokratyczne. Została rozwiązana w 1990 r.

Lewe skrzydło PZPR nie zgodziło się z decyzją partyjnej większości o przejściu na pozycje umiarkowanej lewicy. Działacze ci utworzyli w 1990 r. Związek Komunistów Polskich „Proletariat”, który wchodził nawet w skład koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej, jednak opuścił jej szeregi po uchwaleniu konstytucji uznanej przez komunistów za „reakcyjną”. Związek został rozwiązany decyzją sądu w 2002 r. Działacze wywodzący się ze struktur ZKP utworzyli w tym samym roku Komunistyczną Partię Polski. Widać więc, że pomiędzy współczesną KPP a zlikwidowaną PZPR istnieje ciągłość organizacyjna.

PROGRAM WSPÓŁCZESNEJ KPP

Tekst programu przesycany jest cytata-
mi z Marksa oraz sformułowaniami, takimi

jak: „robotnik”, „klasa robotnicza”, „kapitalizm”, „własność prywatna”, oczywiście odmienianymi przez wszystkie przypadki. W odróżnieniu od kawiorowej lewicy partia nie opowiada się za reformami kapitalizmu, tylko wprost pisze o konieczności jego likwidacji, nie bawiąc się w stosowanie eufemizmów. Program minimum liczy tylko 14 postulatów, o których realizację partia ma zabiegać natychmiast.

Ciekawy jest pomysł opuszczenia przez Polskę Unii Europejskiej. Działacze trafnie wyliczyli patologie UE, na czele z pozbawianiem suwerenności państw członkowskich i wykorzystaniem unijnego prawodawstwa do wspierania podmiotów gospodarczych dominujących państw, zwłaszcza Niemiec. Komuniści wskazują też na mnożenie przez Unię absurdów regulacyjnych skutkujących zabijaniem potencjału polskiej gospodarki. Komisja Europejska określiła marchew owocem nie dlatego, że komisarze wagarowali na lekcjach biologii w podstawówce, tylko po to, by polski podatnik dokładał się do dotowania portugalskiego producenta dżemu z marchwi. Analogicznie ślimak został

uznany za rybę, bo tylko w ten sposób francuscy producenci mogli zyskać ułatwienia dla swojego biznesu. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, o co chodzi.

Ponadto KPP żąda opuszczenia przez Polskę struktur NATO, które uważa za instrument dominacji USA na świecie i zdobywania nowych rynków zbytu, źródeł surowców oraz rezerwuarów taniej siły roboczej przez strącanie z tronów niewygodnych dla amerykańskiego kapitału władców w osobie np. Kaddafiego.

Poza powyższymi punktami plan minimum zawiera postulaty służące wyłącznie dokopaniu znienawidzonym kapitalistom, np. wysoką progresję podatkową, skrócenie czasu pracy do maksymalnie sześciu godzin dziennie z bezwzględny egzekwowaniem zakazu, opodatkowanie związków wyznaniowych, ustanowienie rad robotniczych w zakładach pracy czy ukaranie polityków prowadzących prywatyzację w latach 90.

Plan maksimum to oczywiście Polska socjalistyczna – Polska o znacjonalizowanym przemyśle, transporcie, sektorze bankowym i handlu hurtowym. To Polska, gdzie wywłaszczeni będą fabrykanci i obszarnicy.

Polskie prawo zabrania działalności partiom postulującym budowę totalitarnego państwa, a ideologią totalitarną jest m.in. komunizm. Partia zastosowała jednak sprytny chwyt – w swoim programie i statucie odżegnuje się od przemocy i zakłada rewolucję przeprowadzaną jedynie metodami politycznymi, nie zaś terrorystycznymi, które komuniści stosowali dotychczas. Takie rozwiązanie pozwala partii wciąż legalnie funkcjonować. Umykanie przed próbami delegalizacji ułatwia ugrupowaniu to, że symbolika komunistyczna nie jest w Polsce nielegalna, w odróżnieniu np. od symboliki nazistowskiej. Pierwszy wniosek o delegalizację partii złożył w 2013 r. poseł PiS Bartosz Kownacki, ale prokuratura nie dopatrywała się w jej działalności łamania polskiego prawa i wniosek oddaliła. Od tego momentu wobec partii toczonych było jeszcze kilka procesów, ale na szczególną uwagę zasługuje wniosek o delegalizację złożony do Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. przez prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę. Polityk zarzuca partii gloryfikowanie czerwonego terroru oraz wzywanie do obalenia porządku konstytucyjnego w przewrocie wzorowanym na rewolucji październikowej z 1917 r. Możemy więc stać się wkrótce świadkami rozwiązania tego reliktu PRL.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Plakat propagandowy jest jednym z symboli polityki kłamstwa charakterystycznej dla XX w. Praktykowana ona była ze szczególnym upodobaniem przez państwa totalitarne – choć oczywiście nie tylko przez nie – i wciąż stanowi interesujący temat dla badaczy, publicystów, kolekcjonerów i szerszych kręgów odbiorców. Gdy oglądamy reprodukcje propagandowych dzieł w książkach czy albumach, możemy dziwić się, jak to się stało, że wywierały one tak znaczący wpływ na myślenie nowoczesnych przecież ludzi minionej już epoki. Warto jednak skonfrontować się z oryginalnymi egzemplarzami plakatu politycznego, eksponowanymi w środowisku zbliżonym do ich naturalnego. Zawieszone na ścianach każą – przynajmniej do pewnego stopnia – skorygować być może nieco lekceważący sąd o zdolnościach poznawczych ludzkich pokoleń żyjących w naszym kręgu cywilizacyjnym w poprzednim stuleciu.

Z Pawłem Witaszakiem, przedsiębiorcą i kolekcjonerem, spotykam się w jego biurze w rejonie warszawskiego Śródmieścia Południowego. Jest gorące czerwcowe popołudnie. Rozmawiamy o tworzonej od kilku lat przez mojego gospodarza kolekcji plakatu propagandowego. Plakaty te zajmują większość ścian w pomieszczeniach, przez które przechodzę. Ważna część kolekcji to plakaty komunistyczne, szczególnie z okresu kampanii przedreferendalnej roku 1946. Jednym z przewodnich tematów była wtedy sprawa likwidacji Senatu i wątek ten musi szczególnie rzucać się w oczy każdemu oglądającemu. Senat był przedstawiany przez komunistów, czyli tzw. blok demokratyczny – jak mówi inny plakat – jako przeszkoda w procesie budowy sprawiedliwej Polski. Według propagandy z powodu dalszego istnienia Senatu miałyby wrócić np. uciemnienie chłopów pod władzą obszarników. Interesujące rozmówanie. Czy Senat miał doprowadzić do upadku komunistów w Polsce?

W kolekcji znajdują się również plakaty późniejsze, bliższe czasom Solidarności. Te dwie grupy eksponatów – starsza i nowsza – pokazują, jak zmieniły się nie tylko tematyka, lecz także estetyka plakatu i techniki pracy propagandowych artystów. Mimo tych różnic w latach 80. plakat wciąż był żywym narzędziem przekazu. Na osobne rozważanie zasługuje pytanie, czy – pomimo przemian



Komunistyczna propaganda namawiała do głosowania za zniesieniem Senatu
FOT. TOMASZ ROWIŃSKI

Kłamstwo zaklęte w plakatach



Tomasz Rowiński

Mogłoby się wydawać, że propaganda trafia tylko do już przekonanych. A jednak nikt z niej nie rezygnuje. Jej historię pokazuje kolekcja plakatów Pawła Witaszka

w rzeczywistości mass mediów – wciąż nie odgrywa on znaczącej roli.

NIEMIECKI PRZEKAZ

Inną, być może najciekawszą część kolekcji stanowi grupa plakatów niemieckich z okresu wojny skierowanych do Polaków. Powstawały one z tym większą intensywnością, im gorsza była niemiecka sytuacja frontowa. Zaskakuje, że materiały te często – oprócz tego, że są interesujące plastycznie – zostały także dobrze zredagowane. Kilukrotnie upewnijając pytam Witaszka, czy faktycznie – w jednym czy drugim przypadku – mamy do czynienia z niemiecką produkcją. Obecnie na tych plakatach wątki antybolszewickie, dotyczące zbrodni katyńskiej, czy wezwania do udziału w umacnianiu miast przed zbliżającym się frontem mogłyby wyjść spod ręki artystów w II RP czy twórców polskiej propagandy emigracyjnej. Wszystko wskazuje na to, że ta część niemieckiej propagandy musiała przechodzić przez ręce polskojęzycznych redaktorów.

Nieuchronnie narzuca się pytanie o nazwiska tych ludzi. Tych jednak nie znamy. Według słów właściciela kolekcji poprawne używanie języka polskiego nie było jednak regułą niemieckiej propagandy. Trzeba to – jak sądzę – interpretować w dość prostym kluczu: redaktorzy, literaci, ludzie pióra czy po prostu inteligenci zdolni do formułowania myśli w poprawnej polszczyźnie nie byli skłonni do kolaboracji. Tym bardziej nurtuje myśl o motywach tych, którzy jednak dla hitlerowców pracowali. Dlaczego? Czy byli zastraszani czy może kierowały nimi powody finansowe? Może byli to volksdeutsche? Trudno wyobrazić sobie w Polsce istnienie innych ideowych sojuszników Hitlera. – Nie zawsze chyba po prostu można niemiecką propagandę nazywać stricte „hitlerowską”. Próby dogadywania się z podbitymi narodami odbywały się czasem poza wiedzą i wolą Hitlera. A z perspektywy Polaków, którzy w tym uczestniczyli, uzasadnienia mogły być bardziej geopolityczne niż ideologiczne – domniemywa mój rozmówca.

TATRY I POLSKA MYŚL POLITYCZNA

Plakat propagandowy to niejedyna pasja Pawła Witaszka. Miłośnicy Tatr znają go zapewne jako kolekcjonera tatrzańskich starożytności – dawnych kronik, fotografii czy malarstwa związanego z Tatrami i ludźmi, którzy w ich rejonie

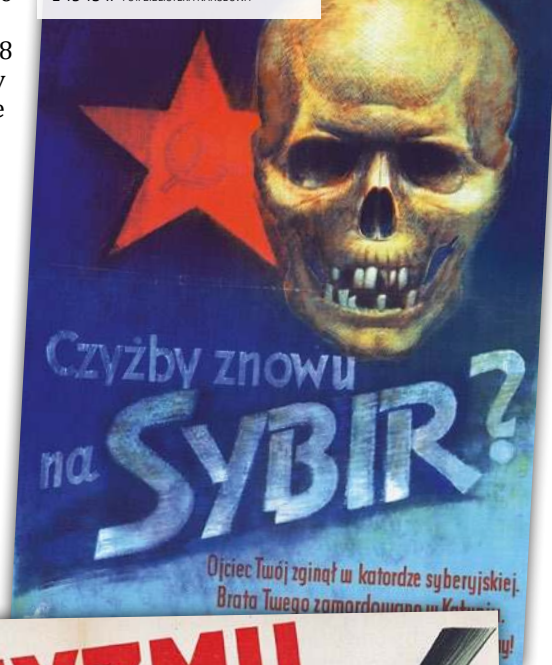
żyli. Choć Tatry nie są tematem naszego spotkania, to rozmawiamy także o nich. To właściwie nieuniknione. Kolekcja tatrzańska, a przede wszystkim wiedza Pawła Witaszka na temat dziejów regionu tatrzańskiego są ogromne i interesujące. „W lipcu 2012 roku [...] po raz pierwszy w życiu znalazłem się na szczycie Tatr Wysokich, na który nie prowadził wymalowany szlak. Poczułem się jak turysta sprzed stu lat albo i więcej. [...] Zapraǳem bardziej te klimaty poznać i tak dotknął mnie »narkotyk gór«, którego działanie, poza potrzebą łażenia po »dzikich ostępach Tatr«, wkrótce przejawiało się także w zbieraniu staroci – map, książek, rycin, a następnie także obrazów” – wspominał kolekcjoner w okolicznościowej publikacji „Gdy Tatry były polsko-węgierskie. Malarstwo tatrzańskie do roku 1918 z kolekcji rodziny Witaszków”, wydanej w roku 2018 w związku z wystawą „Tatry od północy do południa”, która miała wtedy miejsce w Muzeum Tatrzańskim.

Jeszcze inną kolekcją Pawła Witaszka, pozostającą jednak w bliskim związku z plakatem propagandowym, jest zbiór publikacji dotyczący – jak sam mówi – „autentycznej polskiej myśli politycznej”. Czyli tej, która powstawała w okresie międzywojennym, a także jeszcze w czasach rozbiorowych. Ważnym elementem tego zbioru są również wydawnictwa emigracyjne, często mające charakter trudno dostępnych druków broszurowych czy ulotnych.

Dla mojego rozmówcy szybko – gdy tylko kolekcja polityczna

zaczęła się rozrastać – stało się jasne, że niepomijalnym i powracającym punktem odniesienia dla znacznej części polskiej pracy intelektualnej były propaganda i publicystyka komunistyczna. Fakt ten stał się impulsem do rozszerzenia kolekcji o pisma środowisk komunistycznych. Szczególnie przedwojenne wydania nielegalnych komunistycznych gazet są dziś artefaktami trudno dostępnymi. To po prostu prawdziwe białe kruki. Właśnie przy okazji poszukiwań materiałów publicystycznych o komunistycznej proveniencji – jak mi opowiada Paweł Witaszek – zaczął też zwracać uwagę

Niemiecki plakat propagandowy z 1943 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Stalinowscy propagandyści w 1945 r. proponowali oczyścić Polskę m.in. z AK czy NZS i kuteków FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Niemiecki plakat propagandowy z drugiej wojny z polskim żołnierzem mającym pretensje do Chamberlaina FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

■ na pojawiające się na aukcjach plakaty propagandowe. Niektóre z nich od razu w pakietach, świetnie zachowane. I tak zaczęła się nowa kolekcjonerska szczyłka.

Czy w propagandzie jest zawarta jakaś prawda? – zastanawialiśmy się, przypatrując się podczas rozmowy zawieszonym na ścianach biura plakatom. Oczywiście najsukuteczniejsza jest ta propaganda, która odwołuje się do rzeczywistych sentymentów ludzi czy całkiem realnego zagrożenia politycznego. Czy gdy niemieckie plakaty czasów hitlerowskich mówią o Europie zagrożonej przez sowiecką agresję, nie odnoszą się do prawdy? Konkluzja mojego rozmówcy może wydać się zaskakująca, ale trudno było się z nią nie zgodzić. – Najwięcej elementów prawdy widać w części plakatów niemieckich, tylko że Polacy zostali na ten przekaz mocno zaimpregnowani przez okupacyjne zbrodnie – uważa Witaszek. – Opowiadanie przez hitlerowską propagandę o Katyniu w czasie, gdy konto niemieckie było już obciążone znacznie większymi zbrodniami, nie mogło być w żaden sposób skuteczne. Na pewno nie mogło przeciągnąć Polaków na niemiecką stronę. Pamiętajmy, że masowe rozstrzeliwanie zaczęło się w Polsce już na jesieni 1939 r.

Jednak bardzo podobna retoryka na zachodzie Europy – gdzie zbrodnie niemieckie były znacznie mniej odczuwalne, zresztą tak jak doświadczenie terroru – odnosiła pewien skutek. Smutny przypadek Leona Degrella, Walończyka, który sformował dywizję SS, aby u boku Hitlera toczyć antykomunistyczną krucjatę, jest dobrym przykładem skuteczności propagandy. Tym bardziej że sporny pozostaje



Niemiecki antysowiecki plakat propagandowy

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

stosunek żołnierzy Legionu Walońskiego do samego nazizmu.

Czy uprawiana w Polsce propaganda komunistyczna, którą widzimy na plakatach, działała? Paweł Witaszek jest sceptyczny, uważa, że hasła przez nią głoszone miały abstrakcyjny charakter. – Nawet trudno coś powiedzieć o ich relacji do prawdy. Bo cóż to znaczy, że „PPR dąży do podniesienia siły gospodarczej Polski”? PPR postulowało i wprowadzało program uprzemysłowienia naszego kraju. Ale czy dzięki temu rosła siła gospodarcza Polski? Wprowadzenie planu Marshalla spowodowałoby znacznie lepsze efekty w tym zakresie – zauważa mój rozmówca.

Podobnie rzecz miała się ze wspomnianym już Senatem, którym wytrwale strażono. Nie był on ani żadnym zagrożeniem dla władzy komunistów, ani też jego dalsze trwanie – co również przedstawiano jako niebezpieczeństwo – nie mogło wiązać się z fantazjami o powrocie ziemiaństwa. W roku 1946 tego typu retoryka nie miała właściwie żadnych podstaw. – To raczej elity ulegały propagandzie, choć to także nie jest zbyt ściśle. Można powiedzieć, że one po prostu stawiały na tę opcję, która miała większe szanse utrzymać władzę. Procesy te, przynajmniej częściowo, zostały opisane. W warstwach urzędniczych czy inteligenckich była potrzeba posiadania źródeł utrzymania, wynikająca z przyzwyczajenia do pewnego standardu życia. Nie możemy też zapomnieć o realnym skazaniu rozmaitych środowisk antyprawicową i antyendecką ideologią. Skłonności te skutkowały przekonaniem, wedle którego komuniści wydawali się dla wielu wykształconych ludzi realnym sojusznikiem w walce z tzw. ciemnotą – konkluduje Paweł Witaszek.

Wniosek z naszych rozmów, szczególnie w obliczu trwającej wojny na Ukrainie, wydaje się – przez swoją paradoksalność – niezwykle ciekawy. Z jednej strony mogłoby się wydawać, że propaganda trafia tylko do już przekonanych, z drugiej jednak nikt z niej nie rezygnuje. Co więcej, zaniedbywanie propagandowego przekazu jest uznawane za taktyczny błąd. Czyli jednak

zawieszony tu czy tam plakat z odpowiednim przekazem spełniał swoją rolę, tak jak dziś grafiki czy klipy w mediach społecznościowych? Na to wygląda.

Jaką przyszłość dla swojej kolekcji plakatu propagandowego widzi Paweł Witaszek? Jak mówi, myśli o zewnętrznej ekspozycji, o tym, aby kiedyś plakaty opuściły jego biuro i znalazły się w jakimś muzeum lub... restauracji. Czy ten drugi pomysł jest zaskakujący? Chyba przede wszystkim w zestawieniu z możliwą społeczną doniosłością pierwszego. Tego typu projekty były już realizowane, choć można wątpić, czy którykolwiek mógł liczyć na tak imponującą bazę eksponatów.

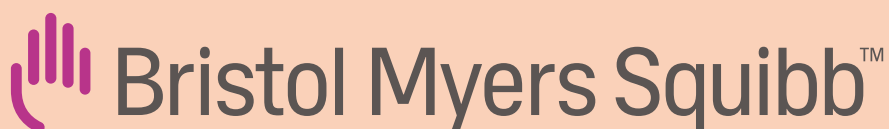
© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia,
kiedy mamy wyzwania na skalę
światową, dzięki współpracy z wieloma
partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki
pacjentom na całym świecie



Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

Idzie bieda



FOT. ADAM STOLCZYŃSKI



Łukasz Zboralski

Polacy już czują nadciągający kryzys. Rezygnują z wakacji, ograniczają zakupy, wybierają tańsze rzeczy. Życie wielu z nas poważnie się zmienia

Rozpoczęły się szkolne wakacje. To sygnał, że rozpoczynają się także letnie urlopy Polaków, które spędzają najczęściej całymi rodzinami. I branża turystyczna po dwóch latach covidowej posuchy powinna zacierać ręce (choć przynajmniej też, że dzięki rządowej tarczy polscy przedsiębiorcy – z wyjątkiem niektórych branż – w sumie mieli wyższe przychody

niż przed zarazą), tymczasem branża ręce załamuje. W tym roku naprawdę niewielu z nas zarezerwowało już sobie miejsca wypoczynku.

Izba Gospodarcza Hotelarstwa Polskiego wykonała ankietę wśród hotelarzy i wyniki są druzgoczące. Aż 65 proc. hoteli ma mniej niż 30 proc. obłożenia na nadchodzący sezon wakacyjny. „W maju 31 proc. hoteli wskazało na obłożenie poniżej 30 proc., taki sam odsetek obiektów podał, że ma powyżej 50 proc. zajętych miejsc. W czerwcu obłożenie poniżej 30 proc. zadeklarowało 44 proc. hoteli, natomiast frekwencję powyżej 50 proc. wskazało tylko 20 proc. obiektów” – relacjonował PAP sekretarz generalny IGHP Marcin Mączyński.

Powód jest prosty. Ludzie wolą oszczędzić pieniądze. Już majówki były dużo gorsze dla branży niż we wcześniejszych latach. Tymczasem inflacja rozpędza się coraz mocniej i zaczynamy

kalkulować oraz poważnie oszczędzać. Sama cena paliwa, która wynosi dziś dwa razy więcej za litr niż rok temu, powoduje, że wyjazd samochodem na wakacje i przejechanie nim tysiąca kilometrów (np. z południa kraju nad Bałtyk i z powrotem) przy niewielkim spalaniu 6 l na 100 km kosztować będzie zamiast 240 zł prawie 500 zł. A przecież dojazd to dopiero początek. Podrożały też noclegi, a i w restauracjach wydać trzeba dużo więcej. W niektórych naprawdę dużo więcej. W jednej ze smażalni ryb na Warmii w miejscowości Pluski – gdzie jedzenie podaje się na plastikowych tackach – za kilogram usmażonego okonia turyści w tym roku zapłacili 149 zł (i opublikowali paragon w sieci).

Polacy muszą liczyć się z wieloma większymi wydatkami, nie tylko na poważnie droższą żywność. Ceny węgla oszalały. Kosztuje dziś 3 tys. zł za tonę i trudno go dostać. A prognozuje się, że

jesienią cena może osiągnąć i 4 tys. zł za tonę. Wszyscy mają więc świadomość, że nadciągają naprawdę trudne jesień i zima. W związku z tym pieniądze najlepiej zachować na wydatki niezbędne do życia. Nie można przecież wylegiwać się tydzień we Władysławowie kosztem tego, że zimą będzie się mieszkać w zimnym mieszkaniu.

CHRUST NIE TAKI ŚMIESZNY

Część już próbuje zaopatrzyć się w alternatywny opał. – Mnie się udało zamówić drewno od stałego dostawcy – opowiada pan Leszek z Jezewa koło Świecia. – Zamówiłem sobie tyle, żeby wystarczyło do ogrzania domu przez cały zimowy sezon. Drewno też podrożało o 100 proc., ale to wciąż taniej niż węgiel, choć roboty przy dokładaniu do pieca będzie więcej – przyznaje.

Jeszcze w maju dyrektor generalny Lasów Państwowych wydał wytyczne, które miały wspierać prywatnych nabywców w zakupie drewna do celów opałowych. Jednak zapotrzebowanie na surowiec było już tak duże, że w niektórych miejscach drewno można odebrać dopiero miesiące po zamówieniu. A ceny skoczyły o 200–300 proc.

Gdy na początku czerwca wiceminister klimatu Edward Siarka przypomniał publicznie, że cały czas Polacy mogą – za zgodą leśniczego – zbierać chrust z lasu, dziennikarze i internauci kpili z tego przez miesiąc. Pojawiały się niezliczone memy i żarty. Tymczasem Polacy rzeczywiście masowo ruszyli do lasów po chrust, czyli najczęściej tzw. gałęziówkę – to, co zostaje na miejscu zrywek po pozyskiwaniu drewna. Konary, kawałki gałęzi kosztowały kilkanaście złotych za metr sześcienny, a obecnie już nawet 40–50 zł i wciąż jest to atrakcyjna cena. Dlatego już kilka dni po wypowiedzi Siarki w niektórych miejscach po chrust utworzyły się komitety kolejkowe. Potwierdziła to już m.in. Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych. W każdym z podległych jej nadleśnictw odnotowano zwiększone zainteresowanie chrustem. Niektóre nadleśnictwa musiały utworzyć listy oczekujących na zezwolenie leśniczego na zbieranie gałęzi – jest na nich zapisanych nawet po 40 osób.

Były już nawet oznaki początku „chrustowego przemysłu” – czyli pojawiały się ogłoszenia o pracę dla ludzi mogących zbierać gałęzie. Lasy Państwowe szybko wprowadziły regulację, zgodnie z którą

drewno opałowe (w tym chrust) musi być zapewnione przede wszystkim dla okolicznych mieszkańców każdego z nadleśnictw.

ROWER ZAMIAST AUTA

Koszmar przeżywają ci – a przecież to najczęstsze sytuacje mieszkańców mniejszych miejscowości – którzy dojeżdżają do pracy samochodami. Nagle stało się to dwa razy bardziej obciążające budżet domowy. Rodacy próbują wybrnąć z tej sytuacji na kilka sposobów. Jedni odkrywają teraz sąsiedzki car sharing i dogadują ze znajomymi z pobliskich miejscowości. Jeśli jeżdżą do tej samej fabryki cztery osoby, to każda z nich bierze zapewnienie dojazdów na siebie na jeden tydzień. W ten sposób ograniczają wydatek na paliwo, ale i eksploatacja samochodu jest mniejsza o dwie trzecie.

Inni, którzy mogą załatwiać sprawunki w bliższych lokalizacjach, po prostu zastępują kula rowerami. Pod koniec maja firma Clear Communication Group (CCG) informowała o wynikach badania IBRIS przeprowadzonego na zlecenie Nationale-Nederlanden. Badano w nim środki transportu w Polsce. 73 proc. respondentów tego badania posiadało własny samochód i prawie 60 proc. z nich przyznało, że ograniczyło korzystanie z auta na rzecz rowerów własnych lub wypożyczonych. Powód jest prosty

codzienne wydatki. Jedna czwarta twierdzi, że mimo obciążenia wydatków i tak ma za mało na podstawowe potrzeby życiowe. Jednak nikt nie może przestać jeść. A ceny produktów spożywczych wciąż idą w górę. Pozostaje jedno – przerzucić się na najtańsze artykuły. I właśnie ten proces zaczyna w Polsce postępować. Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego „głównym kryterium wyboru produktów spożywczych dla 41 proc. Polaków jest obecnie niska cena”. I ogromna większość (76 proc. badanych) obawia się, że ceny artykułów spożywczych będą jeszcze rosły.

Sięganie po najtańsze jedzenie ma swoje konsekwencje i to nie tylko te zdrowotne – jeśli żywność jest marnej jakości. Z danych „Tygodnika Gospodarczego PIE” wynika, że oszczędzanie powoduje, iż konsumenci coraz rzadziej sięgają po lokalną polską żywność. Jeszcze w październiku lokalność produktu, a więc nasz patriotyzm zakupowy, była najważniejszym kryterium w decyzji kupna. Dziś zaledwie 30 proc. Polaków patrzy na kraj pochodzenia produktu i zaledwie 20 proc. zwraca uwagę na to, czy produkt jest lokalny. To oczywiste zagrożenie dla polskiego biznesu.

Oszczędzają też ci, których stać na trochę więcej. Na przykład ludzie, którzy nie gotują w domu i do tej pory chodzili do restauracji (według ARC Rynek

Internauci robili memy i wyśmiewali wiceministra klimatu, który przypomniał, że ludzie mogą za zgodą leśniczego zbierać chrust. Tymczasem w niektórych nadleśnictwach trudno już kupić drewno opałowe, a na zbieranie gałęziówki jest tylu chętnych, że tworzone są listy z zapisami

– oszczędzenie pieniędzy na podróżach i przekonanie, że ceny benzyny wciąż jeszcze będą rosły. „Wizja kolejnych podwyżek mobilizuje coraz większą część społeczeństwa do korzystania z alternatywnych środków transportu” – przyznano w komunikacie z badania.

ZJEMY COŚ TAŃSZEGO

Ograniczamy wydatki na każdym polu, bo pieniędzy w domowych budżetach już nie wystarcza. Według badania ARC Rynek i Opinia ponad 30 proc. rodaków nie jest już w stanie utrzymać się za dotychczasową pensję, więc ogranicza

i Opinia 38 proc. Polaków deklaruje, że przestało wychodzić do kina czy lokali gastronomicznych. Nadal nie gotują sami, ale już zamiast sushi w barze kupują takie dania w sklepach. Według analityków PIE sprzedaż dań gotowych rośnie częściowo kosztem małej gastronomii.

O tym, jak bardzo zaczyna być źle, najlepiej świadczą nieoficjalne informacje od niektórych dyrektorów szkół. Przed końcem roku zauważali, że znacznie więcej uczniów zamiast gotówki od rodziców na zakup jedzenia zaczęło dostawać z powrotem przygotowywane przez nich kanapki.

Na tym świecie pewne są tylko śmierć i podatki” – wynika ze słynnej frazy Benjamina Franklina. Są jednak tacy, którzy płacenia podatków potrafią unikać. I to latami. Jak ustaliło TVP Info, mistrzostwo w tej dyscyplinie miał osiągnąć dziennikarz i prezenter Piotr Kraśko. Prowadzący „Fakty” TVN, a wcześniej „Wiadomości” TVP przez cztery lata miał nie płacić podatków. W latach 2012–2015 nie składał deklaracji PIT ani VAT-7, choć od 2008 r. miał zarejestrowaną działalność gospodarczą.

Służby skarbowe zaległości podatkowych u Kraśki miały się dopatrzeć w 2017 r. dzięki Jednolitemu Plikowi Kontrolnemu (JPK). To system komputerowy wprowadzony w 2016 r., który pozwala na natychmiastowe sprawdzenie, czy przedsiębiorca zapłacił podatek od wystawionych faktur.

Według doniesień TVP Info wstępna analiza JPK wykazała, że Kraśko z samego tylko działalności gospodarczej w badanym okresie mógł zarobić 2,8 mln zł. Po tym, jak skarbowka poinformowała dziennikarza o wszczęciu kontroli, ten miał złożyć zaległe deklaracje VAT-7 za lata 2012–2016 r., a także PIT 36L i 37 za lata 2012–2015. Przy okazji miał ujawnić faktury, do których nie dotarli kontrolerzy – na kwotę 400 tys. zł (miało to zostać uznane za okoliczność łagodzącą). Musiał uiścić zaległy podatek. Jak podało TVP Info, Skarbowi Państwa miał być dłużny blisko 850 tys. zł.

WIDZOM PRZYPOMINAŁ O PIT

Na rozmowę z mediami o swoich zaległościach podatkowych Kraśko się nie zdecydował. Wydał tylko oświadczenie na Instagramie – choć nie były to ani wyjaśnienia, ani przeprosiny w stosunku do widzów, którym to ze szklanego ekranu przypominał o konieczności złożenia PIT. „Wszystkie kwestie podatkowe zostały wyjaśnione w urzędzie skarbowym pięć lat temu” – poinformował Kraśko, wytykając TVP Info naruszenie tajemnicy skarbowej i brak zainteresowania finansami polityków ekipy rządzącej.

Jak to w ogóle możliwe, by przez lata unikać składania deklaracji i płacenia podatków? Tego Wydział Prasowy Ministerstwa Finansów wyjaśnić nie chce. Zasłania się „ograniczeniami prawnymi, wynikającymi z przepisów o tajemnicy skarbowej”. I dodaje: „Powstanie w 2017 r. Krajowej Administracji

Nadredaktor



Agnieszka Niewińska

Piotr Kraśko to nie lada antysystemowiec. Przez cztery lata nie płacił podatków, przez sześć jeździł bez prawa jazdy



FOT. JERZY DUDZEK/ODN/INST NEWS

Skarbowej i wdrożenie w ostatnich latach nowoczesnych narzędzi uszczelniających system podatkowy (np. JPK_VAT) znacząco ułatwia wykrywanie nieprawidłowości w rozliczeniach podatkowych”.

Sęk w tym, że jeśli zwykły Kowalski nie wywiązuje się z zobowiązań wobec urzędu skarbowego, to upomnienie przychodzi do niego błyskawicznie. Tak jest teraz, tak było przed wprowadzeniem JPK. – Nie wiem, a jak u was, ale kiedy zwlekam z zaplaceniem podatku, kiedy mam mandat, kiedy mam zaległość w jakiegokolwiek opłacie, czy to czynsz, VAT, rachunek za prąd, telefon, cokolwiek, to przychodzi jedno pismo, potem drugie, a potem jest zajęcie komornicze. Bywa, że i sąd – zabrała głos Karolina Korwin-Piotrowska, dziennikarka specjalizująca się w tematyce show-biznesowej. – Lubię Piotrkę, ale... Co to, kura, jest za kraj? Ktoś mi to wytłumaczy? Serio, nie ogarniam tego. Jak można przez cztery lata nie zapłacić podatków??? – dodała.

Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha, zwraca uwagę, że nie ma co nadmiernie skupiać się na pojedynczym celebrycie, który nie wywiązał się z obowiązków wobec fiskusa. – W Polsce w latach 90. minionego wieku minister finansów decydował o przyznaniu wybranym firmom przywileju niepłacenia podatków, a innym umarzał te, które były do zaplacenienia. Rządy zwalniały wybranych z płacenia podatków na 10 i więcej lat. Listy uprzywilejowanych były trzymane w tajemnicy przed opinią publiczną. Kiedy jedna z nich wyszła na jaw, to trudno było zrozumieć, czym kierował się minister finansów, przyznając firmom idące w setki milionów korzyści. Normalny obywatel musi nie tylko dochowywać staranności, lecz także pilnować się na każdym kroku w wypełnianiu obowiązków wobec aparatu skarbowego. W jego przypadku nader często nie ma zrozumienia dla zwykłego ludzkiego błędu, nawet ortograficznego. Przez całe lata po zaordynowaniu w Polsce podatku VAT karano przedsiębiorców grzywną za błędy w wystawionej fakturze, w tym ortograficzne. Co innego duża korporacja czy celebryta. Na płacenie podatków albo szybkość ich zwrotu ma wpływ pozycja polityczno-ekonomiczna, a nierzadko także towarzyska – zaznacza Andrzej Sadowski.

GRZYWNA WAGI LEKKIEJ

Niepłacenie podatków to niejedyny doniesienia dotyczące tego, jak Piotr Kraśko ignoruje przepisy. Kraśce dwukrotnie od-

Niepłacenie podatków to niejedyny doniesienia dotyczące tego, jak Piotr Kraśko ignoruje przepisy. Dwukrotnie odbierano mu prawo jazdy

bierano prawo jazdy. Najpierw w 2009 r. Potem w 2014 r. – dziennikarz nie zdał ponownie egzaminu, więc pozostawał bez uprawnień. Mimo to siał za kierownicą.

W grudniu 2021 r. „Super Express” ujawnił, że Kraśko został zatrzymany przez policję w województwie podlaskim. Mundurowi, sprawdzając kierowcę, odkryli, że od sześciu lat ma cofnięte uprawnienia. Dziennikarzowi postawiono zarzut. Przyznał się do winy i dostał grzywnę w niezbyt wygórowanej jak na jego możliwości wysokości – 7,5 tys. zł – i zakaz prowadzenia pojazdów przez kolejny rok.

Okazało się zresztą, że w sierpniu 2016 r. też został zatrzymany podczas jazdy bez uprawnień. Dopiero 8 czerwca tego roku Prokuratura Okręgowa w Warszawie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko prowadzącemu „Fakty”. Za taką jazdę dziennikarzowi groziła grzywna, kara ograniczenia wolności albo do dwóch lat więzienia. Sąd jednak ma wydać wyrok bez przeprowadzenia rozprawy, bo prokurator porozumiał się z Kraśką co do wymiaru kary. – Mogę potwierdzić, że ten wymiar wynosi 200 stawek dziennych po 500 zł [czyli 100 tys. zł – przyp. red.] – poinformował Marek Skrzetuski z Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Kraśko z prowadzenia auta bez prawa jazdy tłumaczył się po tym, jak sprawa wyszła na jaw. „Prowadzenie samochodu bez prawa jazdy nigdy nie powinno się wydarzyć i jakiegokolwiek usprawiedliwienia tego nie zmienia” – napisał na Instagramie, okraszając wpis swoim zdjęciem ze zboląłą miną. „Poniosłem konsekwencje prawne. Ale rozumiem, jak bardzo zawiodłem Państwa zaufanie. Zrobię wszystko, by na nie zasłużyć. Przepraszam. Bardzo wszystkich Państwa przepraszam” – dodał.

NIE JEDEN KRAŚKO

Lista celebrytów, którzy demonstrują to, że przepisy nie dotyczą ich tak samo jak każdego innego obywatela, jest długa. W 2016 r. w okolicach Grudziądza policjanci zatrzymali Kubę Wojewódzkiego, który swoim ekskluzywnym lamborghini jechał z prędkością 206 km/h – o 66 km/h

za szybko. Zamiast mandatu było wspólne zdjęcie z funkcjonariuszami, którym celebryta pochwalił się w Internecie. W efekcie policjanci dostali naganę, a Wojewódzki kpił z sytuacji w sieci. „Idę do więzienia. Żegnajcie. Oto najsympatyczniejsi policjanci w Polsce. Rozumiejący, że władza to także zdolność używania głowy. Nie zawsze pałki. Za to dostali wpier.l”.

– Mamy pozór równości wobec prawa. Każdemu z nas gwarantuje je konstytucja, która i w tej części jest w praktyce ustawową fikcją. Pokazują to chociażby wyroki sądów. Gdy jest się właściwie ustosunkowanym, można nie ponieść kary po potrąceniu pieszego, jadąc bez ważnego prawa jazdy i w samochodzie bez ważnych badań technicznych – komentuje Andrzej Sadowski, nawiązując do zdarzenia z udziałem innego znanego dziennikarza Piotra Najsztuba.

Ten w 2017 r. wjechał w pieszą na przejściu. Kobieta miała połamane żebra i kość czaszki. Najsztub jechał samochodem bez ważnych badań technicznych. Wcześniej odebrano mu też uprawnienia do prowadzenia pojazdów (choć nieskutecznie, bo urzędnicy nie dopełnili wszystkich formalności). Dziennikarz został w ubiegłym roku uniewinniony. Sąd Okręgowy w Warszawie uznał, że nie można było przeprowadzić rekonstrukcji zdarzenia, a sama piesza powinna była uważać. Najsztub uważać najwyraźniej nie zamierza. Na krążących w sieci zdjęciach z 2019 r. widać, że jest także ponad przepisami dotyczącymi parkowania. Jeśli nie ma miejsca, to samochód zostawia na przejściu dla pieszych.

Pijacki rajd gwiazdy estrady Beaty Kozidrak skończył się grzywną w wysokości 50 tys. zł i 20 tys. zł na Fundusz Sprawiedliwości. W ubiegłym roku piosenkarka wsiadła za kierownicę, mając prawie dwa promile alkoholu we krwi. Sąd w wyroku nakazowym skazał ją na grzywnę, orzekł zakaz prowadzenia pojazdów i nakazał prace społeczne. Na nie najwyraźniej piosenkarka ochoty nie miała. Odwołała się, a sąd prace społeczne jej odpuścił, uznając dorobek artystyczny za okoliczność łagodzącą.

Piotr Kraśko na dorobek się nie powołuje. Za to sugeruje, że jest ofiarą sporu politycznego i stąd publikacja o jego rozliczeniach z fiskusem. „Łączenie tego z moim obecnym miejscem pracy ma oczywisty kontekst” – napisał w oświadczeniu na Instagramie. Dla zwykłego Kowalskiego oczywiste jest jednak to, że podatki trzeba płacić.



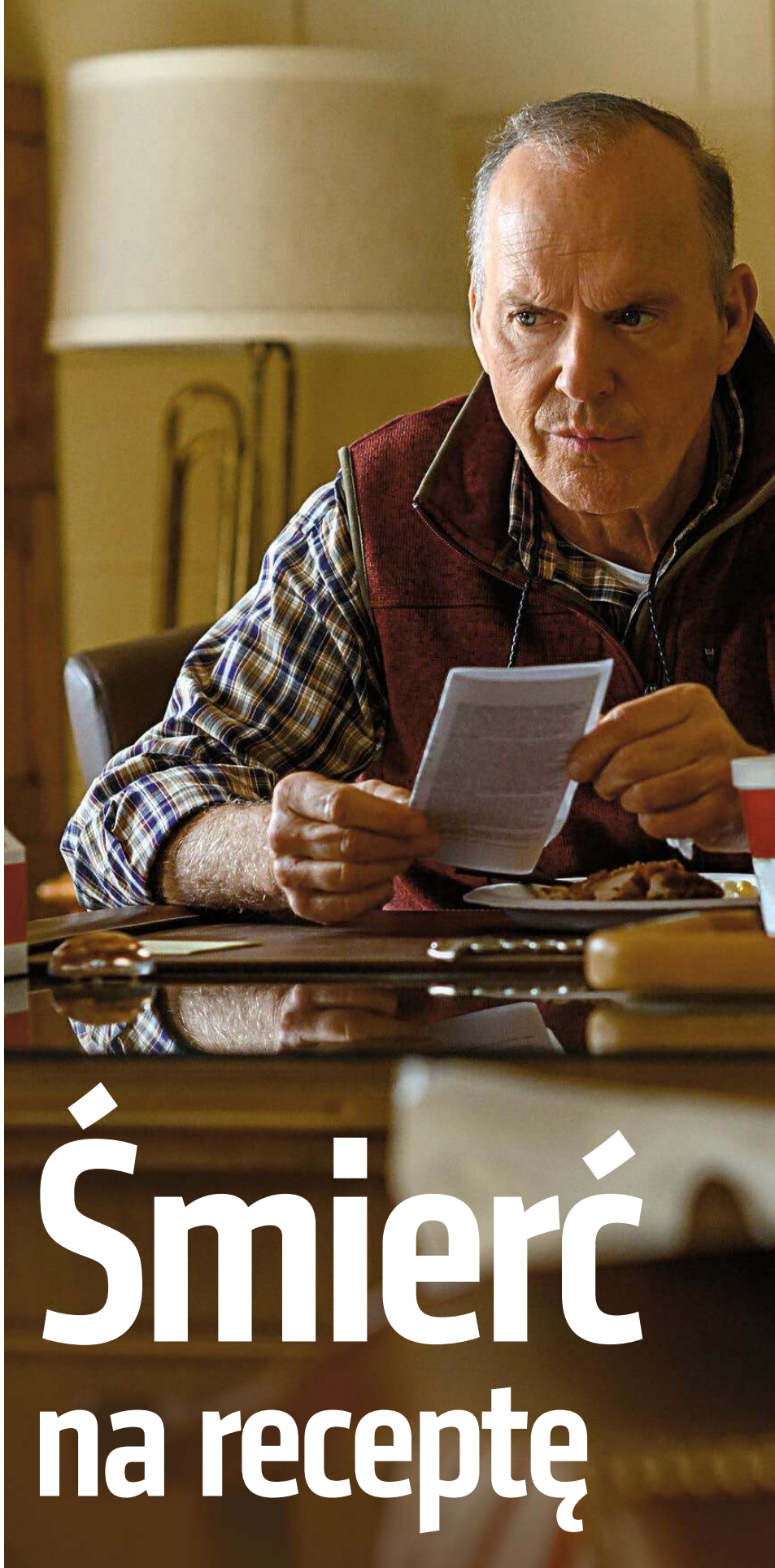
Piotr Gociek

Serial „Lekomania” – kulisy największej tragedii w dziejach Ameryki po 1945 r. i życiowa rola Michaela Keatona

Zło przybyło do górniczego miasteczka pod postacią młodego, dobrze ubranego, uśmiechniętego mężczyzny. Sympatyczny i uczynny młodzian byłby zapewne uważany przez wielu za idealnego kandydata na zięcia, lecz nie pojawił się w Finch Creek w poszukiwaniu panny młodej. Chodziło o nowy lek, cudowny lek, który miał ocalić mieszkańców przed bólem. Jak wszystkie silne środki tego typu był specyfikiem przepisywanym na receptę, więc najpierw trzeba było przekonać do niego miejscowego lekarza.

Miejsce nie zostało wybrane przypadkowo. Agenci handlowi Purdue Pharma skierowani zostali w pierwszej kolejności w Appalache, do stanów West Virginia, Ohio, Pensylwania i Kentucky, czyli głównych regionów tzw. pasa rdzy, gdzie niegdyś kwitł przemysł, a do dziś działają kopalnie. Sprzedawca Billy Cutler (gra go pamiętany m.in. z serii „Wieżień labiryntu” Will Poulter) przekonuje dr. Finnixa (znakomity Michael Keaton): Czy nie chciałby ulżyć swoim pacjentom w ich niedoli? Uratować wszystkich, którzy tak cierpią wskutek chronicznego bólu, efektu rozlicznych urazów doznanych podczas ciężkiej fizycznej pracy?

Finnix, który trochę ojcuje społeczności Finch Creek (mieszka tu od lat, niejeden poród przyjął), daje się uwieść: oto magiczna pigułka, OxyContin. Wedle informacji z ulotki, zatwierdzonych oficjalnie przez Agencję Żywności i Leków nie tylko działa, lecz także nie uzależnia. Co jest już prawdziwym cudem, bo chodzi o specyfik opioidowy, działający podobnie do morfiny czy heroiny. Każdy z nas chciałby choć raz w życiu ujrzyć cud. Doktor z Finch Creek ma okazję zostać cudotwórcą dla swoich pacjentów i decyduje się skorzystać z tej szansy. Kilka lat później, składając oficjalne zeznania, mówi z głębokim bólem: „Wciąż nie mogę uwierzyć, jak wielu z nich nie żyje”. Spójrzmy w oficjalne statystyki – w roku 2017 stany West Virginia, Ohio, Pennsyl-



Śmierć na receptę

Doktor Samuel Finnix to wielka kreacja aktorska Michaela Keatona. Nie widzieliście jeszcze Keatona w podobnej roli FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wania i Kentucky to wciąż miejsca, gdzie liczba zgonów wywołanych przedawkowaniem narkotyków jest najwyższa w kraju.

NAJGORSZY RODZAJ UZALEŻNIENIA

Jak zdecydowana większość bohaterów serialu „Lekomania” („Dopesick”), dr Finnix jest postacią fikcyjną, ale wszyscy oni powstał na biurkach scenarzystów poprzez stopienie w jedno życiorysów postaci jak najbardziej prawdziwych. Inspiracją do powstania scenariusza była książka Beth Macy wydana w Polsce jako „Lekomani” (Wydawnictwo Bez Fikcji 2019, tytuł oryg. „Dopesick: Dealers, Doctors and the Drug Company that Addicted America”). Ośmioodcinkowa produkcja, której siłą sprawczą jest Danny Strong, powstała na zamówienie serwisu streamingowego Hulu i tam miała premierę jesienią ubiegłego roku. U nas serial dostępny jest w serwisie Disney+.

Strong i jego ekipa postavili sobie bardzo ambitne zadanie przedstawienia problemu z wielu stron. „Lekomania” jest więc zarówno opowieścią o ofiarach, jak i o sprawcach oraz tych, którzy winnych chcieli ukarać. Historia jest szokująca. Według danych rządowej agencji Centers for Disease Control and Prevention od roku 1999 do dziś liczba zgonów spowodowanych w USA przedawkowaniem narkotyków to ponad 932 tys. Za trzy czwarte tych zgonów odpowiadają opiaty – zarówno te nabywane legalnie, jak i nielegalnie.

Tu potrzebne jest od razu uzupełnienie – tak, oczywiście, to, co mówił Billy Cutler dr. Finnixowi, było kłamstwem – OxyCodin uzależnia, tak jak inne opiaty. Jest to jeden z najgorszych rodzajów uzależnienia, ponieważ trwale zmienia sposób, w jaki funkcjonuje nasz organizm, w tym mózg.

Oficjalna opinia wydana przez Agencję Żywności i Leków była szwindlem – jej autor konsultował treść z koncernem, by potem znaleźć zatrudnienie w Perdue Pharma. Niemal każdy użytkownik „cudownego leku” stawał się ćpunem – kiedy kończył się okres przepisywania leku na receptę, ruszał kupować tabletki na czarnym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Każdy z nas chciałby choć raz w życiu ujrzyć cud. Doktor z Finch Creek ma okazję zostać cudotwórcą dla swoich pacjentów i decyduje się skorzystać z tej szansy

rynku. A dilerzy szybko podsuwali dalsze rozwiązanie: gdy brak tabletek, to przecież ten sam efekt możesz uzyskać, waląc w żyłę dobrą starą heroinę. Tak nastąpił z kolei wielki powrót narkotyku, który zdawał się być wyparty z rynku na dobre, bo w latach 90. królowała kokaina. Meksykańskie laboratoria karteli szybko odpowiedziały na nowe wymagania klientów i zaczęły ponownie dostarczać do USA heroinę.

SPUSTOSZENIE WARTY MILIARDY

W „Lekomani” śledzimy losy kilkunastu postaci na różne sposoby zaangażowanych w kryzys. Mamy więc upartą przedstawicielkę Agencji do Walki z Narkotykami (Rosario Dawson), mamy zespół nie mniej upartych prokuratorów rzucający wyzwanie farmaceutycznemu gigantowi i prowadzący szeroko zakrojone dochodzenie. Obszernie pokazano stronę sprawców, przy czym centralną figurą jest tu Richard Sackler (to już postać autentyczna), wpływowy członek znanej i bogatej rodziny, do której należała Perdue Pharma.



★★★★★
KREATOR:
DANNY STRONG
„LEKOMANIA”
(„DOPESICK”)
USA 2021

wyst. Michael Keaton, Kaitlyn Dever, Rosario Dawson

■ To Richard Sackler był mózgiem operacji „cudowny lek”, a jego upór, brak skrupułów, ambicja i kompleksy doskonale są pokazane na ekranie dzięki świetnej kreacji Michaela Stuhlbarga. On także wymyślił cały system agresywnej sprzedaży – i on zarobił miliardy. Cała jego rodzina doskonale wiedziała, jakie spustoszenie wywołuje ich śmiertelna pigułka. Ale fortuną nie pogardziła. „W latach, kiedy Purdue Pharma i Sacklerowie zarabiali miliardy na sprzedaży OxyContinu, ani przedstawiciele firmy, ani jej właściciele nie próbowali oddzielić zysków czerpanych z legalnych recept od tych z recept, które znalazły się na ulicy” – pisał Barry Meier w książce „Zabić ból. Imperium oszustwa i kulisy epidemii opiatowej w USA”.

Serce widza pozostaje przy dwóch innych postaciach serialu. Po pierwsze, wspomniany już dr Samuel Finnix – wielka kreacja aktorska Michaela Keatona. Nie widzieliście jeszcze Keatona w podobnej roli: przygnieciony ciężarem winy, próbujący odkupić własne grzechy, wreszcie walczący z własnym uzależnieniem. Dobrzy ludzie także błądzą, skutki ich błędów są tym bardziej bolesne. Po drugie, młoda pracująca w kopalni dziewczyna Betsy Mallum (świetna Kaitlyn Dever), która po wypadku walczy z nieustannym bólem i stanie się – na swoje nieszczęście i obciążając sumienie Finnixa – pierwszą pacjentką w Finch Creek próbującą nowego leku. Gwoli kronikarskiej ścisłości odnotujmy też, że wątek Mallum służy jako trybut złożony współczesnym nakazom wprowadzania do fabuły obowiązkowych postaci LGBT.

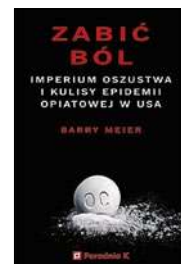
SAMOBÓJSTWO NA WIELE SPOSOBÓW

„Lekomania” to serial przerażający. Opowiada o wielkiej tragedii, którą Ameryka zafundowała sobie sama; tragedii, która pochłonęła więcej ofiar niż jakiegokolwiek wojna prowadzona przez USA od 1945 r. Tragedii, która trwa – Sacklerowie zostali zdemaskowani, Purdue Pharma skompromitowana i zmuszona do wypłacenia miliardów dolarów, ale opiatowe leki przeciwbólne nie zniknęły z rynku. Nie zniknęły setki tysięcy uzależnionych, nie zmniejsza się narkotykowa przemoc na ulicach, a lista zgonów wciąż rośnie. Zachód od kilku dekad popełnia samobójstwo na wiele sposobów. Oto jeden z nich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„ZABIĆ BÓŁ”

Od tej książki wszystko się zaczęło. W roku 2001 Berry Meier, reporter „New York Timesa”, zaczął przyglądać się bliżej działalności mało jeszcze znanej szerokiej publiczności firmy Purdue Pharma i jej nowemu cudownemu lekowi przeciwbólowemu, którym był OxyContin. Jego artykuły, a następnie książka „Pain Killer” opublikowana w 2003 r. nie tylko ujawniły szokującą prawdę o nieetycznych działaniach rodziny Sacklerów, lecz także sprawiły, że sprawie zaczęli przyglądać się politycy oraz przedstawiciele amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. (Podtytuł książki brzmi: „Imperium oszustwa i kulisy epidemii opiatowej w USA”). Polska edycja to przekład rozszerzonej i uaktualnionej wersji z roku 2018, opatrzonej także nowym epilogiem, powstałym we wrześniu 2021 r., już po zawarciu ugody, która odbierała Sacklerom kontrolę nad Purdue Pharma. W zamian za wielomiliardowe odszkodowanie wymiar sprawiedliwości odstąpił od stawiania dalszych karnych zarzutów członkom rodziny.



BARRY MEIER
„ZABIĆ BÓŁ”
 („PAIN KILLER”)
WYDAWNICTWO
PORADNIA K 2021

„FARMACEUTA”

Czteroczęściowy serial dokumentalny wyprodukowany przez Netflix (premiera miała miejsce w lutym 2020 r.) opowiada o epidemii opiatowej w sposób tyleż oryginalny, co głęboko poruszający. Dan Schneider, farmaceuta z Luizjany, rozpoczął prywatne śledztwo w sprawie śmierci syna, który zginął podczas zakupu kokainy. Wkrótce Schneider odkrywa, że na ulicach Nowego Orleanu (tam zabity został jego syn) wielką karierę robi nowy narkotyk – OxyContin – kupowany na recepty masowo przepisywane m.in. przez dr. Cleggetta, który na tym procederze zarabia miliony. Dzięki odkryciom Schneidera sprawą zajmuje się Agencja do Walki z Narkotykami. Większość wydarzeń w tej opowieści ma miejsce w latach 1999–2003, a więc wówczas, kiedy o skali nowego kryzysu narkotykowego opinia publiczna wiedziała jeszcze niewiele. Schneider stał się wkrótce bojownikiem o zaostrzenie kontroli nad wydawaniem recept. A kolejne stany rozpoczęły występowanie z pozwami przeciw Purdue Pharma.



REŻ. JENNER FURST I JULIA WILLOUGHBY NASON
„FARMACEUTA”
 („THE PHARMACIST”)
USA 2020,
NETFLIX

„ZBRODNIA STULECIA”

Dwuczęściowy film dokumentalny Alexa Gibneya, laureata Oscara za „Kurs do Krainy Cienia” (był też nominowany za „Przekręt w Enronie”, nakręcił filmy „Kłamstwo Armstronga” czy „Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary”). W odróżnieniu od „Farmaceuty”, który przedstawiał perspektywę bardzo osobistą i przechodził od szczegółu do ogółu, Gibney koncentruje się na producentach leków opiatowych. Pierwsza część to analiza działań ówczesnych właścicieli Purdue Pharma, czyli rodziny Sacklerów. Wstrząsające są zwłaszcza kulisy zatwierdzenia przez Agencję Żywności i Leków wprowadzającej w błąd oficjalnej rekomendacji OxyContinu. Część drugą reżyser poświęcił dziejom niezwyklej kariery nie mniej niebezpiecznego leku przeciwbólowego – fentanylu. Przekupywanie lekarzy, najmowanie prokuratorów jako lobbystów, wyłudzenie pieniędzy z firm ubezpieczeniowych: tak działa oligopol firm farmaceutycznych w USA.

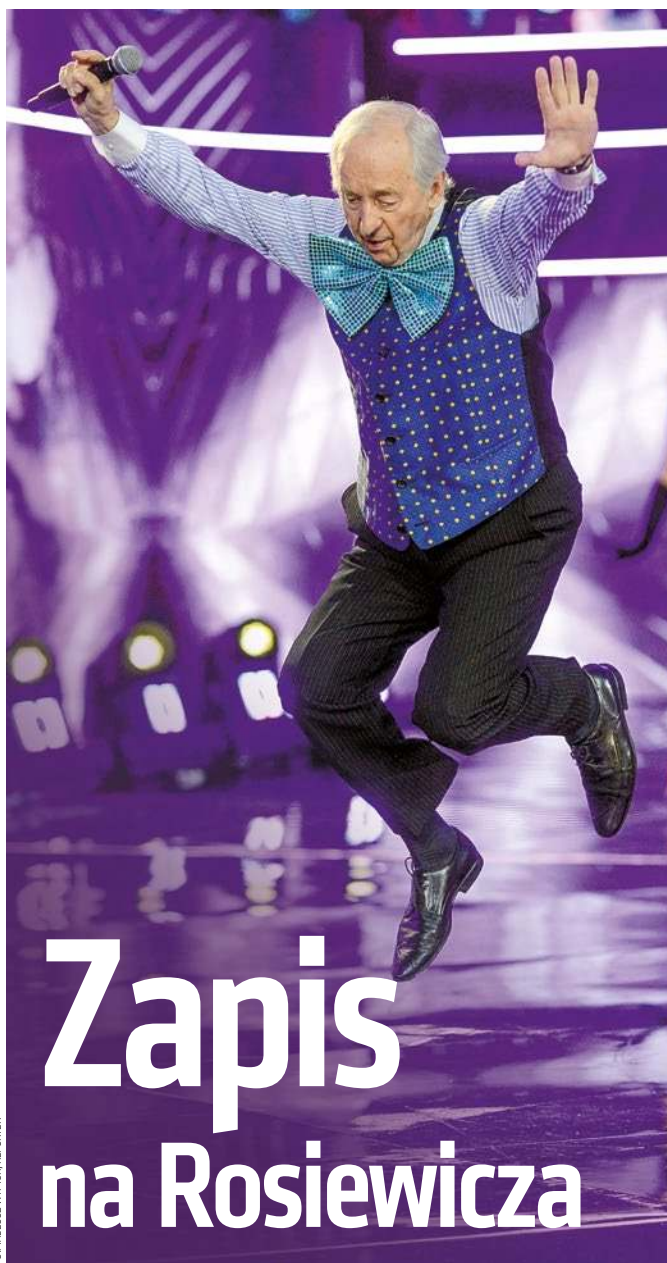


REŻ. ALEX GIBNEY
„ZBRODNIA STULECIA”
 („THE CRIME OF THE CENTURY”)
USA 2021, HBO

Krzysztof
Masłoń

42 lata temu, na zorganizowanym wtedy w Opolu po raz 18. Festiwalu Polskiej Piosenki, w Konkursie Premier zwyciężył Andrzej Rosiewicz, którego piosenka „Najwięcej witaminy” uznana została przez jury za najlepszą (ex aequo z utworem Ewy Bem) spośród przedstawionych wówczas 28 utworów słowno-muzycznych, a były to numery niegorsze, że wspomnę tylko: „Czas nas uczy pogody” Grażyny Łobaszewskiej, „Leżę pod gruszą” Maryli Rodowicz, a nawet także wyróżnione, ale sklasyfikowane niżej „Jeszcze się tam żagiel bieli” Alicji Majewskiej czy „Boskie Buenos” Kory i Maanamu. Arcypopularny w owych latach Rosiewicz rozbawił i rozkołysał widownię amfiteatru opolskiego, oczywiście bisował piosenkę, a ponoć cieszący się dużym autorytetem w środowisku muzyk jazzowy i znakomity aranżer Andrzej Trzaskowski (ojciec obecnego prezydenta Warszawy) złożył laureatowi gratulacje, podkreślając, że „bardzo dobrze »leży« ta muzyka z tekstem”.

Legenda głosi, że sam tekst wzbudził jednak pewne wątpliwości. Krzywić się miał nań ambasador Czechosłowacji („Gdybym wydał się za Czeszkę, umarłbym ze śmiechu”), a inna strofa piosenki miała jakoby urazić naszych zachodnich sąsiadów, naturalnie tylko tych „zaprzyjaźnionych” z NRD, bo drugą część Niemiec – RFN – zamieszkiwali wyłącznie zimnowojenni odwetowcy i rewanżysty, którzy nie podlegali żadnej ochronie. Wprost przeciwnie. PRL-owska cenzura przełknęła jednak zwitimizowane „dziewczyny” i Andrzej Ro-



Zapis na Rosiewicza

FOT. TADEUSZ WYPYCH/REPORTER

siewicz śpiewał o nich przez lata, niezmiennie wywołując owacje na widowiskach swoich koncertów.

Nie inaczej stało się w tym roku, na zakończonym w ubiegłym tygodniu opolskim festiwalu, na którym 78-letni już artysta zdumiał publiczność swą formą fizyczną, skacząc, biegając i, jakżeby inaczej, tańcząc niczym za swoich młodych lat. A że dowcip wciąż ma ostry jak brzytwa, wzbudził aplauz, w czym piosenka „Najwięcej witaminy” wydatnie pomogła, jako że jest to prawdziwy evergreen.

Nie dla Onetu jednak. Festiwalowy wysłannik tego największego polskojęzycznego portalu internetowego orzekł bowiem, że tego utworu nie powinno być w Opolu: „Wydaje mi się, że nikt by nie ucierpiał, gdyby na dobre zniknął z kart historii polskiej piosenki”. Moim skromnym zdaniem byłoby jeszcze lepiej, gdyby człowiek udający dziennikarza czy, Panie Boże przebac, recenzenta, poskromił w sobie cenzorskie zapędy. Zwłaszcza że Rosiewicz boje z cenzurą, zinstytucjonalizowaną i tą, kto wie czy nie groź-

niejszą, środowiskową, toczył nie tylko za komuny, kiedy to jego „Propagandę sukcesu” czy „Wincentego Kalembę” przegrywaliśmy sobie z kasetą na kasety, ale i w, podobno, wolnej od cenzury Polsce, w której teledysk „Pytasz mnie” obejrzeć można było jedynie w telewizji Trwam.

W Onecie jednak postanowiono Rosiewicza grillować dalej, w „Wyborczej” też. Już po całym festiwalu, żeby nie było wątpliwości, że ocena sformułowana została na gorąco, być może bez przemyslenia, zagrzmiął – tym razem podam nazwisko, bo wyrażnie się tego domaga – Jarek Szubrycht: „Był i Andrzej Rosiewicz, i trudno, skoro już musiał... Tylko czy żadnemu z organizatorów nie przyszło do głowy, że może lepiej byłoby go poprosić o wykonanie innej piosenki niż opartej na stereotypach »Najwięcej witaminy«, w dodatku z oddawaniem Krymu w refrenie. Wiem, że to tylko takie żarty, ale dziś po prostu mniej śmieszne niż 30 lat temu”.

Po pierwsze: nie 30, a 40 – a nawet 42 lata temu. Po drugie: cieszy mnie, że autor zna się na żartach, z tym że wiadać bawi go zupełnie co innego niż Polaków przez te minione 42 lata. Jeśli nie podoba mu się Krym w tekście piosenki, to ciekaw jestem, czy w następnej kolejności nie zażąda usunięcia z programów i podręczników języka polskiego „Sonetów krymskich” Adama Mickiewicza. Ale zgadzam się, że artysta mógłby zaśpiewać inny utwór ze swego bogatego repertuaru. Tylko który? Bo chyba nie „Usta Mariana” z dołączonym na bis „Płonie już tęcza i płaczą geje...” ani nie „W Lubartowie”. Z kolei optymizm „Wystarczą cztery Ziobry” okazał się wyraźnie przedwczesny, choć „Wystarczą cztery Tuski, no i porządek pruski” chyba by się nadało. Nieprawdaż? ©©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Jedi na wygnaniu



★★★★★
„OBI-WAN
KENOBI”
USA 2022,
DISNEY+

wyst. Ewan
McGregor, Vivien
Lyra Blair, Moses
Ingram

Bezwstydne żerowanie na nostalgii czy uroczne odświeżenie klasyki popkultury? W Polsce miniseria „Obi-Wan Kenobi” pełnił jeszcze trzecią funkcję – był jednym ze sztandarowych tytułów kampanii promującej start polskiej wersji serwisu streamingowego Disney+. Wrota do telewizyjnej odnogi uniwersum „Gwiezdnych wojen” mamy więc już otwarte. Dostępne są: westernowy w klimacie „Mandalorianin”, kryminał dla nastolatków, czyli „Księga Boby Fetta”, wkrótce pojawi się „Andor” – szpiegowska opowieść o życiu bojownika Rebelii z filmu „Łotr 1”. „Obi-Wan Kenobi” zajmuje w tej bliskiej nam „odległej galaktyce” miejsce szczególne. Powraca jedna z ukochanych przez fanów postaci – mistrz Jedi grany w oryginalnych „Gwiezdnych wojnach”

przez Aleca Guinessa, a w trylogii prequeli przez Ewana McGregora (który rolę utrzymał na potrzeby serialu). Powraca też ukochany czarny charakter – Darth Vader (Hayden Christensen o głosie Jamesa Earla Jonesa). Po trzeciej dowiadujemy się więcej o dzieciństwie Luke’a i Lei Skywalkerów. Akcja rozgrywa się 10 lat po „Zemście Sithów”, Kenobi ukrywa się na pustynnej planecie Tatooine, strzegąc z oddali bezpieczeństwa Luke’a. Szybko będzie musiał ją opuścić, by odzyskać porwaną przez Inkwizytorów (łowców Rycerzy Jedi) małą Leię. Spotkanie z dawnym uczniem Anakinem – gwarantowane.

Choć ujrzymy na ekranie nowe planety (i stwory), to smak opowieści nadają aktorzy. Zawsze miło zobaczyć Ewana McGregora, choć w sposobie naśladowania

Aleca Guinessa wydaje się manieryczny. Poziom trzymają trzy panie: Moses Ingram jako ambitna Inkwizytorka zwana Trzecią Siostrą, Indira Varma jako oficer sił imperialnych konspirująca z rebeliantami oraz mała Vivien Lyra Blair jako Leia. Ale jest kłopot z cudownym rozmnożeniem „Gwiezdnych wojen” – gdy próbują odnaleźć klimat oryginału, zamieniają się w recykling staroci; gdy szukają nowych, tracą dawnego ducha. Fabuła serialu jest mocno naciągana, a przynajmniej kilka zakrętów akcji – mocno niemądrych. Nostalgia sprawia, że przymykamy oko na niedociągnięcia, ale coraz trudniej z każdym kolejnym tytułem budzić w sobie ekscytację. Inflacja dotarła także do krainy „Star Wars” – waluty przybywa, lecz traci ona na wartości. ©©



NOWE SERIALE: „W SIECI UŁUDY: ŚMIERĆ, KŁAMSTWA I INTERNET”

Bandyckie metody stosowane w świecie e-graczy, tajemnice sekszantażu, kuchnia teorii spiskowych – no i osobny odcinek o tym, jak radykalna prawica pierze ludziom mózgi, bo lewica, jak wiadomo, sieci używa jedynie do celów szlachetnych i dobroczynnych, nieprawdaż? Ostatnie dwa odcinki są z kolei o naprawdę dużych pieniądzach

i mogłyby być osobnym filmem. Nowy dokument true crime Netflixa o zagrożeniach Internetu jest taki jak sam Internet: ogólnie ciekawy, często szokujący, ale daleko mu do bycia wyważonym. ©© **Piotr Gociek**

• **reż. Brian Knappenberger**, „Web of Make Believe: Death, Lies and the Internet”, USA 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• **sezon 1 „Kasa” („Loot”), USA 2022**



• **sezon 3 „The Umbrella Academy”, USA 2022**



• **sezon 4 „Westworld”, USA 2022**



Dziewczyna fanatyka

HBO max

Historia stara jak świat. Studentka medycyny, z pochodzenia Turczynka, poznaje rówieśnika, który przeprowadził się z Libanu do Hamburga, by wyuczyć się na dentystę (choć wolałby zostać lotnikiem). Ona prymuska, on romantyk i dusza towarzystwa – pasują do siebie jak dwie połówki jabłka.

Saeed wydaje się bardziej zeuropeizowany, twierdzi, że do meczetu zagląda tylko po to, by pogadać ze znajomymi. Stopniowo jednak ulega metamorfozie. Zapuszcza brode, zostaje abstynentem, cytuje ustępy z Koranu i wygłasza antyżydowskie tyrady. Miłość otumania, lecz w końcu Asli będzie musiała zadać sobie pytanie, kim naprawdę jest człowiek, któremu – w tajemnicy przed

własną matką – oddała rękę i wianek.

Berrached zasłynęła filmem o niedoli dwóch lesbijek, które chcą razem mieć dziecko, lecz zacofane społeczeństwo rzuca im kłody pod nogi. Tutaj wykazała się znacznie większą subtelnością. Być może dlatego, że temat zderzenia cywilizacji



★★★★★
REŻ. ANNE ZOHRA BERRACHED
„ŻONA PILOTA” („COPILOT”)
NIEMCY/FRANCJA 2021

wyst. Canan Kir,
Roger Azar, Özay Fecht

zna z autopsji: jej ojciec urodził się w Algierii. Fenomen młodych muzyłmanów, dyszących nienawiścią do Zachodu, który stworzył im warunki, o jakich w ojczyźnie mogliby tylko marzyć, analizowało już wielu autorów. „Żona pilota” próbuje uciec od stereotypów, ale wnioski są równie pesymistyczne. Trudną sztukę samoszukowania homo sapiens opanował do perfekcji. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

BARWY BUNTU

cda PREMIUM



★★★★★
REŻ. AGNIESZKA HOLLAND
„GORĄCZKA”
POLSKA 1981

wyst. Olgierd Łukaszewicz, Adam Ferency, Bogusław Linda

W 70. urodziny Bogusława Lindy zachęcam do obejrzenia „Gorączki”, ale tej polskiej. Fakt, że film pokazujący demonstracje, strajki oraz triumf państwa politycznego wygrał w cuglach festiwal w Gdańsku i trafił do kin, najlepiej oddaje kryzys cenzury za czasów pierwszej Solidarności.

Scenarzysta (KTT) poparł stan wojenny, reżyser wręcz przeciwnie.

Dziś polityczne konteksty zwietrzały, choć frazy typu: „Partia ma trudności” albo „Ameryka, wolny kraj, bogaty” nadal mogą bawić. Literacki oryginał piętnował moralną dwuznaczność ideologii „czynu”, udowadniając, że rewolucjonista idealny to istota pozbawiona sumienia. W bogatej galerii (anty)bohaterów błyszczą Łukaszewicz, upozowany na Piłsudskiego, i Ferency grający ciężkiego naiwniaka, lecz największe wrażenie robi uśmiech pana Bogusława. Linda w „Gorączce” jest jak Belmondo w „Do utraty tchu”. Niestety, Francuz lepiej pokierował swoją karierą. ©©

TRÓJKOLOROWI

KINO



★★★★★
REŻ. JACQUES AUDIARD
„PARYŻ, 13. DZIELNICA” („LES OLYMPIADES”)
FRANCJA 2021

wyst. Lucie Zhang, Makita Samba, Noémie Merlant

Paryż był kiedyś stolicą Europy, a teraz pretenduje do miana światowej metropolii. Przejazdka metrem jest jak podróż dookoła globu – spotkasz wszystkie możliwe typy ludzkie. Tytułową 13. Dzielnicę miasta światła zdominowali Azjaci. Rasizm to temat tabu, w filmach nakręconych gwoli wprowadzenia publiczności w dobry humor wszyscy bohaterowie, niezależnie od pochodzenia, są stu procentowymi Francuzami. Nawet ekranizując komiks, musisz o tym pamiętać. Co łączy rozrywkową Émilie (z wyglądu Chinkę), czarnoskórego nauczyciela Camille’a i Norę z Bordeaux, która nad Sekwaną chce zacząć życie od nowa? Problemy sercowe i rodzinne. Przyjaźń myli im się z miłością, a miłość z seksem. Mimo nowoczesnej oprawy przesłanie jest zgola oldskulowe: ludzie są z natury dobrzy, chociaż często zagubieni. Nieskrywana fascynacja pornografią może dziwić, bo film wyreżyserował 70-latek. No cóż, viagra czyni cuda. ©©

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „MARIO STRIKERS: BATTLE LEAGUE”

Gracze ery Pegasus, czyli popularnej w Polsce w latach 90. konsolki będącej beczelnie sklonowanym Famicomem od Nintendo, zapewne pamiętają grę „Goal 3”. Piłka nożna bez zasad, w której, żeby wygrać, trzeba było częściej niż w piłkę kopać w przeciwnika. Nowy „Mario

Strikers” natychmiast przypomniał mi tę pozycję sprzed lat. Także „no rules”, także piekielnie grywalne, zwłaszcza ze znajomymi przy jednej konsoli. Gracze narzekają, że mało jest trybów i że szybko można się znudzić. To prawda, ale jako gra odpalana na kilka meczków ze



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

znajomymi – jak najbardziej do polecenia. Tylko ta cena... ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** Zręcznościowa, sportowa
- **Platforma:** Nintendo Switch
- **Producent, wydawca PL:** Nintendo/Next Level Games, ConQuest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wielka sława to żart

Bogusław Kaczyński był kimś absolutnie wyjątkowym i tę jego wyjątkowość ukazała w książce o swoim bohaterze, a prywatnie przyjacielu, Anna Lisiecka, szczęśliwie unikając egzaltacji, o którą jakże łatwo w podobnych sytuacjach.

Reżyser Jerzy Gruza scharakteryzował go krótko: „Kaczyński pojawia się w TV, nic się nie rusza, nie dzieje, a wszyscy gapią się w ekran jak ciele na malowane wrota. Osobowość”. Jeśli można go porównywać, to jedynie do jego wielkiego poprzednika, Jerzego Waldorffa. A tego, co ci ludzie zrobili dla edukacji muzycznej społeczeństwa, nie da się przecenić. I nie mają tu nic do rzeczy ich afektacja, egotyzm i egocentryzm.

Wspominając jego telewizyjne „Operowe qui pro quo”, znana sopranistka Hanna Rumowska celnie zauważyła: „Można powiedzieć, że Bogusław wprowadził nas pod strzechy. Śpiewaliśmy bowiem wtedy w naszych teatrach operowych przy nie zawsze wypełnionych widowniach, bo nie było mody na operę. Przywożono nam w autobusach publiczność zakładowo-robotniczą, ale ci niewprowadzeni, zmęczeni całonocnym chodzeniem po Warszawie, często pozostawali w bufetach teatralnych, zamiast przyjść na widowie. Śpiewana przeze mnie w Teatrze Wielkim »Elektra« zeszła po siódmym przedstawieniu. To dopiero Boguś i jego programy spowodowały, że ludzie usłyszeli, że opera może być dla nich”.

Anna Lisiecka w swojej książce podkreśla: „Miał szczęście do spotkań z ludźmi głęboko zanurzonymi w historii i kulturze, jak Izabela Zaruska, Ada Sari, profesor Witold Rudziński. Jednak z tym szczęściem jest tak, jak z Mahometem i górą. Trzeba być gotowym i samemu chcieć się zbliżyć”. Z prowincjonalnej Białej Podlaskiej przybył Kaczyński do Warszawy z mocnym



FOT. CZESŁAW CZAPUŃSKI/FOTONOWA

postanowieniem, by ją podbić. Tak też się stało, choć nie uczynił tego jako muzyk, wirtuoz pianistyki, co marzyło się jemu i jego rodzicom. Na szczęście, rzecz można, nie dostał się na wydział fortepianu Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, złożył więc papiery na wydział kompozycji, teorii i dyrygentury tej samej uczelni i obronił magisterium z dramaturgii muzycznej oper Albana Berga, do czego namówił go promotor Witold Rudziński (nie dawno ukazała się o nim ciekawa, omawiana w tym miejscu książka autorstwa córki profesora, Teresy Bochwic, pt. „W rytmie Polski”). Sam zainteresowany chciał wprawdzie pisać o Adzie Sari, ale książkę o sławnej maistrze wydał dopiero pół wieku później. Zabrakło mu czasu na pisanie, pochłonięta go bowiem – od 1974 r. – telewizja.

Jego programy były rekordy oglądalności, z Festiwalu Muzyki w Łańcucie uczynił wydarzenie kulturalne takiego formatu, że koncerty stamtąd nadawała Eurowizja. Później nie udało mu się, co zamierzał, przywrócić za sprawą Festiwalu im. Jana Kiepury dawny blask Krynicy, ale samą imprezę wywindował na poziom, o jakim nikomu się nie śniło.

„Kiedy Bogusław zbliży się do pięćdziesiątki, to z rozlicznych jego opowieści będą wyskakiwały jakieś księżniczki lub przynajmniej hra-

bianki. Może pod wpływem operetkowych librett i zasygnalizowanego już delikatnego snobizmu, który jego samego bawił...”. Krzysztof Penderecki mądrze mówił na ten temat: „[Bogusław Kaczyński] potrafił świetnie opowiadać, miał swadę, którą nie każdy posiada. I wykorzystywał ten dar w szlachetnym celu. Przekonywał ludzi do słuchania dobrej muzyki, nawet jeśli była spod skrzydeł lżejszej muzy... Na przykład lubił operetkę, ale jako człowiek o wielkim smaku wiedział, że operetka nie znosi złego wykonania”.

W latach 90. został dyrektorem właśnie Operetki Warszawskiej, choć wtedy to już był Teatr Muzyczny Roma. Pragnął kierować najważniejszą sceną: Teatrem Wielkim w Warszawie. To marzenie nigdy się jednak nie ziściło.

Jego życie osobiste Anna Lisiecka opisała w rozdziale opatrzonym tytułem: „Nie dla pań”. Bogusław Kaczyński był przez pięć lat żonaty, po czym ten związek się rozpadł. Autorce wyznał kiedyś, że nigdy nie był zbyt romansowy, dodając: „Czy spostrzegłaś kiedyś, aby mi się czyjeś ranne pantofle płatały po mieszkaniu?”. A że żył w czasach, gdy gejowskie coming outy nie były w modzie, w wiadomych sprawach zachowywał dyskrecję. Jak przystało na dżentelmena, którym był nie tylko dlatego, że świetnie prezentował się w smokingu.

Bogactwa – nawiązując do tytułu książki Lisieckiej – też nie zdobył. Zresztą jakie bogactwo można było zdobyć w PRL? A to przecież w tamtym systemie stał się sławny. Był gwiazdą, ale potrafił – mimo swej próżności – zachowywać dystans do siebie. W końcu mało kto jak on świadomy był tego, że „Wielka sława to żart”. Nieprzypadkowo tę właśnie arię z „Barona cygańskiego” odśpiewali żałobnicy na jego pogrzebie na Starych Powązkach w 2016 r. Bogusław Kaczyński przeżył 73 lata. ©©



★★★★★
ANNA LISIECKA
„BĘDĘ SŁAWNY,
BĘDĘ BOGATY.
OPOWIEŚĆ
O BOGUSŁAWIE
KACZYŃSKIM”
MUZA,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Co komu wolno

Wychowałem się na książkach prof. Wojciecha Roszkowskiego, nie mając zresztą pojęcia, że to on je napisał. W późnym PRL alternatywą dla indoktrynacji stały się wydawnictwa podziemne, a jednym z popularnych tytułów była „Historia Polski” Andrzeja Alberta – tak brzmiał pseudonim Roszkowskiego.

Edycję drugoobiegową mam do dziś, podobnie jak wydanie londyńskiego „Pulsu”. Obok stoi wersja wydania Świata Książki z okresu, gdy wydawnictwo należało do niemieckiego koncernu Bertelsmann. W 2017 r. najnowszą wersję („Historia Polski 1914–2015”) wydała grupa PWN. Był zatem Roszkowski figurą o powszechnie uznanym autorytecie i dorobku (nikt nie podejrzewa Bertelsmanna ani PWN o sympatię do prawicy).

Profesor Roszkowski popełnił jednak straszną zbrodnię – opublikował w ostatnich latach kilka esejów, w których krytycznie ocenia kierunek zmian w społeczeństwach Zachodu. Dziś nagle dowiadujemy się, że to wystarcza, by wyrzucić do kosza pół wieku pracy naukowej. Oto najnowsze zbrodnie Roszkowskiego: w podręczniku „Historia i teraźniejszość. 1945–1979” ośmielił się napisać, że rok 1968 był ważną datą nie tylko

w życiu Adama Michnika, ale i Antoniego Macierewicza. Wspomnił, że Lech Kaczyński robił coś w opozycji, zanim jeszcze ktokolwiek wiedział, kim jest Wałęsa. Że Zachód od czasu kontrkultury przechodzi kryzys tożsamości. No i sięgnął po motto z Jana Pawła II.

Nagonka na Roszkowskiego jest żenująca i dowodzi głębokiego upadku polskich mediów oraz tzw. inteligencji. Argumenty, że cytując obrzydliwe wspomnienia Daniela Cohn-Bendita, oddaje się profesor „propagowaniu treści pedofilskich”, godne są Jerzego Urbana. Piętnastoletni uczeń bez trudu zrozumie wywód profesora – nie potrafią go natomiast zrozumieć autorzy „Rzeczpospolitej” i poseł Jan Grabiec z PO (absolwent filozofii na ATK). Nikt nie jest doskonały; mnie w książce Roszkowskiego zabrakło podkreślenia wyjątkowości Stanisława Lema, naszego eksportowego giganta myśli i kultury. Ale nie miejmy

złudzeń: w awanturze o podręcznik nie chodzi o dyskusję merytoryczną, lecz o tęsknotę za czasami, kiedy maturzyści musieli analizować felieton Jacka Żakowskiego z „Polityki” o złych pisowcach przesładujących Adama Michnika. Tamta edukacja była OK, ta – ministra Czarnka – jest be. Czego jeszcze nie rozumiecie? ©©



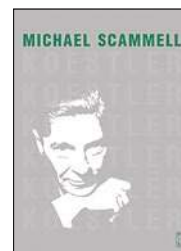
★★★★★

WOJCIECH ROSZKOWSKI
„HISTORIA I TERAZNIEJSZOŚĆ. 1945–1979”

BIAŁY KRUK 2022

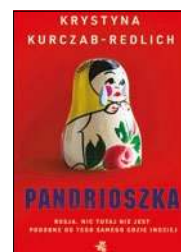
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Brytyjski tłumacz i krytyk zbierał materiały do tej książki przez 15 lat. Powstała obszerna, mądra i fascynująca opowieść o życiu, poglądach oraz twórczości autora „Ciemności w południe” czy „Krucjaty bez krzyża”.



MICHAEL SCAMMELL
„KOESTLER”
PIW

Wznowienie jednej z najlepszych książek o współczesnej Rosji, kraju w którym „nic nie jest podobne do tego samego gdzie indziej”, jak pisze autorka we wstępie do trzeciego wydania. Wstrząsający reportaż połączony z esejem.



KRISTYNA KURCZAB-REDLICH
„PANDRIOSZKA”
W.A.B.

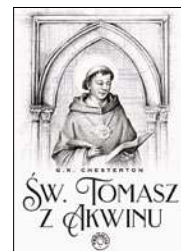
Autor „Serenady na wiołonczelę i rewolwer” tym razem zabiera nas nie do przedwojennej Warszawy, lecz do czasów po powstaniu styczniowym, by wciągnąć nas w szpiegowską rozgrywkę zgrabnie wplecioną w historię XIX w.



KAROL KOWAL
„AGENT JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚCI”
WARBOOK

Francuski filozof Étienne Gilson uważał, że praca Chestertona to najlepsza książka o św. Tomasz z Akwinu, jaką napisano. Ukazała się w 1933 r. Obecne wznowienie zawiera przekład dr. Artura Chojackiego z 1949 r. ©©

recenzuje Piotr Gociek

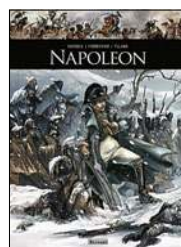


GILBERT K. CHESTERTON
„ŚW. TOMASZ Z AKWINU”
PROHIBITA

KOMIKS TYGODNIA:

„NAPOLEON”

Trzyczęściowa seria biograficzna o Napoleonie Bonaparte zebrana w jednym albumie (część większego przedsięwzięcia rysunkowego „Oni tworzyli historię”). Zachowano towarzyszące oryginalnym wydaniom dodatki historyczne, wzbogacające fabułę komiksu o dodatkowe informacje. Co ważne, ich autorem (i konsultantem całości) jest zawodowy historyk Jean Tulard, najwybitniejszy



NOEL SIMSOŁO, FABRIZIO FIORENTINO
„NAPOLEON”
SCREAM COMICS 2022

żyjący francuski znawca epoki napoleońskiej (niedawno w Polsce ukazała się jego książka „Joseph Fouché”). Od strony scenariuszowej rzecz wybijają się ponad przeciętną, od graficznej – jest poprawna. ©©

poleca Piotr Gociek

DO ZOBACZENIA

Włoscy mistrzowie



RADOSŁAW WOJTAS

Dwa płótna Caravaggia – „Chłopiec gryziony przez jaszczurkę” i „Narcyz przy źródle” – oraz kilkadziesiąt obrazów najwybitniejszych caravaggionistów można było oglądać w ubiegłym roku na Zamku Królewskim w Warszawie, wciąż prezentowany jest tam obraz „Madonna z Dzieciątkiem” Paola Uccella, a od 21 czerwca w ramach cyklu „Arcydzieła na Zamku” udostępniono obrazy kolejnych



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

włoskich mistrzów na wystawie „Botticelli opowiada historię. Malarstwo mistrzów renesansu z kolekcji Accademia Carrara”.

Gwiazdą pokazu jest tu oczywiście Sandro Botticelli. Do Warszawy sprowadzono płótno „Historia Wirginii”. Obok mistrza Botticellego inni mistrzowie z Italii: Giovanni Bellini, Vittore Carpaccio, Cosmè Tura, Lorenzo Lotto, Giovanni Battista Moroni czy Paolo Veronese. Łącznie siedem arcydzieł renesansu ze zbiorów Accademia Carrara w Bergamo oraz dwa niedawne nabytki Zamku Królewskiego: „Cud wyprowadzenia wody ze skały” Jacopo Bassano i „Madonna” Defendente Ferrariego. A wszystko w Dawnej Izbie Poselskiej – najważniejszym renesansowym wnętrzu Zamku. ©©

GDZIE? Zamek Królewski w Warszawie
KIEDY? do 18 września



FOT. WISZEWIA

KOBIETA W PLAKACIE

Kielnarowa to niewielka podreszowska miejscowość, a w niej Centrum Turystyki i Rekreacji, a w nim międzynarodowa wystawa plakatu z udziałem blisko 100 artystów z 30 krajów świata. Wszystkie prace łączy motyw kobiety. – Kobiety od zawsze były kojarzone z określonymi rolami, takimi jak matka, opiekunka, kochanka oraz wieloma innymi – mówi dr Patrycja Longawa, kuratorka ekspozycji. – Celem wystawy jest [...] ukazanie wizji kobiety przez artystów wielu narodowości w nowoczesnej sztuce – dodaje. ©©

GDZIE? CTiR w Kielnarowej
KIEDY? do 31 października
(w trzech częściach)

NA SŁUCH

100 bluesów!



GRZEGORZ BRZozowicz

Najnowsza płyta Mai Kleszcz jest hołdem dla Bogdana Loebla, który w tym roku obchodzi 90. urodziny.

Poeta, prozaik i autor słów do piosenek Dżemu, SBB, Perfectu i przede wszystkim Breakoutu zadebiutował w świecie rocka w 1965 r. Tekst „Boję się psa” dla zespołu Blackout zapoczątkował długoletnią współpracę Loebła z Tadeuszem Nalepą. Trzy lata później powstał „Przyszedł do mnie blues” Breakoutu.

W kolejnych piosenkach Loebłowi udało się w sposób perfekcyjny, a zarazem unikatowy połączyć ducha bluesa z polskim smutkiem.

Na płycie „B.L.UES” znalazły się Breakoutowe standardy (m.in. „Kiedy byłem...” i „Modlitwa”) oraz przearanżowane piosenki Mai, do których Loebł pisał teksty przez ostatnie 10 lat. Utwory zagrane na 100-letniej gitarze akustycznej, kontrabasie, saksofonie i perkusji trącanej miotełkami nabrały wysmakowanego, soplicowego brzmienia.

„Postanowiliśmy sobie, żeby na tej płycie poszukać idiomu bluesa, czym on jest – tłumaczy Maja Kleszcz. – Pobawić się trochę archetypami, które tkwią w bluesie, czyli ten taniec męskiego z damskim, kobiety z mężczyzną, czym są te bóle i trudy życia”. ©©



★★★★★
MAJA KLESZCZ
„B.L.UES”
MYSTIC



★★★★★

EABS
„2061”
ASTIGMATIC

Wrocławskie combo przynosi nas do

trzeciej części „Odysei kosmicznej 2061” Artura C. Clarke’a. Orbitujemy po współczesnym jazzie, mijając hip-hopowe, drillowe i trapowe komety. W finale EABS wraz z mentorem, Janem „Ptaszynem” Wróblewskim, żegna się z matką ziemią.



★★★★★

KRZYSZTOF KOMEDA
QUINTET
„LIVE IN PRAHA 1964”

GAD

Niepublikowany koncert Komedy z pierwszego festiwalu jazzowego w Pradze. Obok lidera zagrali w Lucernie: Stańko, Urbaniak, Bartkowski i Ostaszewski. W repertuarze m.in. utwór „Svantetic”, który rok później zostanie nagrany na legendarny album „Astigmatic”. ©©



DODATEK SPECJALNY – część 13

Czy obronimy naszą tożsamość?

- Polska tożsamość a „tęczowa kultura”
- Złoty środek nie istnieje
- Rodzina LGBT?



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl
eprasa.pl e3dd7d64fc



TOMASZ D. KOLANEK

WSTĘP

Czego (nie) nauczyła nas historia?

Po 4 czerwca 1989 r. polska polityka i kultura zostały zdominowane przez hasło i wizję „powrotu do Europy”. Chodzi o przeświadczenie, że musimy za wszelką cenę i jak najszybciej doszłusować do Zachodu poprzez zakotwiczenie się w strukturach euroatlantyckich, m.in. w NATO i Unii Europejskiej, i implementowanie na naszym rodzimym gruncie tego wszystkiego, co nam nakazała.

Krótko mówiąc: nakazano, aby bez słowa sprzeciwu wprowadzać w Polsce wszystkie wzorce polityczne, gospodarcze, społeczne, kulturowe, obyczajowe, mentalnościowe, ideowe etc., które obowiązują na Zachodzie. Chodzi o to, co prof. Ryszard Legutko nazwał „modernizacją przez kserokopiarkę”, dzięki czemu, nawet jeśli w Polsce nie będzie dobrze, to przynajmniej będziemy „fajni”, „europejscy”, „nowocześni”, za co nasi dygnitarze od czasu do czasu zasłużą na niemal szczere poklepanie po ramieniu przez zachodnich partnerów.

Początkowo głównym motorem napędowym była chęć robienia biznesu. W latach 90. w Polsce ogromną karierę zrobił slogan „Kapitał nie ma narodowości”. Potem okazało się, że jednak ma. Obecnie narodowość kapitału wydaje się kwestią drugorzędą i pytanie brzmi: Którą ideologię sponsoruje dany kapitał? Jakoś tak się składa, że najczęściej jest to ideologia LGBT, która jest jedną z dominujących na Zachodzie, a skoro tak, to zgodnie z zasadą „modernizacji przez kserokopiarkę” powinna ona również zdominować Polskę.

Nieważne, że wbrew popularnej propagandzie ruchom LGBT nie chodzi o żadną tolerancję. Nieważne, że celem tej ideologii jest

brutalne podbicie świadomości społecznej, doprowadzenie do powszechnej akceptacji lansowanych przez nią praktyk i obyczajów oraz do sytuacji, w której nikt nie ma prawa oceniać. Nieważne, że według tej ideologii „moralne” jest wszystko, co daje (jak na razie) dorosłym jednostkom przyjemność, a każdego, kto próbuje się odwoływać do innych, zewnętrznych miar, nazywa się dogmatykiem, fanatykiem, faszystą, homofobem i nienawistnikiem. Wszystko jest nieważne, ponieważ ideologia LGBT jest na Zachodzie „trendy”, a skoro „wszystko, co zachodnie, jest lepsze”, to musi ona dominować również w Polsce.

Jak jednak zainstalować ideologię LGBT w Polsce? Bez wątplenia potrzebne są do tego spore pieniądze, o czym pisaliśmy już w poprzednich numerach tego dodatku. Pieniądze to jednak nie wszystko. Niezwykle ważną rolę odgrywają w tym tzw. elity oraz szeroko pojmowana kultura.

Nie jest tajemnicą, że w Polsce mamy problem z elitami. Wiele osób uważanych za przedstawicieli tej grupy zostało albo sztucznie wykreowanych, albo wystruganych z banana i z klasycznie pojmowanymi elitami nie mają oni niczego wspólnego. Główną cechą znacznej części przedstawicieli tych tzw. elit jest poczucie wyższości nad resztą społeczeństwa. Ludzie ci uważają, że oni są lepsi pod każdym względem – a zwłaszcza moralnie – od reszty polskiego „ciemnogrodu”, bo lepiej rozumieją zachodnią nowoczesność, w tym wypadku ideologię LGBT.

Według tych ludzi wszystkie chwytły są dozwolone. Wystarczy tylko przypomnieć, co członkinie Rady Języka Polskiego mówiły,

kiedy przez polskie miasta przechodziły demonstracje pod hasłem „Wypier...”. Zdaniem tych pań z tytułami profesorskimi używanie wulgarnych słów było całkowicie uprawnione, uzasadnione, a nawet godne pochwały. A wszystko w myśl zasady: jeżeli słowa pełne przemocy, kierowane pod adresem adwersarzy politycznych, światopoglądowych, ideowych etc., są zgodne z ideologią postępową – LGBT, feministyczną, klimatyczną etc. – to trzeba ich używać i się tym szczycić. To toruje drogę do sytuacji, w której za przemocą słowną może iść przemoc fizyczna.

Najgorsze jest to, że z takimi sytuacjami mieliśmy do czynienia w przeszłości i nie wyciągnęliśmy z tego żadnych wniosków. Ideologia LGBT jest tylko jednym z instrumentów wyrażania tej samej odwiecznej pogardy datującej się przynajmniej od czasów oświecenia w Polsce, kiedy elita oświecenia utożsamiała się z Zachodem chciała z jednej strony wprowadzać wiele słusznych rozwiązań przyjętych na Zachodzie, ale z drugiej chciała również budować swoje poczucie wartości na pogardzie wobec starego społeczeństwa polskiego. To przeciwstawienie – oświecony przeciwko Sarmacie – jest prawozorem tych wszystkich przeciwstawień, które dzisiaj występują, które odwołują się do nowych ideologii. Teraz jest to LGBT, a jutro będzie to coś innego. Ideologia opiera się jednak na jednym: na nienawiści wobec tych, którzy są inni ode mnie, od których chcę się odróżnić, i taka jest również natura ideologii LGBT.

Jeśli zaś chodzi o kulturę, to tutaj oddam już głos naszym świętym autorom, którzy wzięli udział w tworzeniu tego dodatku.

Życzę owocnej lektury. ©©



Z Marcinem Romanowskim,
wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Tomasz Rowiński

Sztuka nie potrzebuje politycznego zabarwienia

TOMASZ ROWIŃSKI: Czy polskie państwo dysponuje rozwiązaniami prawnymi, które nie pozwolą na finansowanie z pieniędzy publicznych teatrów i innych instytucji kultury promujących agendę polityczną ruchu LGBT? Unia Europejska nieustannie wplata w swoje mechanizmy prawne poparcie dla tej ideologii.

MARCIN ROMANOWSKI: Jeśli sztuka jest dobra, to broni się sama i nie potrzebuje do tego politycznego zabarwienia. Niestety, część środowisk artystycznych o tym zapomina i na siłę ideologizuje swoje działania. Co gorsza, robi to za publiczne pieniądze. Widać w tym przyzwyczajenie jeszcze z czasów późnego PRL. Sytuacja ta nie zmieniła się w III RP, szczególnie za rządów Platformy Obywatelskiej czy lewicy. Celebryci w zamian za milionowe dotacje i subwencje na swoje teatry, galerie czy projekty artystyczne (bardzo często pseudoartystyczne) ochoczo fotografowali się z Bronisławem Komorowskim, stojąc murem za jego prezydenturą. Dziś instytucje kulturalne, nawet te publiczne, są zdominowane przez ludzi o radykalnych ojkofobicznych poglądach, silnie zideologizowanych i upolitycznionych. Zastąpienie tej niby-elity o postkomunistycznym rodowodzie to wyzwanie; proces, który potrwa jeszcze wiele lat. Zresztą problem leży głębiej. Aktywiści mają silne wsparcie ze strony Brukseli broniącej każdego przejawu demoliberalizmu w państwach członkowskich, szczególnie w Polsce. Unia Europejska od dłuższego czasu rości sobie prawo do coraz to nowszych kompetencji, które zaczęły obejmować sprawy obyczajowe. Ideologię Nowej Lewicy nazywa się dzisiaj „europejskim stylem życia”, którego Komisja Europejska zamierza „bronić”. Powiązanie z rzekomym prymatem prawa unijnego często wiąże nam ręce. Piewcy postępu dobrze o tym wiedzą, stosując taktykę totalnej opozycji: ulica oraz zagranica.

Czy są jednak do pomyślenia narzędzia, które polskie państwo mogłoby zastosować, by tę sytuację zmieniać? Czy to tylko kwestia wymiany elit czy wymiany kadr?

W sferze kultury wszystko jest kwestią czasu. Czas hojnego finansowania liberalnych elit artystycznych się skończył. Dotacje można kontrolować, weryfikować, oceniać wykonawcę i efekty jego pracy. Większość artystów nie kryje się jednak z wrogością wobec tradycyjnych wartości i jej zwolenników. Zarazem nie da się wyrzucić lewicy

„jednym przyciskiem guzika”. Żyjemy w demokratycznym państwie, w którym w przeciwieństwie do lewicowej cancel culture wykluczanie innych poglądów nie jest możliwe. Często nie ma dla nich alternatywy. Bez wymiany pokoleniowej, wykształcenia autentycznie konserwatywnych ludzi sztuki i jej znawców takie działania nie będą mieć sensu. Społeczna prawica dużo mówi na ten temat, lecz niestety niewiele robi. Nasz rząd robi w tym kierunku to, co

Niestety, Bruksela nie zatrzyma się w swoim ideologicznym szaleństwie nawet w czasie wojny

możliwe – naprawiamy program nauczania w szkołach, dofinansowujemy szkolnictwo wyższe, także pod kątem sztuk pięknych. Efekty poznamy po latach – obecnie widzimy dziedzictwo lat dwutysięcznych, czasów zakompleksionej III RP budzącej we własnych obywatelach wstyd za własną kulturę. „Polskość to nienormalność” – skądś to przecież znamy.

Czy Polska ma możliwość, by przeciwstawić się praktykom Brukseli, która coraz mocniej wiąże programy redystrybucji środków ze swoim pakietem ideologii gender?

Unia Europejska konsekwentnie realizuje ideologiczną agendę, atakując w europejskiej przestrzeni publicznej każdy przejaw innego niż lewicowy światopoglądu. Walka z nieistniejącymi „strefami wolnymi od LGBT”, naciski na uznanie rodzicielstwa osób tej samej płci czy forsowanie aborcji na życzenie zdecydowanie nasiliły się w ostatnich trzech latach. Ale nie pozostajemy bierni. Solidarna Polska od dawna dąży do wypowiedzenia szkodliwej konwencji stambulskiej, która zamiast chronić kobiety i dzieci, manipuluje pojęciami, wprowadzając do polskiego porządku prawnego ideologię gender. Konwencja okazała się zresztą bezużyteczna, nie dając żadnych konkretnych rozwiązań prawnym organom ścigania ani wymiarowi sprawiedliwości. Dlatego w listopadzie 2020 r. wprowadziliśmy tzw. ustawę antyprzemocową. Pokaza-

liśmy, że można skutecznie zwalczać przemoc domową bez ideologii. Kilka miesięcy temu przyznała to w toku obrad Parlamentu Europejskiego nawet Sylwia Spurek.

Niestety, Bruksela nie zatrzyma się w swoim ideologicznym szaleństwie nawet w czasie wojny. Uchwalony niedawno mechanizm warunkowości, wciąż nieuruchomiony, grozi odebraniem Polsce wszystkich należnych jej środków ze wspólnego budżetu. Europosłowie nie pozostawiają złudzeń: nie chodzi już o praworządność, a światopogląd. To ma być swego rodzaju kara dla polskiego społeczeństwa za to, że śmiało wybrać konserwatywny rząd. Lutowa rezolucja wzywa do uruchomienia mechanizmu, ponieważ Polska „prześladuje homoseksualistów” oraz organizuje „piekło kobiet”. Dobrze widzimy, że UE zmienia się w lewicową utopię, która nie cofnie się nawet w obliczu wspólnego zagrożenia ze Wschodu.

To jest poważna kwestia, dziś wydaje się nie do pomyślenia – choćby z powodu imperialnej polityki rosyjskiej – rozważany w ostatnich latach polexit. Czy jesteśmy skazani na wegetację w ramach UE pod nieustannym zagrożeniem sankcji z jej strony i zmagani z instytucjami brukselskimi o każde euro i o każde suwerenne prawo?

Trwająca wojna na Ukrainie dość wyraźnie zarysowała linię podziału zadań pomiędzy Unią Europejską a NATO. Pod niemieckim przywództwem Unia jest niezdolna do realnych działań wymierzonych w Kreml ani zapewnienia wsparcia swoim sojusznikom. Najlepszym dowodem jest coraz bardziej realna wizja akcesji do paktu północnoatlantyckiego Finlandii, która widzi, że Bruksela nie gwarantuje pełnego bezpieczeństwa. Niemniej, członkostwo w UE daje swego rodzaju bufor bezpieczeństwa, a potencjalnych agresorów może odstraszać poczucie, że nie atakuje osamotnionego celu tak jak w przypadku Ukrainy. Aktualnie znajdujemy się pod zmasowanym ostrzałem ideologicznym ze strony brukselskich instytucji i nie pozostaje nam nic innego, jak twardo stać przy swoim i bronić polskiej suwerenności. Nie ma w tej chwili realnej alternatywy dla UE, dlatego tak istotna jest zrewidowana przez rząd Zjednoczonej Prawicy polityka wschodnia. Stoimy przed historyczną szansą, by stać się adwokatem w sprawie ukraińskiej, a nasza odpowiedź na rosyjską inwazję

postawiła nas w roli lidera regionu. To idealne fundamenty pod rozwijanie idei Trójmorza. Jest również szansa na zmianę kursu lub przynajmniej jego złagodzenie w przypadku przyłączenia do Unii Ukrainy czy Turcji, ale to tylko pobożne i długofalowe życzenia. Na teraz pozostaje nam konsekwentne stawianie tamy ideologicznej ekspansji eurokratów. Nie jesteśmy traktowani jak pełnoprawny członek wspólnoty, czego dowodem jest hańbiący Brukselę brak wsparcia przy kryzysie uchodźczym. Wobec tego nie powinniśmy płacić składek członkowskich. Solidarna Polska złożyła już w tej sprawie wniosek do premiera.

Co można zrobić w sytuacji, gdy zagraniczne podmioty finansują istniejące w Polsce organizacje podważające konstytucyjny ład publiczny, np. w zakresie praw rodziny i małżeństwa?



FOT. AOBIE STUCKY12 KREBIEK

Najważniejsza jest przejrzystość. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, jak wiele organizacji funkcjonujących w przestrzeni publicznej realizuje ideologiczną agendę za cudze pieniądze. W tym celu Solidarna Polska przedstawiła 30 marca 2022 r. projekt ustawy wprowadzający transparentność finansowania organizacji pozarządowych z zagranicy. Polacy muszą wiedzieć, kto płaci aktywistom, którzy sięją zamęt w umysłach młodych ludzi czy celowo podważają działania rządu w czasach kryzysu, sięjąc dezinformację. Takie rozwiązania istnieją od lat na całym świecie, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Po płoch, jaki wywołał nasz projekt, udowodnia, że jest on bardzo potrzebny. Niedawno wyszło na jaw, że Kreml szczerze finansował ekologów w Niemczech, by spokojnie dokończyć budowę antyeuropejskiego gazociągu Nord Stream 2. Nie zdziwi się,

Niedawno wyszło na jaw, że Kreml szczerze finansował ekologów w Niemczech, by spokojnie dokończyć budowę gazociągu Nord Stream 2

jeśli to samo dzieje się w przypadku działaczy spod znaku tęczowej flagi czy Strajku Kobiet. W tym wypadku sponsorami mogą okazać się George Soros bądź inni lewicowi doktrynerzy. Transparentność pozwoli ocenić skalę manipulacji oraz prawdziwe intencje wielu NGO-sów atakujących rzeczywiste wartości.

Zapytam o sądy. Można odnieść wrażenie, że polski wymiar sprawiedliwości niemal zawsze staje

po stronie promotorów ideologii LGBT i wydaje wyroki takie jak np. w przypadku „tęczowej aureoli” na wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej. Czy obraza uczuć religijnych katolików w ogóle w Polsce funkcjonuje?

Za sprawą działania opozycji, która wzywa do „piłowania” katolików i wspiera pochody, na których dewastowane są kościoły, to, co jeszcze niedawno było w Polsce zupełnie nie do pomyślenia, dzisiaj zaczyna stawać się poważnym zagrożeniem. W przestrzeni publicznej na stałe zagościły wulgarne hasła, którymi aborcjonistki „udekorowały” mury kościołów w całej Polsce. Jak wynika z badań Laboratorium Wolności Religijnej, wzrost ataków na osoby wierzące jest bardzo znaczący. Przykładowo w 2019 r. mieliśmy w Polsce 72 kazusy naruszenia wolności religijnej, w roku 2020 – aż 311. Zdecydowana większość – 300 przypadków – dotyczyła ataków na katolików. Skala ataków na chrześcijan i pogwałcenia obowiązującego prawa przekroczyła wszelkie znane dotychczas w naszym kraju granice.

Zorganizowany antyklerykalizm nie pozostawia obecnie żadnych złudzeń jako obiektywnie istniejące zagrożenie dla wolności religii. Niestety, często idzie to w parze z brakiem konsekwencji spowodowanym rozpadem systemu ochrony wolności sumienia i religii. Obserwujemy to głównie w europejskiej przestrzeni prawnej, ale niestety także w polskich sądach. Zachodzi proces wypaczenia pierwotnego znaczenia norm i chronionych przez nich wartości. Brakuje odpowiedniego balansu pomiędzy wolnością słowa a wolnością religijną. Dotyczy to przede wszystkim stosowania prawa, szczególnie interpretacji sędziowskiej. Wraz z powszechną relatywizacją pojęć i postulatami aktualizacji moralności ztraca się istotę praw podstawowych. Odpowiedzią na ten stan rzeczy jest złożony przez Solidarną Polskę projekt nowelizacji Kodeksu karnego, który rozszerzy ochronę wolności sumienia i wyznania. Chcemy wprowadzić bardziej precyzyjne przepisy. Nie zwiększamy kar, ale zwiększamy ochronę tych podstawowych i kluczowych praw. W obliczu nienawiści rozniecanej wobec katolików niezbywalne prawa człowieka wymagają większej ochrony. Nasz projekt to zagwarantuje.

Chesterton napisał kiedyś, że „prawdy zamieniają się w dogmaty, gdy tylko zostaną podważone”. Nie miał też wątpliwości, że „wielki marsz umysłowej destrukcji pójdzie dalej”. Dojdzie do tego, że „zostaniemy zepchnięci do obrony nie tylko niewiarygodnych cnót i normalności ludzkiej kondycji, lecz także czegoś bardziej jeszcze niewiarygodnego – rozległego, niemożliwego wszechświata, który rozpościera się tuż przed naszymi oczyma”.

W ten sposób w ciągu ostatnich kilku, kilkunastu lat wielu z nas stało się „dogmatykami” utrzymującymi, że są dwie płcie, że małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety, na którym wspiera się rodzina złożona z mamy, taty oraz ich dzieci. Z tymi „dogmatami” walczy kolejna fala rewolucji – uczniowie Gramsciego, szkoły frankfurckiej i „nowej lewicy” opartej na starym i niedobrym marksizmie – w świecie kultury i polityki. Dzisiaj „nowy rodzaj komunizmu” (jak nazywał „pokolenie roku 1968” bł. kard. Stefan Wyszyński) kwestionuje istnienie dwóch płci, zredefiniował małżeństwo jako wspólnotę „dążącą do wzajemnego szczęścia”, a więc nieograniczoną ilościowo (jeśli do szczęścia trzeba więcej niż dwóch współmałżonków) ani pod względem różnic płciowych.

W naszych czasach słowa Chestertona o tym, że „rodzina jest romantyczna, bo jest przypadkowa; jest romantyczna, bo jest arbitralna”, nabierają zupełnie nowego znaczenia. Nowa definicja rodziny jest rewolucyjną konsekwencją nowego ujęcia małżeństwa i płci, a tym samym stanowi radykalne zerwanie z sięgającą początków pierwszych cywilizowanych społeczności ludzkich (Sumer, Egipt, Indie, Chiny) tradycją pojmowania rodziny jako wspólnoty opartej na trwałym (uznanym przez religię i państwo) związku mężczyzny i kobiety.

KROK ZASADNICZY

Jako „moment zwrotnicowy” oznaczający przyspieszenie antyrodzinnych procesów społecznych i kulturowych wskazuje się na lata 60. ubiegłego wieku. Nie tylko chodzi w tym kontekście o rewolucję antropologiczną przeprowadzaną na uniwersytetach przez uczniów neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej, która w ślad za twórcami „naukowego socjalizmu” oraz sfałszowanymi badaniami „naukowymi” (por. raporty Kinseya z lat 40.) przedstawiała rodzinę



FOT. ADAM STOK

Nieprzypadkowy kryzys rodziny



Grzegorz Kucharczyk

Duchowy oraz intelektualny kryzys Kościoła przekładał się na kryzys całej cywilizacji stworzonej „w cieniu katedr”, w tym na obecność w społeczeństwach i w sferze kultury chrześcijańskiej wizji rodziny

jako miejsce „dominacji”, „represji” oraz podatnego gruntu do rozwoju „autorytarnych osobowości”. Jak przekonywali Theodor Adorno i jego uczniowie, im bardziej rodzina była oparta na związku

kobiety i mężczyzny (z zaznaczoną rolą ojca, stale obecnego wśród domowników), tym większe prawdopodobieństwo wychowania zwyrodnialców w rodzaju Hitlera.

Lata 60. to także rewolucja seksualna zainaugurowana wprowadzeniem w pierwszej połowie tej dekady na rynki po obu stronach Atlantyku farmakologicznych środków antykoncepcyjnych. Na „pigułce” (podobnie jak na innych aspektach rewolucji seksualnej) najbardziej skorzystali mężczyźni, zwolnieni z konsekwencji społecznych wcześniej związanych z pojawieniem się przedślubnego potomstwa. Tak zwana mentalność antykoncepcyjna – jak głosili rewolucjonści z pokolenia ’68 – oznaczała również emancypację kobiet, czyli zachętę do demoralizacji pod hasłami „bezpiecznego seksu” i rozporządzania przez kobiety własnym ciałem (im bardziej rewolucja postępowała, tym szczegółowiej i tym wulgarniej wymieniano elementy tego ciała jako gwarantów walki z „piekłem kobiet”).

Niedawno mogliśmy przekonać się w naszym kraju, że samo użycie terminu „cnoty niewieście” budzi falę hejtu przemieszanego z ironicznymi złośliwościami. Tymczasem – jak zauważył kilkadziesiąt lat temu bł. Prymas Tysiąclecia – „odejście mężczyzn od Boga nie jest jeszcze największą tragedią świata, ale odejście kobiet jest tragedią niemalże krańcową, bo w takiej sytuacji nie ma drogi powrotu. [...] Zdają sobie z tego sprawę liczni stratedzy wojującego ateizmu, którzy zawzięli się, aby kobiecie odebrać wiarę, bo wówczas zwycięstwo byłoby pewne” (Warszawa, 5 sierpnia 1964 r.).

Do tych „strategów wojującego ateizmu” w latach 60. XX w. doszła spora część hierarchów kościelnych na Zachodzie, którzy de facto wszczęli bunt przeciw potwierdzeniu przez Magisterium Kościoła chrześcijańskiej wizji małżeństwa i rodziny, uwzględniającej wymiar krzyża, czyli wyrzeczenia (ascezy) w relacjach współmałżonków. Faktyczne odrzucenie encykliki „Humanae vitae” (1968) św. Pawła VI jest najbardziej dramatyczną ilustracją takiego samobójczego dla Kościoła i dla rodziny stanowiska większości episkopatów zachodnioeuropejskich i północnoamerykańskich.

Wielu biskupów niemieckich, francuskich czy amerykańskich nie było w stanie podpisać się pod słowami, które na początku tej feralnej dekady wypowiedział w Polsce bł. kard. Stefan Wyszyński, zwracając się do mężczyzn: „Najmilsi! Spraw współżycia dwojga nie rozstrzy-

gniecie za pomocą techniki, jedynie za pomocą ducha! Rozstrzygnięcie je, jeżeli będziecie pamiętali o równych prawach mężczyzny i kobiety w małżeństwie, o swojej wysokiej godności i o godności waszej małżonki. Jest ona nie tylko ciałem, ale i duchem, i dzięki temu jest człowiekiem. Trzeba więc uszanować w niej i wielbić nie tylko ciało, które Bóg ukształtował, ale i ducha, którego jej ciało dał. Musisz szanować ją nie tylko dla walorów jej ciała, ale i ducha, bo duch jest tym, który ożywia” (Bydgoszcz, 11 września 1960 r.).

OD RZEMYCZKA DO KONICZKA

Odrzucenie „Humanae vitae” było dramatycznym wyrazem poważnego kryzysu, który drażył Kościół powszechny. Podobnie jak w wiekach poprzednich również w XX w. duchowy oraz intelektualny kryzys Kościoła (a właściwie kryzys wiary i rozumu wielu hierarchów kościelnych) przekładał się na kryzys całej cywilizacji stworzonej „w cieniu katedr”, w tym na obecność w społeczeństwach i sferze kultury chrześcijańskiej wizji rodziny.

W sferze świeckiej (pokazuje to przykład amerykański) w ciągu pół wieku została pokonana droga od legalizacji sprzedaży środków antykoncepcyjnych w USA (1965) do legalizacji na poziomie federalnym tzw. małżeństw jednopłciowych (2015). W sferze kościelnej (pokazuje to przykład niemiecki) mniej więcej tyle samo trwało przebycie drogi od odrzucenia encykliki „Humanae vitae” (1968) do błogosławienia przez hierarchów kościelnych „związków jednopłciowych” (2021). To itinerarium ma w obu przypadkach tę samą nazwę: kryzys rodziny.

Kamieniem milowym w procesie destrukcji odziedziczonych po chrześcijaństwie modelu rodziny w świecie zachodnim było podjęte w 2015 r. przez amerykański Sąd Najwyższy większością jednego głosu (5:4) orzeczenie legalizujące „małżeństwa jednopłciowe” na całym obszarze USA. Jak wskazywała ekspertyza nadesłana do Sądu w formie listu amicus curiae przez ponad stu ekspertów z różnych dyscyplin naukowych (m.in. socjologii, psychologii, pediatrii, prawa rodzinnego), legalizacja „związków jednopłciowych” oznaczała kolejny cios w rodzinę. Naukowcy odwoływali się w tym kontekście do zauważanej od lat prawidłowości, wedle której legaliza-

cja „małżeństw jednopłciowych” zawsze oznaczała spadek (ok. pięcioprocentowy) liczby zawieranych małżeństw między kobietami a mężczyznami. Autorzy ekspertyzy stwierdzali, że „jeśli narzucona redefinicja małżeństwa powodowała jedynie pięcioprocentowy spadek zawierania małżeństw między różnymi płciami w USA, to można racjonalnie zakładać, że w ciągu kolejnych 30 lat ten spadek przyniesie efekt w postaci niemal 1,3 mln kobiet, które nie zawrą związku małżeńskiego”.

Podobna prawidłowość – podkreślali autorzy listu amicus curiae – dotyczyła również innych państw. W Hiszpanii w ciągu dziewięciu lat po legalizacji „małżeństw jednopłciowych” liczba zawieranych małżeństw „różnopłciowych” spadła o 36 proc. W Kanadzie spadek ten wynosił 4,3 proc., a w Belgii 7,7 proc.

Autorzy innej ekspertyzy, która dotarła do amerykańskiego Sądu Najwyższego przed ogłoszeniem orzeczenia w sprawie Obergefell vs. Hodges (2015), wskazywali na korelację między legalizacją „małżeństw jednopłciowych” a spadkiem dzietności. Pokazywano, że spadek ten w latach 2005–2010 był dwa razy większy w tych amerykańskich stanach, które zdecydowały się zalegalizować „związki jednopłciowe”.

Eksperti, którzy sporządzili te dwie cytowane opinie, byli zgodni co do tego, że w dalszej konsekwencji planowana legalizacja „małżeństw jednopłciowych” doprowadzi do nasilenia innych destrukcyjnych dla rodziny zjawisk, takich jak aborcja czy pojawienie się potomstwa w związkach pozamałżeńskich. Pięcioprocentowy spadek liczby zawieranych małżeństw oznaczać będzie, jak twierdzą autorzy pierwszej z cytowanych ekspertyz, w ciągu kolejnych trzech dekad 900 tys. więcej aborcji i 600 tys. więcej dzieci rodzących się w rozbitych rodzinach (bez ojca). W naturalny sposób legalizacja „małżeństw jednopłciowych” pociągnie za sobą zwiększenie liczby dzieci wychowywanych w takich związkach, co zdaniem cytowanych naukowców oznaczać będzie „podważenie rodzinnej stabilizacji” dla niemal 74 mln dzieci w Ameryce w ciągu następnych 30 lat.

A na początku – jak zawsze – było słowo. W tym przypadku głoszące, że podstawą życia rodzinnego jest „dążenie do szczęścia dwóch dorosłych osób”.



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Czy obronimy naszą tożsamość?



Z prof. Andrzejem Nowakiem
rozmawia Tomasz
D. Kolanek

TOMASZ KOLANEK: Jak ocenia pan obecną kondycję polskiej tożsamości: narodowej, kulturowej, cywilizacyjnej?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Sądzę, że następują zmiany, których nie przewidywaliśmy. Są one związane z „wpływami zewnętrznymi”, których doświadczamy w roku 2022. Mam na myśli imperialną, zbrodniczą politykę Władimira Putina – inspiratora rosyjskiej

agresji na Ukrainę – oraz odpowiedź na tę agresję ze strony samych Ukraińców, która pokazuje nam najgłębszą prawdę o naturze ludzkiej wspólnoty. O naturze, która została w jakiejś mierze zapomniana i świadomie była zamazywana i rugowana w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Istotą tej natury jest to, że ludzie tworzą pewne wspólnoty, a najbardziej naturalną z nich jest wspólnota naszego domu opartego na rodzinie. Jeśli przychodzi ktoś obcy do naszego domu, sięga po naszą własność, próbuje zgwałcić naszą żonę, córkę, siostrę, matkę, to naturalnym odruchem jest wtedy stanąć do obrony tego domu. Z taką

sytuacją mamy do czynienia w ostatnich miesiącach na Ukrainie, gdzie odpowiedź na agresję imperialną Rosji nie jest ucieczka. Nie jest nią także powiedzenie: „Trudno, przeniesiemy się gdzieś indziej. Nie będziemy się bronić, bo narazimy w ten sposób nasze zdrowie i życie. Lepiej uciec”. Nie jest nią postawa promowana przez „nowoczesny” świat, która polega na tym, że w imię komfortu lepiej uciec niż się bronić, ponieważ obrona domu jest czymś przestarzałym, staroświeckim, zaściankowym. Czymś, co nie odpowiada wizji postnowoczesnej, posttożsamościowej. Wizji, którą lansowano kiedyś pod hasłami sformułowanymi przez podpułkownika służb specjalnych stalinowskiej Polski – Zygmunta Baumaną.

Ma pan na myśli tzw. płynną ponowoczesność?

Tak. Istotą tej idei, ideologii, jest to, że człowiek nie ma żadnej stabilnej tożsamości, w związku z czym nie ma także ani domu, ani żadnego trwałego przywiązania. Jego celem – czy może raczej przeznaczeniem – jest płynąć z prądem, który niesie go coraz dalej. Człowiek powinien się do tego zaadaptować i – co za tym idzie – specjalnie się do niczego nie przywiązywać, bo jego potrzeby określa bieżąca chwila.

Paradoksalnie ideologia postmark-sistowska czy kontynuująca marksizm zgadza się z czymś, z czym marksizm formalnie wojował, czyli z logiką konsumpcjonistycznego kapitalizmu. Ta właśnie logika wymaga, żeby człowiek nie miał żadnej trwałej tożsamości, ponieważ tylko wtedy, kiedy jej nie ma, można mu wmówić wszystko, można mu wcisnąć każdy produkt pod pozorem tego, że bez niego życie straci sens. „Wybierz siebie – wybierz coca-colę!” – to jest slogan tej ideologii. Czyli człowiek nie ma żadnej tożsamości, bo jego tożsamością dzisiaj jest coca-cola, a jutro będą nią nowe rajstopy, nowy krem upiększający, nowy sprzęt RTV etc.

To właśnie pokazuje logikę działania tego systemu, w którym nie istnieje coś takiego jak dom, i nie mam tutaj na myśli jedynie budynku, tylko coś, co dawniej określano jako imponderabilia, czyli coś, czego nie da się zmierzyć, obliczyć, zważyć.

Dom, o którym mówię, to m.in. godność człowieka. Godność, która wiąże się z odpowiedzialnością nie tylko za siebie, lecz także za innych. Jeśli pojawia się zagrożenie dla mojego domu, to go bronię. Jeśli jestem mężczyzną, to mam określoną rolę społeczną związaną z historią naszej ludzkiej tożsamości, w której następuje

■ historyczny podział odpowiedzialności. Nie ma hierarchii tej odpowiedzialności, ale jest wyraźnie wyznaczony jej podział. Mężczyzna historycznie broni swojego domu, broni swojego terytorium rozumianego nie jako puste miejsce, ale jako miejsce, które wypełnia duch wspólnoty, którą dzieli z rodziną – żoną, dziećmi, rodzicami, którym pomaga. To jest właśnie etyka godności, którą buduje odpowiedzialność za tę najbardziej podstawową wspólnotę.

Jaki wpływ na związek z tym na polską tożsamość ma sytuacja na Ukrainie?

Z Ukrainy wyjeżdżają w przytłaczającej większości kobiety z dziećmi, a mężczyźni często dobrowolnie, a nie z przymusu, bo tym właśnie jest obowiązkowa mobilizacja i pobór rezerwistów, bronią swojego domu. Widzimy również, że bardzo wielu Ukraińców mieszkających w Polsce wraca do ojczyzny, aby jej bronić, i to pomimo tego, że państwo ukraińskie nie ma tutaj nad nimi mocy. Mogliby oni przecież zostać w Polsce i się tutaj dekowac, ale wielu z nich tego nie czyni, tylko wraca na Ukrainę walczyć, bo wie, że jest ona ich wspólnym domem, który chcą obronić przed barbarzyńskim agresorem z zewnątrz.

W mojej ocenie to wszystko sprawia, że nasza polska kondycja narodowa, tożsamościowa się poprawia. Istota tego, co wynika z lekcji ukraińskiej, nie polega tylko na tym, że Ukraińcy bronią swojego domu, bronią granic naszego domu i naszej wolności. Istota tej lekcji ukraińskiej jest dużo głębsza i dużo ważniejsza – Ukraińcy burzą system postnowoczesności, w którym nie ma miejsca na przywiązanie człowieka do niczego innego niż jego własny interes, jego własna przyjemność, jego własna zmieniająca się z dnia na dzień płynna, nowoczesna, komfortowa sytuacja.

To jest właśnie ta zmiana, którą widzimy na własne oczy i na którą reagujemy tak, jak reagujemy, to znaczy: przyjmujemy Ukraińców.

Wielu jest zbulwersowanych tym faktem. Dziwią się oni, że Polacy przyjmują Ukraińców, a imigrantów codziennie atakujących granicę z Białorusią już nie.

Ta różnica szokuje najbardziej zwolenników płynnej nowoczesności: Dlaczego Polacy nie wpuszczają tych młodych, zdrowych mężczyzn wspieranych przez policję Łukaszenki, a wysyłanych de facto przez Putina, którzy mają pełną zdolność do pracy, ale nie pracują, tylko używają swoich mięśni jedynie po to, żeby przebić się do miejsca, w którym nic nie będą musieli

Polacy w coraz większej liczbie zdają sobie sprawę, że bycie narodem, bycie wspólnotą nie jest czymś wstydliwym

robić i żyć z zasiłków? „Dlaczego Polacy nie chcą ich wpuścić? Dlaczego się przed nimi bronią?” – pytali wyznawcy płynnej nowoczesności czy to na Zachodzie, czy to w Polsce, którzy oburzali się tym faktem. „Dlaczego Polacy wpuszczają na swoje terytorium tak nieprawdopodobną w swojej skali liczbę kobiet i dzieci z Ukrainy? Dlaczego ich przygarniają?” – niedowierzali.

Nie mam wątpliwości, że ta sytuacja świadczy o polskim zdrowym instynkcie. Polacy rozumieją, że w przytłaczającej większości z Ukrainy uciekają do nas kobiety i dzieci, a więc słabsze istoty, które potrzebują pomocy. Te kobiety i dzieci z Ukrainy nie wybrały tego losu – ucieczki do Polski – po to, żeby szukać komfortowego życia. Zrobiły to dlatego, że ich dom jest zagrożony, niszczone, a ich mężowie, bracia, ojcowie bronią tego domu.

To jest właśnie powrót do pewnego rodzaju podstaw naszej ludzkiej natury, na które odpowiedzieliśmy w Polsce zgodnie z regułami ludzkiej natury.

Podam jeszcze jeden przykład, który odzwierciedla tę pozytywną zmianę. Obchodzimy od kilkunastu lat 2 maja Święto Flagi. Co roku obserwuję na moim osiedlu, ile osób wywiesza tego dnia biało-czerwone barwy. Przez lata nie było z tym najlepiej, ale nigdy nie było tak dobrze jak w tym roku.

Czy była to symboliczna odpowiedź Polaków na sytuację wojenną za naszą wschodnią granicą?

W mojej ocenie tak, ale nie tylko. Drugim powodem bez wątpienia był fakt, że po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę na tysiącach polskich domów pojawiły się flagi niebiesko-żółte, czyli barwy narodu sąsiedniego, który szanujemy za jego postawę w obronie własnego domu niezależnie od rachunków historycznych. Wiele osób pomyślało: „Jak to? Wywieszamy flagę Ukrainy, a nie wywieszamy flagi Polski? Będziemy się jej wstydzić?” i wywiesiło biało-czerwone barwy. Wiele z nich nie zostało zdjętych 4 maja, tylko ciągle dumnie wiszą na swoim miejscu.

To jest ta zmiana, którą obserwujemy po 24 lutego 2022 r. Polacy w coraz

większej liczbie zdają sobie sprawę, że bycie narodem, bycie wspólnotą nie jest czymś wstydliwym, tylko jest powodem do dumy. Postawa Ukraińców, którzy podkreślają znaczenie swojego patriotyzmu, heroizmu w walce, w obronie własnego domu, sprawia, że nagle spoglądamy na to, na co tak krzywo i szyderczo patrzono przez najsilniejsze media, że trzeba wstydić się patriotyzmu, że to faszyzm, że tak nie przystoi prawdziwym Europejczykom i ludziom nowoczesnym, postmodernistycznym.

Tego typu narracja została zakwestionowana przez dramatyczny przykład Ukrainy. Czy powiemy dzisiaj: „Ukraińcy to faszyści, ponieważ się bronią przed agresją”? Nie! Obrona własnego domu nie jest faszyzmem, a to nam wmawiano do niedawna nie tylko ze strony propagandy Putina, lecz także przez polskie media, że przypomnę chociażby opublikowany kilkanaście lat temu w „Gazecie Wyborczej” tekst pt. „Patriotyzm jak faszyzm”.

Według niektórych propagandystów pierwszymi uchodźcami, którzy mieli przybyć z Ukrainy do Polski, nie były kobiety i dzieci, tylko tzw. osoby LGBT. Jakaż to próbowano przy tym nakręcić antypolską spiralę! Lewicowi aktywiści jeździli na granicę, żeby sprawdzać, czy nie ma tam dyskryminacji tzw. osób LGBT, a niektóre organizacje obiecały zorganizowanie specjalnej pomocy tylko dla takich osób w Polsce, aby obronić je przed „polską nienawiścią”. Polacy jednak przyjęli tych ludzi i pomogli im...

Na granicy z Ukrainą, o ile mi wiadomo, nikt nie sprawdzał „orientacji seksualnej” uchodźców ani jakichkolwiek innych czynników mogących różnicować ludzi, jak np. wyznania religijnego.

Przypomnę, co sugerowano w obrazie nietolerancyjnej Polski, której tożsamość trzeba raz na zawsze porzucić. Jednym z elementów takiej Polski miał być rzekomy szowinizm etniczny i religijny, że podobno chcemy w Polsce tylko katolików. Nie jest tajemnicą, że ogromna większość ludzi przybywających z Ukrainy do Polski to nie są katolicy, i nie mam tutaj na myśli rozróżnienia na rzymskich i greckich katolików, tylko to, że większość uchodźców z Ukrainy to prawosławni. I co? I Polacy nie mają z tym żadnego problemu.

Tym bardziej nie słyszałem żadnych podziałów i sugestii typu: „Może ta pani to reprezentantka ruchu LGBT? A ten pan to transkobieta? Jeśli tak, to nie wpuszczymy ich do Polski”. Polacy postępują całkowicie odwrotnie, niż miałyby to wynikać z narracji ruchów ideologii

LGBT czy tych ruchów, które za główny cel stawiają sobie szerzenie nienawiści.

Nienawiści?

Tak, nienawiści! Istotą tych ruchów jest nienawiść do tego, co uważają za przestarzałą tożsamość, którą chcą zlikwidować, żeby wprowadzić to, o czym mówimy – zmienną, płynną możliwość wybierania tożsamości, przede wszystkim seksualnej: dzisiaj ktoś powie, że jest kobietą, ale jutro ogłosi się mężczyzną, żeby po jutrze stwierdzić, iż jest płcią numer 46. To jest tylko przykład pewnego rodzaju pola, na którym dokonuje się ta manipulacja z ludzką naturą. Nie chodzi tylko o promocję tzw. płci kulturowej, ale o przekonywanie nas, że nie mamy żadnej stałej tożsamości, żadnych stałych obowiązków i że przysługuje nam prawo do nieograniczonego wolnego wyboru naszej co chwila innej tożsamości. Ci wszyscy, którzy uważają, że tego rodzaju „wybór” jest niemądrym i sprzecznym z naturą i w związku z tym niemającym perspektyw utrwalających naszą ludzką kulturę, są oskarżani o faszyzm, nienawiść i wszelkie możliwe fobie.

Ludzie, o których teraz mówię, starają się spoglądać na wszystko przez pryzmat swojej ideologii. Najlepszym objawem tego typu postawy były reportaże z granicy polsko-ukraińskiej z pierwszych dni wojny. Starano się w nich udowodnić, że Polacy segregują uchodźców według koloru skóry, to znaczy, że obok setek tysięcy Ukraińców pojawiły się setki osób reprezentujące inną rasę. Najczęściej byli to studenci z Afryki czy z Azji, a część mediów starała się za wszelką cenę pokazać, że Polacy ze względu na ich kolor skóry i rysy twarzy nie-tolerancyjnie traktują tych właśnie ludzi, separując ich od ludności ukraińskiej, którą przyjmuje się na zasadzie rasistowskiej.

Przyjmując Ukraińców, okazaliśmy się rasistami?

Tak! W mediach, o których mówię, dominowała narracja, że Polacy raz jeszcze dali dowód swojego rasizmu, przyjmując 2,5 mln ludzi sobie podobnych. Było to kompletnie sprzeczne z prawdą, z faktami. Na granicy z Ukrainą nie było żadnej tego rodzaju segregacji, tylko polskie służby realizowały określone procedury prawne: odrębne procedury dotyczyły przyjmowania obywateli Ukrainy – państwa objętego stanem wojny – a inne przyjmowania obywateli państw trzecich: z Indii, Iranu, Maroka etc., w wypadku których musiały zostać sprawdzone dokumenty tych ludzi.

To jest naturalna procedura wynikająca nie z rasizmu, tylko ze stanu prawnego. Tymczasem telewizje zdominowane przez ideologię nienawiści, nienawiści do tożsamości kulturowej, chrześcijańskiej, europejskiej, starały się tropić rzekome polski rasizm, szowinizm, ksenofobię. Krótko mówiąc – chciały dać swoim widzom powód do nienawiści, do pogardy wobec Polski i Polaków.

Jakże charakterystyczna była wypowiedź pewnej aktorki, niegdyś wybitnej, a teraz słynącej jedynie z występów medialnych, która dziwiła się, jak to jest możliwe, że Polacy, którzy zawsze zachowują się ohydnie, są odrażający, źle traktują zwierzęta, bo budują mur na granicy z Białorusią, jednocześnie przyjmują 3 mln uchodźców z Ukrainy. „Coś tu jest nie w porządku. Na pewno kryje się za tym jakaś polska podłość” – stwierdza ta przedstawicielka elit. Elit, które opierają i budują swoją elitarność na pogardzie

Telewizje zdominowane przez ideologię nienawiści do tożsamości chrześcijańskiej starały się tropić rzekomy polski rasizm, ksenofobię

wobec zwykłych ludzi. To jest istota ich elitarności – nienawiść do mas, nienawiść do zwykłych ludzi, do ich przywiązań, do ich tradycji, do ich zachowań. Ich elitarna pozycja musi być lepsza, więc szukają tego, co złe, w pozycji większości współobywateli, od których muszą czuć się lepsi, wybitniejsi, moralniejsi.

Niestety, u zdecydowanej większości tzw. celebrytów i autorytetów moralnych nie widzę jakiegokolwiek refleksji nad tym, że może Polacy są inni, niż oni uważają.

Ma pan rację. Oni tropią dalej i niczym jedyną możliwą prawdę powtarzają to, co podsuną im środowiska napędzane nienawiścią. Ci ludzie np. twierdzą, że trzeba zorganizować jakąś europejską opiekę dla Ukrainek, ponieważ w Polsce nie ma pełnego dostępu do aborcji, najlepiej do porodu. I co? I mamy do czynienia ze szturem nienawiści na Polskę, która znowu jest przedstawiana jako ciemnogóród i kraj faszystowski, ponieważ „prześladuje się w Polsce” Ukrainki, uniemożliwiając im aborcję na żądanie...

Ta ideologia nienawiści jest zaprzeczeniem już nie tylko normalności, lecz

także rzeczywistości. Ukraińcy bronią swojego domu przed agresorami, którzy gwałcą, biją, palą, mordują tysiące cywilów, a środowiska ideologii nienawiści mówią: „W Polsce jest gorzej, bo kobiety z Ukrainy, które docierają nad Wisłę, nie mogą dokonać natychmiastowej aborcji, tzw. osoby LGBT nie mogą zmienić płci i wziąć ślubu, a to przecież ich pierwsza, podstawowa potrzeba...”. To tylko najbardziej ogólne przykłady stopnia szaleństwa ideologicznego środowisk nienawiści.

Środowiska nienawiści, o których pan mówi, powtarzają również, że Polacy zachwycają się Putinem, ponieważ jest on, jak głoszą ci ludzie, „największym na świecie wrogiem ideologii LGBT”. Ich zdaniem „każdy, kto jest przeciwko LGBT, jest za Putinem”.

Władimir Putin posługuje się odwołaniami do tradycjonalistycznych idei i poglądów w celach czysto instrumentalnych. Jeżeli człowiek, który publicznie gratuluje prezydentowi Izraela, że zgwałcił 10 kobiet, ma być wzorem tradycjonalizmu i obrońcą konserwatyzmu, to wiemy dobrze, a przynajmniej wie to każdy, kto poważnie traktuje zasady chrześcijańskie, że jest to czysta ideologiczna fikcja i propaganda ze strony Putina.

Poza niezwykle wąskim marginesem ludzi, którzy albo są płatnymi agentami Putina w Polsce, i takich, którzy dają się zwieść tej idei, ogromna większość polskich środowisk konserwatywnych wie, że Putin nie jest żadnym obrońcą tradycji konserwatywnych, tylko że jest po prostu skrajnym rosyjskim szowinistą, imperialem, który nagina każdą ideę do swoich celów imperialnych i potrafi równie dobrze grać zarówno ideami konserwatywnymi, jak i ideologią lewicową, do której zresztą bardzo chętnie się odwołuje, mówiąc np. o tym, że trzeba zrzeszyć wszystkie ruchy opierające się wpływom USA, bo Amerykanie reprezentują przecież najgorszy imperializm na świecie. W związku z tym każdy, kto jest nastawiony antyamerykańsko, a najczęściej są to właśnie środowiska lewicowe, powinien pójść za Putinem.

Jeżeli tego rodzaju czysto postmodernistyczna koncepcja ideologii, która ma służyć uzasadnieniu imperialnej agresji, ma być dowodem na to, że konserwatyzm równa się służbie Putinowi, to jest to teza niemająca żadnego związku z rzeczywistością, a w każdym razie na pewno nie z polską rzeczywistością, bo w Polsce konserwatyzm ma tradycje zasadniczo i fundamentalnie antyimperialne.



FOT. ANDRZEJ STOK

Nie tylko „Dziady”



Krystyna
Różańska-Gorgolewska

Zjawisko postępującej ekspansji ideologii LGBT w sztuce i kulturze jest niepokojące na wielu poziomach

Nie rozumiemy – myślę tu o ludziach cywilizacji łacińskiej – skąd, jak i dlaczego w sferze sztuki i kultury, sferze, którą chcieli-

byśmy mieć i mieliśmy za tę, poprzez którą zbliżamy się do prawdy, obcujemy z pięknem, która wzbogacała i rozwijała przez wieki naszą cywilizację zachodnią,

jest obecnie tak wiele tego, co tę cywilizację zbudowaną na chrześcijaństwie chce zdezwauować i zdeprecjonować.

Jaki wpływ wywrze w przyszłości na społeczeństwo, jak zmieni naszą cywilizację sztuka promująca ideologię LGBT, nie wiemy, bo nie znamy przyszłości. To, co wiemy jednak na pewno (gdyż znamy przeszłość), to to, że kultura i sztuka bazujące na kulturze łacińskiej przyczyniły się do rozwoju kultury i cywilizacji zachodniej. Z tej gleby powstały arcydzieła sztuki i kultury oraz odniesienia dla wielu pokoleń kolejnych twórców. Skoro sztuka promująca ideologię LGBT nieustannie staje w kontrze i podejmuje próby dekonstrukcji użytecznego dla rozwoju i budującego cywilizację Zachodu systemu wartości chrześcijańskich, to mamy jako wyrośli z tejże cywilizacji pełne prawo, a wręcz obowiązek tak rozumianą barbarię kontestować bez względu na to, czy jesteśmy czy nie ekspertami danej dziedziny sztuki. Równocześnie z problemem wyrażnej nadreprezentacji i dominacji jedynie afirmatywnej narracji o ideologii LGBT w świecie sztuki idzie drugi: rugowania, wykluczania i deprecjonowania sztuki,

która mówi afirmatywnie o religii i wartościach chrześcijańskich.

KLIKA I SZTUKA

Kwestie dotyczące problemów społeczności LGBT odnoszą się do znikomej części społeczeństwa. Tym bardziej niepokojący i kuriozalny jest stan onieśmienia większości w wyrażaniu bez kompleksów własnego zdania na temat sztuki, która wartości czy styl życia tej większości deprecjonuje. Dzieje się tak dlatego, że dorobek kultury i cywilizacji łacińskiej nauczył nas szacunku do instytucji kultury. Dawniej w przestrzeniach wystawienniczych, instytucjach kultury, teatrach etc. prezentowane były wybitne dzieła stanowiące wypadkową talentu i warsztatu artystów, podziwiane ze względu na te wartości i umiejętności, których pozbawiona była przeciętna jednostka. Tym samym instytucje, w których eksponowano efekty działalności twórczej tych wybitnych, stawały się miejscami prestiżowymi. Współcześni twórcy, wykorzystując tę wyrobioną przez wieki pozycję artysty i instytucji wystawienniczych, są beneficjentami tego prestiżu z samej racji znalezienia się w tej instytucji. Stąd do sztuki współczesnej najzgodniej ze stanem faktycznym odnosi się definicja sztuki instytucjonalnej. Przypomnijmy, że od czasów Beuysa, czyli od lat 60. i 70., zgodnie z jego postulatami, sztuką może być wszystko, a artystą każdy. W świecie i czasach, w których nie korzysta się z klasycznych definicji sztuki, dominuje w praktyce określanie mianem sztuki każdego artefaktu, który zostaje umieszczony w instytucji sztuki i zostaje wystawiony na ocenę przez ludzi świata sztuki: krytyków, kuratorów, dyrektorów tych instytucji. Zatem wszystko to, co znajdzie się w obrębie instytucji czy galerii. Dziełem sztuki w klasyfikacyjnym sensie jest więc artefakt, któremu ze względu na pewne cechy jakaś osoba lub osoby działające w imieniu świata sztuki nadały status kandydata do oceny.

Każde dzieło sztuki jest artefaktem, czyli wynikiem pracy istot ludzkich, np. wyrzucony na brzeg morza kawałek drewna można uznać za artefakt, jeśli ktoś go podniesie i wystawi w galerii sztuki. Innymi słowy, umieszczenie kawałka drewna w galerii, tak aby inni ludzie mogli go obejrzeć, będzie się w pewien sposób liczyło jako praca nad nim.

Jeśli chodzi zaś o osoby działające w imieniu „świata sztuki”, to mogą nimi być sami artyści, producenci finansujący

przedsięwzięcia artystyczne, pracownicy instytucji artystycznych, krytycy, teoretycy, historycy sztuki, a także publiczność (choć oddziaływanie tej ostatniej jest najmniej, gdyż ogranicza się do prywatnych, niekolportowanych szerzej opinii – nie eksperta). O tym, czy coś jest dziełem sztuki, decyduje już samo to, czy znajdzie się ono w odpowiedniej instytucji. Zostaje tam przecież umieszczone nie przez publiczność, tylko przez wąskie grono członków świata sztuki. O mechanizmach tych pisała poniekąd Monika Małkowska w 2015 r. w słynnym artykule „Mafia bardzo kulturalna”, choć ja słowo „mafia” zastąpiłabym słowem „klika”, użytym przez prof. Krystynę Daszkiewicz w książce „Klimaty bezprawia”. Działalność mafii jest bowiem działaniem przestępczym, penalizowanym, a działanie „klik” jest zgodne z prawem i opiera się na wspólnych zależnościach, interesach, ale i bliskich towarzyskich związkach. O paru takich towarzysko-zawodowych relacjach w artystycznym środowisku homoseksualistów mówił aktor Jacek Poniedziałek w artykule „Ukryta droga wyjścia z polskiego piekła” w 2021 r.

Ideologia LGBT w sztuce również przeplata się, współistnieje i jest wspierana w pewnego rodzaju sprzężeniu z innymi ideologiami lewicowo-liberalnymi, takimi jak gender czy lewicowy feminizm. Jej ekspansja nie ogranicza się do opanowania sal wystawienniczych, desek teatralnych i innych instytucji sztuki. Ma ona solidne wsparcie teoretyczne i naukowe, wypracowane i wdrażane metodologie naukowe. Profesor historii sztuki i Woman's Studies na University of Connecticut Anne D'Alleva jeden z rozdziałów swojej książki „Metody i teorie historii sztuki” poświęciła głównym współczesnym metodologiom historyczno-artystycznym. Są nimi splatające się, uzupełniające w praktyce i realizujące postulaty neomarksizmu teorie: feminizmu, seksualności, LGBT, teoria queer, studia nad kulturą. Autorka prezentuje wybrane, najczęściej stosowane dziś teoretyczne podejścia, kierunki współczesnej historii sztuki i zakłada, że jej czytelnikami będą studenci poważnie zainteresowani praktycznym zastosowaniem wiedzy historyczno-artystycznej, angażujący się w intelektualną, polityczną i artystyczną działalność. Nasuwa to skojarzenie z działalnością komunistycznej działaczki Aleksandry Kołłątaj, która za pomocą ideologii drastycznego wyzwolenia seksualnego, w tym homoseksualnego, już na początku XX w. stworzyła nowy bolszewicki porzą-

dek, także przy użyciu sztuki jako jednego z narzędzi zmiany społecznej.

Potwierdzenie intuicji, że współczesna ideologia LGBT ma wiele wspólnego z ideologią marksistowską, znajduje się w wydanej w Polsce przez Universitas książce Anne D'Allevy, która pisze: „We wczesnych latach 90. XX w. wielu studentów twierdziło, że myśl marksistowska jest niegodna uwagi lub że jest błędna, ale marksizm jest czymś więcej niż teoretyczną czy praktyczną podstawą rządów komunistycznych, w rzeczywistości marksizm krytyczny (czasem nazywany marksizmem zachodnim, gdyż rozwijał się szczególnie w Europie i Ameryce Północnej) przyczynił się do powstania niedogmatycznego, otwartego szkolnictwa i to ta myśl marksistowska okazuje się najbardziej twórcza w badaniach nad sztuką”.

Rewolucyjny charakter też znajdujemy z kolei w „The Subjects of Art History” (1998), gdzie historyczka sztuki Patricia Mathews jako jeden z trzech zasadniczych celów współczesnej, feministycznej historii sztuki wyznacza wprost krytykę i dekonstrukcję dotychczasowych autorytetów, instytucji i ideologii.

TEMATYKA DOMINUJĄCA

Promocję ideologii LGBT znajdziemy we wszystkich dziedzinach sztuki, teatrze, filmie, galeriach, książkach etc. Wymienianie ich zajęłoby wiele stron. Musimy mieć świadomość, że jest to obecnie tematyka dominująca i wszechobecna w większości instytucji kultury. Szczególnie widoczna w teatrze i galeriach sztuki współczesnej.

Niedawno – 13 maja – w Teatrze Współczesnym w Szczecinie odbyła się prapremiera spektaklu „Spartakus. Miłość w czasach zarazy” w reżyserii Jakuba Skrzywanka. Przedstawienie opowiada o sytuacji polskiej psychiatrii dziecięcej i porusza temat prawa osób LGBTQ+ do wolności i samostanowienia. Twórcy spektaklu zdradzają, że w ostatniej części spektaklu zaproszone pary LGBTQ+ biorą udział w inscenizowanych ceremoniach ślubnych, które będąc niezgodne z obowiązującymi przepisami Rzeczypospolitej Polskiej, nie mają żadnych realnych konsekwencji prawnych. „Ceremonia ślubna jedнопłciowej pary staje się afirmatywnym wyrazem prawa każdego człowieka do miłości” – mówił autor scenografii Daniel Rycharski.

Na przełomie kwietnia i maja odbył się, jak co roku od ponad dekady, LGBT+ Film Festival, reklamujący się jako największe w Europie Środkowo-Wschodniej święto

■ kina LGBT+. W tym roku odwiedził kilka głównych miast Polski.

KLASYKA Z LGBT

Współczesne realizacje klasycznego repertuaru także są obszarem promowania ideologii LGBT. Teatr Polski w Poznaniu, wystawiając w 2019 r. „Śluby panieńskie” Aleksandra Fredry, deklarował, że poznańska inscenizacja jest „próbą uruchomienia innej narracji niż maskulinistyczna czy też patriarchalna w dialogu między mężczyznami a dyskursem feministycznym. Stawia pytanie o tożsamość męskości, w całej swojej rozciągłości obejmując obszary zarówno hetero-, jak i nieheteronormatywne”.

Profesor UAM Juliusz Tyszką pisał w recenzji „Nieheteronormatywne zgenderowanie”: „Sedno i główne przesłanie tej inscenizacji dostrzegam jednak gdzie indziej: gierki z tekstem Fredry są tu li tylko »grą wstępną«, służącą przewrotnej demonstracji genderowej przemieszaną społecznych ról oraz wizerunków kobiety i mężczyzny, natomiast doczepiony do »Ślubów panieńskich« wątek platońskiego obojactwa i (niewypowiedzianego ze sceny, lecz obecnego u Platona) zrównania miłości hetero i homo, dopełniony, wzmocniony i ukonkretniony długą sceną miłosną w wykonaniu dwóch nagich mężczyzn, to już coś znacznie poważniejszego. Odważną i konsekwentną realizację tego właśnie wątku odbieram jako teatralny manifest środowisk LGBT”.

Sięgając do starszych przedstawień, warto zwrócić uwagę na teatr Polonia Krystyny Jandy. W 2016 r. w Polsce wystawiono spektakl „Matki i synowie”. Po światowej premierze w Pensylwanii parę lat wcześniej główny recenzent „The New York Times” napisał o tym spektaklu: „To ważny głos w debacie o tolerancji i akceptacji osób homoseksualnych w Stanach Zjednoczonych”.

Na stronie internetowej teatru Polonia czytamy, że wątki LGBT regularnie goszczą w teatrze Krystyny Jandy. W 2006 r. Janda gościła spektakl Macieja Kowalewskiego „Miss HIV”, monodram Ewy Kasprzyk „Pathy Diphusa”, sama wystawiła odważny „Darkroom” Jurany Jeger. Z kolei Maria Seweryn w 2013 r. na kameralnej scenie w Och-Teatrze pokazała sztukę „Alicja + Alicja” o miłości dwóch lesbijek.

Spektakl „Matki i synowie” to opowieść o matce, której syn był gejem i umarł na AIDS. Sercem spektaklu jest konflikt między matką a dawnym partnerem syna, jego nowym towarzyszem i wychowywa-

nym przez nich dzieckiem. Postać matki wykreowana na scenie przez Jandę, jak czytamy na stronie teatru, „obnaża polską nietolerancję, niewiedzę, nienawiść do odmiennych orientacji seksualnych. [...] to kij w polskie mrowisko. Społeczeństwo niezwykle nietolerancyjne i homofobiczne. To także lustro, w którym przegląda się dzisiejsza Polska – kraj zmierzający do izolacji, narzucający swoim obywatelom zasady moralne i religijne. W którym nie ma zgody na szczęście »tych innych«. W którym in vitro jest grzechem, a homoseksualizm dewiacją i zbrodnią. »Matki i synowie« w reżyserii Krystyny Jandy to słuszna kontynuacja linii programowej jej fundacji...”

W Galerii Labirynt w Warszawie, na przełomie lat 2020 i 2021, miała miejsce wystawa Maurycego Gomulickiego i Karola Radziszewskiego „Ménage à Deux”, o której w euforyczny sposób pisał w recenzji „Sztuka erotyczna na mroczne czasy, czyli tylko seks nas uratuje” prof. UAM Paweł Leszkowicz: „»Ménage à Deux«, stworzona z perspektywy wyzwolonej wieloseksualnej męskości jako jedno polimorficzne jądro, jest znakomitą przykładem terapii poprzez sztukę, terapii erotycznej i politycznej. Dlatego wystawa powinna być zapakowana i sformatowana jako produkt eksportowy i pojechać z Lublina do wszystkich galerii w Polsce, w większych i mniejszych miastach, ponieważ w istocie ten kraj niczego nie potrzebuje bardziej niż takiej kultury rozkoszy [...]. Prostota koncepcji polega na tym, że jest to wystawa kobiecych i męskich portretów, aktów i fetyszy, kreowanych z pozycji heteroseksualnego i homoseksualnego erotycznego spojrzenia. Te dwie perspektywy są ze sobą zestawione, zrównoważone i zespolone. [...] W ekspresji swego pożądanego artyści są bezwstydnie ekshibicjonistyczni i właśnie na tym polega ich siła. Otwarcie tworzą sztukę, która ich podnieca i tak też może działać na odbiorcę. Jest to analiza erotyki gejowskiej i heteroseksualnej, ale podana w atrakcyjnym opakowaniu, tak aby wciąż działała, przede wszystkim na zmysłowym poziomie”.

Jak to zazwyczaj bywa w recenzji nie mogło zabraknąć także odezów politycznych rodem niczym z „Trybuny Ludu”: „Galeria Labirynt od lat bohatersko i konsekwentnie realizuje program antyrządowy, przeciwny ideologii PiS-u, szczególnie wbrew jego upiornej polityce obyczajowej. To dzięki takim instytucjom kultury wciąż jeszcze możemy mieć złudzenie, że żyjemy w wolnym kraju”.

Wyrażnie podekscytowany Leszkowicz, dodajmy – doktor habilitowany, profesor UAM. Kierownik Pracowni Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej w Zakładzie Historii Sztuki Nowoczesnej Instytutu Historii Sztuki UAM pisze dalej: „Karol Radziszewski próbuje jednak w swoich monumentalnych rysunkach akrylami na papierze wkraczać w modne obszary transgender, aby usilnie udowodnić, że jest artystą queerowym, a nie gejskim. Nie są to jednak próby udane, na jego rysunkach widać wciąż męskolarnych mężczyzn, ale bez genitaliów, tylko z kobiecym owłosieniem łonowym lub z penisem i z kobiecymi piersiami. Są to wciąż rysunki męskiego ciała, twarzy i muskulatury, z dość obscenicznym ukłonem w stronę trans- lub interseksualności. Artysta nie umie przedstawić kobiecego ciała lub przekonującej kobiecości, ale nie jest to zarzut, Michał Anioł też nie umiał. Karol Radziszewski jest wystarczająco dobrym i autentycznym artystą w swojej dziedzinie aktu i portretu męskiego. Jego soczysty pokaz slajdów „Bike Boy” (2020) to absolutne erotyczne mistrzostwo, seks wyciekający z wizerunku. [...] jest on jednym z najważniejszych artystów, który konsekwentnie przezwycięża to tabu, przyzwyczajając nas w polskiej sztuce do męskich genitaliów i ich piękna”.

W 2020 r. odbyła się też wystawa Karola Radziszewskiego w jednej z najważniejszych instytucji sztuki współczesnej, jaką jest CSW Zamek Ujazdowski. „Potęga sekretów – jak możemy przeczytać w recenzji Jakuba Gawkowskiego – porusza ważne wątki pamięci i kultury nieheteronormatywnej, o które trudno w państwowych instytucjach czy systematycznie zalewanej przez homofobiczne bagno polskiej przestrzeni publicznej”. Na wystawie mogliśmy oglądać też rangi eksponaty jak homoseksualna prasa erotyczna, umieszczona w szklanych gablotach bielizna osobista (stringi) homoseksualistów czy ułożone kolumnowo kasety VHS z pornografią gejowską z lat 90. Z kolei w 2021 r. Karol Radziszewski pokazywał w BWA we Wrocławiu seksownych bolszewików na wystawie „Mon chéri Soviétique”.

To tylko kilka przykładów ideologii LGBT w kulturze i sztuce. Ideologii, która firmuje się hasłami walki o wolność, równość i braterstwo, przemilczając, podobnie jak apologeta rewolucji francuskiej, jej pełne hasło: „... albo śmierć”.

© 2022 Wszystkie prawa zastrzeżone

Tęcza nie obraża?



FOT. ADRIAN STOLCK

Od jakiegoś czasu obserwujemy w świecie zjawisko przejmowania symboli, zwłaszcza tych, które przetrwały próbę czasu i wydają się trudne do strącenia z piedestału. Nie da się ich po prostu pomijać czy marginalizować, nie mówić o nich, bo z czasem i tak się przebijają jak roślina przez asfalt, a chęć wymazywania ich z ksiąg potęguje rezultaty odwrotne do zamierzonych. Można wówczas pójść za radą „starego diabła” Krętacza ze słynnej książki C.S. Lewisa, który radził młodemu kusicielowi, aby wymyślił słowo „obskurantyzm” i w ten sposób etykietował wszystko, co wartościowe. Gdy jednak i to nie da rady, gdy poziom ośmieszania nie przyniesie skutku, wówczas trzeba przejąć symbol i nadać mu nowe znaczenie.

Choć Lewis myślał o kulturze średnio-wiecznej, którą udało się oświeceniowym filozofom odsądzić od czci i wiary, to jak ułał pasuje ta strategia do wielu dziedzin życia społecznego, które z racji zakorzenienia w wartościach są nagle określane jako obskurantkie czy zacofane. Nie



ks. Piotr Roszak

Gdy umieszcza się tęczę LGBT w kontekście dla kogoś cennym, np. w dłoniach Chrystusa, to jest to obrażanie wierzących

ulega wątpliwości, że podobny proces zachodzi na naszych oczach, gdy obiektywnie przeanalizujemy sposób promocji symboliki ideologii LGBT w przestrzeni publicznej, zwłaszcza tęcowej flagi. Z racji stawianych haseł, wzywających de facto do resetu cywilizacyjnego, pojawianie się jej w wielu miejscach i na rozmaitych nośnikach, często bardzo zaskakujących przechodniów, jak np. na budynkach teatrów, pomnikach czy na materiałowych torbach lub w formie gadżetów, nie jest wyrazem spontanicznej akcji, ale owej strategii przejmowania i przełamywania kolejnych punktów oporu. W obliczu krytyki, z jaką taka działalność nastawiana na kolonizowanie, jak ją określił papież

Franciszek, a nie na przekonywanie racjami, spotyka się ze strony wielu środowisk, zaskakuje sposób repliki zwolenników tej ideologii, którzy często odwołują się do biblijnej tęczy (chcąc powiedzieć, że to ta sama) i formułują oskarżenie, że chrześcijaństwo ukradł piękny symbol, nadając mu swoje znaczenie.

DZIWNA WOJNA

Chaos znaczeniowy, o który chodzi w tych zmaganiach o symbole, ma tę dobrą stronę, że pozwala przypomnieć sens podstawowy i pokazać, na czym polega dekonstrukcja. Choć w zamiarach inicjatorów chodzi o spowodowanie takiego zamieszania, aby druga strona bała się

■ sięgnąć po swój symbol, który został przejęty, to jednak przypomnienie historii i znaczeń przynosi upragniony porządek. Biblijna tęcza jest symbolem porządku, jaki został wprowadzony po potopie, po doświadczeniu ogromnego zła spowodowanego przez człowieka, i jest znakiem przymierza Boga z ludzkością, innymi słowy: zapewnieniem, że rozpoznanie Boga w świecie jest gwarancją postępu (Rdz 9, 14–15) i że Ten nie zniszczy więcej ziemi z powodu nieprawości ludzi. Tęcza stała się w języku biblijnym znakiem życzliwości Boga dla ludzkości, przez co ten symbol przypominał o istnieniu prawd podwalin, które gwarantują, że buduje się dom na solidnym fundamencie, na skale, a nie na piasku. Nie na wzór wieży Babel, absurdałnego wysiłku stawiania na swoim wbrew innym, pogoni za oryginalnością za wszelką cenę, lecz na wzór kogoś, kto – znając północ – jest w stanie poznać kolejne kierunki i nie zgubi się dzięki temu w nowych okolicznościach. Ta biblijna tęcza, znak przymierza z Bogiem, oznacza wierność wartościom, które są w stanie odbudować to, co potop zniszczył. To nie jest zgoda na to, że można robić, co się chce, a Bóg nie będzie się wtrącał, ale zapowiedź zmiany sposobu reagowania na zło, które – jak wiemy – znajdzie swe wypełnienie w przyjsciu Syna na ziemię. Zło zwycięża się większym dobrem.

Jak to pasuje do postulatów formułowanych przez ideologię LGBT? Rozdźwięk między tym, co oznacza biblijna tęcza, a tym, co wyraża ta wznoszona na „paradach dumy” organizowanych przez te środowiska, jest ogromny i trudny do pogodzenia. Za próbą pokazania, że to jednak „to samo”, stoi coś więcej niż prosta konstatacja o kompatybilności znaczeniowej, a mianowicie specyficzny rodzaj walki z biblijnym znaczeniem, którego nie udało się zneutralizować.

Przejęcie symbolu tęczy i nadanie mu nowego znaczenia są więc od początku wpisane w apropriacjonizm, który w obliczu niemożności pokonania przeciwnego myślenia na argumenty podejmuje próbę podrobienia, parodiowania dobra. Nic nowego w języku biblijnym, który szatana ukazuje przez pryzmat kogoś nieustannie „podrabiającego” Boga, przeinaczającego Go i starającego się zająć Jego miejsce wobec ludzi. Odróżnianie podróbek i oryginału to dziś, jak się okazuje, nie tylko wysiłek z supermarketu, gdzie produkty różnią się jedną literką lub trudnymi do zaobserwowania przy pierwszym spojrzeniu zna-

kami graficznymi. Przeszło to na poziom kulturowy, który dotknął biblijnego znaku.

Paul Ricoeur podkreślał, że „symbol daje do myślenia”, co oznacza, że jest pierwotny wobec niego i nie poddaje się dowolnej manipulacji. Każda próba jego podporządkowania myśli, polityce, ideologii jest jakimś fałszerstwem wobec samego symbolu. Jest taki nie dlatego, że nie zawiera sensu, odwrotnie – jest nim przepełniony, lecz do jego odczytania nie wystarczy świat myśli i idei. Daje on do myślenia, wystając z tradycji i będąc rezultatem ludzkich dziejów. Dlatego wymaga mądrości interpretacji, a nie swawoli ideologii.

CORAZ SZERSZA TĘCZA

W przypadku ruchu LGBT oficjalnie pisana historia wspomina, że flaga istnieje od ponad 40 lat, choć rzadko się wspomina, że pierwotnie wymyślona przez Gilberta Bakera, który choć sam przyznawał się do homoseksualizmu, to nie nadał jej obecnego znaczenia, ale ogólne przesłanie dotyczące jedności wszystkich ludzi.

W ciągu tych kilku dziesięcioleci flaga ruchu LGBT – od czasu, gdy pojawiła się po raz pierwszy w 1978 r. w San Francisco na zlecenie Harveya Milka – przechodziła wiele modyfikacji. Zaczęło się od ośmiu barw, ale potem zostały wyeliminowane dwa kolory, jak przekazują źródła, ze względów technicznych. To jednak nie koniec kreacji flag – poszczególne grupy w ramach środowiska LGBT zaczęły tworzyć własne flagi, tak było w przypadku osób biseksualnych, aseksualnych, interseksualnych czy osób transseksualnych. Ci ostatni mają własną flagę od 2000 r., kiedy to po raz pierwszy została ona pokazana w Phoenix. Rozdrabnianie się jednej flagi na kolejne to być może zapowiedź, że tęczowe zmiany będą nieraz zaskakiwać i że to nie jest ostatnie słowo. Wydaje się to wskazywać na to, że jednak trudno znaleźć jedną flagę dla wszystkich, którzy rzekomo pod tym symbolem mieliby się gromadzić. Chesterton miał rację, że wyprostowanym można być jedynie w jednej postawie (nazywał je zgodnie z etymologią – ortodoksją, prawością nauki, co jest aluzją do stania w pionie), podczas gdy wszystko inne będzie odchyleniem od tego.

Warto zauważyć w wypowiedziach zwolenników ideologii LGBT, że powstanie flagi to sposób na uczynienie się widzialnymi w społeczeństwie – nie dlatego, że tych osób nie było wcześniej, ale że się nie mówiło o ich obecności. A zatem nie cho-

dzi jedynie o pokazanie, że są takie osoby, ale o wymuszenie zgody na traktowanie ich zachowań na równi z innymi. Co daje ujawnienie własnych preferencji seksualnych poprzez tęcową flagę? Nie ma ona znaczenia dla praw członka narodu, który je ma nie z powodu swoich zachowań seksualnych, lecz z racji bycia obywatelem państwa, natomiast ujawnianie owych zachowań ma sprawić, że pojawi się więcej przywilejów dla danej grupy. Zatem tęcowa flaga łączy tylko podobnych, wyklucza zaś innych i ich środowiska. W tym sensie jest to inny symbol niż np. flaga narodowa, która łączy wszystkich obywateli danego państwa, niezależnie od opcji politycznych, pochodzenia czy religii. Wywieszanie tej różnobarwnej flagi jest więc formą wywierania nacisku, aby zdobyć przywileje, torowania drogi do akceptacji i wymuszania jej medialną siłą. To rodzi dysproporcję widoczną dla każdego, bo np. tego samego rodzaju ataki na osoby wierzące za to, że są chrześcijanami, uznaje się za usprawiedliwione: akty wandalizmu wobec świątyń czy przedmiotów kultu mają zgodnie z tymi założeniami nawet nie budzić oburzenia, nie być relacjonowane w mediach, ale krytyka flagi LGBT, jej niewywieszanie – zgodne zresztą z literą prawa – jest już czymś ponoć oburzącym. Może więc chodzi o wyizolowanie seksualności od jej kontekstu? O promocję antywartości i próby podprogowej zmiany, niewyczuwalnej dla „radarów kulturowych” – polegającą mniej więcej na tym: zmienię ci koncepcję rodziny, a jak będziesz się buntował, to jeszcze zostaniesz oskarżony, że jesteś agresywny. Mówi się o szacunku do osób LGBT, a nie ma się szacunku do osób religijnych, które definiują w klasyczny sposób rodzinę i nie zgadzają się na błogosławienie w ich mniemaniu sytuacji grzesznej, niezgodnej z prawem objawionym. Dlatego zanim chrześcijanin podniesie tę flagę, musi zadać sobie wiele pytań dotyczących celów ideologicznych symbolizowanych przez sześciokolorową tęczę.

CZY SYMBOL MOŻE OBRAŻAĆ?

W kontekście tęcowej flagi słyszy się także zarzut, że jako taka nie może ona obrażać. Posługując się pewną – niezwykle aktualną skądinąd – analogią, trudno powiedzieć, że litera „Z” obraża, ale w kontekście postulatów i idei, jakie zostały jej przypisane przez agresorów atakujących Ukrainę, nie jest już zwykłą literą alfabetu, lecz swoistym manifestem. Kiedyś pisano

owe manifesty w postaci długich tekstów – te można było analizować, krytykować, podważać. Dziś inaczej. Nikt z literą „Z” nie toczy sporów, bo symbol graficzny zdaje się w pewien sposób osłabiać możliwy atak argumentami. Symbol wszak „daje do myślenia” wraz z przedrozumieniem i nie można udawać, że tego nie ma.

Przyznam, że przed kilkunastu laty byłem bardzo zaskoczony widokiem tęczyowych flag na budynkach państwowych, akademickich i kulturalnych w Wiedniu. Jeszcze bardziej, gdy niektóre polskie instytucje kultury wywiesiły je w czasie próby zablokowania orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego prawa do życia wszystkich obywateli RP. Wywieszenie tęczyowej flagi nie jest jednak aktem solidarności, ale staniem po stronie pewnego przewrotu ideologicznego, który nie pyta o prawdę, ale realizuje wytyczne, wciela w życie pewien program – trudno to zaś zrozumieć w kontekście instytucji, które stoją na straży wolności myśli, mają dawać do myślenia, a nie myśleć za kogoś!

Czy zatem symbol jako taki może jednak obrażać? Oczywiście sam zestaw barw nie jest obraźliwy. Lecz „tęcza” środowiska LGBT nie jest tylko takim zestawem kolorów. Symbol ten „obraża” w znaczeniu kolonizacji ideologicznej, podobnie jak swastyka czy sierp i młot. Bo przecież to nie są zwykłe znaki zawodów, hutnika czy zniwiarza, ale to symbole pokazujące kierunek zmian, który chce się osiągnąć. Mówią one człowiekowi: chcemy z tobą zrobić to i to. W tym sensie nasz zmysł piękna obraża brzydota, a nasz zmysł moralny obraża zło, a zmysł intelektualny – wciskane brednie. Z tej perspektywy łatwiej zrozumieć, że gdy umieszczają się tęczę LGBT w kontekście dla kogoś cennym, np. przez włożenie tej flagi w ręce Chrystusa, to jest to obrażanie wierzących, którym sugeruje się w ten sposób, jakoby nie znali własnych zasad moralnych.

Nie ulega dla chrześcijan wątpliwości, że każdy człowiek jest adresatem orędzia zbawienia, że za każdego umarł Chrystus. To dość jasno wyrażał św. Paweł w swoich listach. Dlatego każda osoba ludzka jako obraz Boży, bez względu na swoje grzechy, na swoje wybory, także te seksualne, nie przestaje być cenna w oczach Boga. Problemem nie jest bycie osobą o takich skłonnościach, ale budowanie „masy krytycznej”, która ma prowadzić do zmiany, i przekształcanie świata i kultury w kierunku dominacji tej ideologii. Temu służą wirtualne wpisywanie tęczy w pomniki

czy symbole religijne, wyświetlanie tej flagi na stadionach, co wzbudza skrajne reakcje, choć już w Chicago nie pozwolono w tzw. marszu dumy z bycia LGBT wziąć udziału trzem osobom trzymającym flagi tęczyowe z gwiazdą Dawida.

WAŻNIEJSZA OD KRZYŻA?

Wywieszanie symboli religijnych w miejscach publicznych jest paradoksalnie piętnowane jako ideologizacja, choć krzyż jest przecież symbolem uniwersalnych wartości, bez względu na pochodzenie, skłonności seksualne czy wyznanie. Ciekawe, czy obrońcy praw człowieka nie wahałoby się wziąć krzyż w rękę i wyjść na ulicę z tym symbolem, który sprawił, że nie ma już niewolnika ani wolnego, żyda ani poganina, kobiety ani mężczyzny, lecz wszyscy są jednością w Chrystusie (por. Ga 3, 28). Natomiast manifestowanie symbolu ideologii LGBT na rzecz nie tyle niedyskryminacji, z czym każdy się zgodzi (bo cywilizacja chrześcijańska, na której oparty jest porządek polityczny krajów Zachodu, operuje pojęciem godności każdej osoby ludzkiej: nie dlatego, że jest heteroseksualna czy inna, ale że jest osobą, członkiem wspólnoty narodowej etc.), ile preferowania i wymuszania akceptacji, jest dla wielu przejawem wolności. Dziwnie nie prowadzi się dyskusji, a na podnoszone zarzuty i argumenty odpowiada się inwektywami, krzykami.

Jaki sens ma to wymuszanie akceptacji? Wydaje mi się, że chodzi o sprawdzenie, dokąd można się posunąć. Tak chyba należałoby ocenić próby siłowego – niestety także w sensie fizycznym – wpisywania flagi LGBT w wizerunki religijne, krzyże, kościoły.

JAK REAGOWAĆ?

Jak powinien zareagować człowiek, który czuje się zgorzchniony symbolem LGBT? Czy w ogóle jakkolwiek reakcja jest jeszcze możliwa? Wydaje się, że mamy do czynienia z klasycznym zjawiskiem tzw. zacieśnienia pola, ograniczania obszaru, aby było coraz trudniej reagować. Używając języka sportowego, przypomina to trochę grę w „spalonego”, zawężania pola gry, aby złapać przeciwnika na przekroczeniu linii. Co wówczas robić?

W takich sytuacjach Karol Wojtyła w „Osobie i czynie” sugerował prosty, ale skuteczny znak „sprzeciwu”, który określał jako jedną z form uczestnictwa w życiu wspólnoty. Potwierdza to historia, gdy sprzeciw jawnie wyrażany sprawiał, że

pewne rewolucyjne pomysły nie przechodziły dalej, gdyż znajdowali się odważni, aby się sprzeciwić, nie tylko emocjonalnie, lecz także intelektualnie. Dlatego skuteczną reakcją może być wymagająca droga budowania argumentacji, znajdowania racji, bo każda ideologia boi się wielości punktów widzenia, gdyż ona ma tylko jedną opcję. Właściwą reakcją nie jest więc uczuciowe nakręcanie się, ale potraktowanie tej sytuacji jako szansy na opowiadanie o prawdzie, na modlitwę o opamiętanie i mądrość (o to generalnie należy się modlić dla swoich przeciwników, bo nie zaszkodzi nam nigdy ich mądrość, a co najwyżej ich głupota). Ale to także wezwanie do egzekwowania przysługujących praw do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, co realizować się może przez większe zaangażowanie w realizowany proces wychowawczy w przedszkolu i szkole, reakcje w mediach społecznościowych.

Dobrą reakcją będzie też zgłaszanie naruszeń, np. do Laboratorium Wolności Religijnej (www.laboratoriumwolnosci.pl), ale nie obrażanie siebie nawzajem. Szacunek dla godności każdego człowieka jest kluczowy, to punkt wyjścia do budowania czegoś więcej. Tego nie można zniszczyć, lecz wręcz przeciwnie – trzeba ocalić. Jedyną receptą jest szukanie prawdy: „Nie możemy uczynić niczego przeciw prawdzie, ale dla prawdy” (2 Kor 13, 8).

A że reakcje przynoszą skutek, widać na przykładzie skutecznego działania stowarzyszenia adwokatów chrześcijańskich w Hiszpanii: Abogados Christianos w 2021 r. wygrali w sądzie sprawę doprowadzając do zakazu wywieszania flag LGBT w urzędach i instytucjach, które – ulegając presji społecznej – wywieszały w czerwcu tęczyowe flagi. Podobna zdecydowana reakcja zmusiła np. Gwardię Cywilną, aby ta organizacja strzegąca porządku publicznego wycofała tęczyową flagę ze swego profilu na Twitterze (w 2020 r.). Ten właśnie sprzeciw i reagowanie aktywowały dyskusję nad sensem zawieszania tęczyowych flag w miejscach publicznych, które uzmysłowiły wielu osobom, co tak naprawdę to za sobą pociąga. Im więcej tej dyskusji, tym lepiej, ale jak widać, niestety nie wszystkim na tej dyskusji zależy.

Jest jeszcze jedna reakcja, brzmi ona tak: dosypywać więcej dobra. Krzykliwość LGBT czasem wymaga ciszy i właśnie takiego dosypywania dobra do świata.



Paweł Chmielewski

Niewykluczone, że wkrótce Ojciec Święty – tak jak Benedykt XVI – ogłosi zamiar abdykacji. To każe nam się poważnie zastanowić nie tylko nad tym, kim będzie jego następca, lecz także czym przyjdzie mu się zająć

W sierpniu papież Franciszek odwiedzi grób Celestyna V, który w 1294 r. złożył urząd papieski. Również w sierpniu w Watykanie zbierze się konsystorz; po nim w Kolegium Kardynalskim większość będą mieć ludzie Franciszka. Papież Bergoglio zapowiedział, że poprosi kardynałów o to, by zastanowili się, jak wdrożyć w życie reformę Kurii Rzymskiej na gruncie nowej konstytucji apostolskiej „Praedicate evangelium”, której ogłoszenie było najważniejszym celem jego pontyfikatu.

NAJWYŻSZY CZAS NA KONIEC?

Od początku maja tego roku Franciszek pokazuje się regularnie na wózku inwalidzkim. Powodem jest problem z kolaniem, który należałoby rozwiązać operacyjnie, ale Franciszek obawia się znieczulenia; leczy się zastępczymi metodami. Kłopot następcy św. Piotra nie zagraża jego życiu i nie umożliwia w żaden sposób zarządzania Watykanem, Franciszek może więc sprawować swój urząd jeszcze przez całe lata, na wózku czy nie. A jednak to nagłe podupadnięcie na zdrowiu wydaje się symbolicznie zapowiadać koniec pontyfikatu Argentyńczyka. Obejmując urząd, Franciszek zapowiadał, że abdykuje tak jak Benedykt, a jego pontyfikat będzie trwał najwyżej kilka lat. Panuje już ponad dziewięć – zgodnie z własną deklaracją najwyższy czas na koniec. Co więcej, zrealizował już swoje najważniejsze zadanie: w czerwcu w życie weszła konstytucja „Praedicate evangelium”, która zreformowała Kurie Rzymską. Nic dziwnego, że spekulacje o tym, kto go zastąpi, są coraz żywsze. Zapowiedź nawiedzenia grobu Celestyna V, co kilka lat przed abdykacją uczynił też Benedykt XVI, tylko je wzmocniła. Sam

Co po Franciszku?



FOT. GRZEGORZ GAŁĄŻKA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

Franciszek w rozmowie z biskupami z Brazylii w połowie czerwca miał deklarować, że nie zamierza teraz ustępować. Z drugiej strony miesiąc wcześniej mówił biskupom Włoch, że prędzej zrezygnuje, niż podda się operacji.

O następcy Franciszka mówi się na poważnie już co najmniej od dwóch lat. W roku 2020 na dobre ruszyła kampania wyborcza. Dwaj wielcy znawcy Watykanu, George Weigel i Edward Pentin, ogłosili niezależnie od siebie książki o tym samym tytule: „Następny papież”. W prasie zaczęły mnożyć się nazwiska potencjalnych pa-

pabile, a sami kardynałowie wystartowali z prezentacjami własnych postaci. Wywiad rzekę, de facto w formie ulotki wyborczej, opublikował kard. Gerhard Müller, zabiegając o pozycję głównego kandydata konserwatystów. Jako przeciwwaga pojawiła się wkrótce książka „Kościół płonie” na temat przyszłości katolicyzmu pióra założyciela Wspólnoty św. Idziego (St’Egidio), Andrea Riccardiego; Riccardi, jak wiadomo, jest człowiekiem stojącym za arcybiskupem Bolonii, kard. Matteo Zuppin, mianowanym niedawno przez Franciszka przewodniczącym Episkopatu

Włoch. Zuppi to liberał, który może wszelako uchodzić za umiarkowanego przy rozdmuchiwanym przez liberalne media papabile, kard. Jeanie-Claudzie Hollerichu z Luksemburga.

GIEŁDA NAZWISK

Watykańscy wymieniają oczywiście więcej nazwisk. W publikacjach na temat osoby przyszłego papieża pojawia się, jak zwykle, sekretarz stanu Pietro Parolin, typowy dyplomata i machtmensch ukrywający własne poglądy; jako umiarkowanie konserwatywna alternatywa dla Müllera wymieniany jest też od dawna Węgier Péter Erdő. Dziennikarze kolportują również nazwisko wpływowego Marca Ouelleta, prefekta Kongregacji ds. Biskupów. Ostatnio do listy papabile dołączył też czołowy synodalista Franciszka, Maltańczyk Mario Grech, który miałby stanowić dobry kompromis między marzącymi o Franciszku II radykałami a konserwatystami pragnącymi raczej Benedykta XVII. Rządziej wymieniana się dwóch kardynałów, których Franciszek wysłał niedawno na Ukrainę: specjalistę od migrantów Michaela Czernego i papieskiego jałmużnika Konrada Krajewskiego. Bez cienia wątpliwości wkrótce pojawią się kolejne nazwiska.

Pewne wydaje się jedno: biorąc pod uwagę fakt, że w tym roku w Kolegium Kardynalskim większość niemal dwóch trzecich mieć będą nominaci Franciszka, mało prawdopodobny wydaje się wybór jakiegokolwiek konserwatysty. Papieża Bergoglia zastąpi najpewniej jakiś progresista: pytanie tylko, jak bardzo radykalny. Być może kardynałowie elektorzy, zmęczeni chaosem obecnej epoki, postawią na umiarkowanego liberała, od którego będą oczekiwać uspokojenia sytuacji. W związku z faktem, że w Kolegium Kardynalskim mnóstwo jest słabo zorientowanych purpuratów z krajów peryferyjnych, zapewne wiodącą rolę odegra wpływowa grupa liberalnych kardynałów z Europy, USA i Ameryki Łacińskiej, którzy podsuną reszcie swojego kandydata. Niezależnie od tego, kim dokładnie będzie przyszły papież, z pewnymi zjawiskami i problemami po prostu będzie musiał się zmierzyć.

Wiele wskazuje na to, że następca Franciszka będzie zmuszony do trwałej reorganizacji zasad funkcjonowania samego Kolegium Kardynałów. Kolegium to, historycznie rzecz biorąc, powstało jako organ wspierający biskupa Rzymu. Wraz

z powoływaniem do niego biskupów spoza Europy zaczęło tracić swój właściwy charakter. Dzisiaj jest go niemal całkowicie pozbawione. Kardynałowie nie znają ani siebie, ani Kurii Rzymskiej; Franciszek rzadko organizuje konsystorze, tym samym nie dając purpuratom szansy na to, by ten stan rzeczy się zmienił. Papież w 2013 r. powołał elitarną Radę Kardynałów złożoną z kilku zaledwie purpuratów. To właśnie ta Rada de facto przejęła doradcze kompetencje całego Kolegium; tym samym jedynym zadaniem Kolegium stał się wybór papieża. Jeżeli następca Franciszka cechowałby się jakimkolwiek duchem porządkowania, to możemy spodziewać się wprowadzenia trwałych strukturalnych ram dla funkcjonowania Rady i Kolegium Kardynałów oraz relacji między nimi.

PILNE WYZWANIA

Nowy papież będzie musiał zająć się też problemem Kościoła katolickiego w Niemczech. Franciszek nie zrobił niemal nic, by zatrzymać heretyzujące czy zgoła heretyckie zapędy biskupów i świeckich zza Odry ujawniane na Drodze Synodalnej. Przez długi czas było możliwe udawanie, że wszystko jest w porządku, bo światowy episkopat po prostu milczał. W ostatnich miesiącach doszło jednak do przełomu i przeciwko Drodze Synodalnej formalnie zaprotestowało ponad 100 hierarchów; cały czas dołączają do nich kolejni. Niemiecki proces zakończy się już wkrótce przyjęciem całego pakietu konkretnych propozycji reform i zmian, które zostaną przedłożone w Watykanie. Do tego trzeba będzie się jakoś odnieść i to właśnie następca Franciszka przypadnie kluczowa rola decyzyjna. Jeżeli trafnie oceniam, że następca św. Piotra będzie umiarkowanym progresistą, nie należy spodziewać się całkowitego odrzucenia Drogi Synodalnej, a to oznacza dalszą degradację spójności nauczania katolickiego. Twarde „nie” dla Drogi mogłoby przecież doprowadzić do schizmy – lub przyspieszyć koniec nowego pontyfikatu. Wpływy i pieniądze Kościoła w Niemczech wciąż mogą wiele; pod koniec rządów Benedykta XVI widzieliśmy, jakie spustoszenie może spowodować zgodny wysiłek liberalnego establishmentu.

Innym wielkim problemem jest synodalność. Franciszek uruchomił olbrzymią maszynę, zmuszając Kościół na całym świecie do pospiesznego organizowania masowych konsultacji z wiernymi. Od chwili ogłoszenia decyzji o zwołaniu Synodu o synodalności minął już ponad

rok, ale nadal nie wiadomo, o co w tym wszystkim dokładnie chodzi – poza tym, że synodalność jest kolejnym instrumentem przepychania liberalnej agendy. Następca Franciszka będzie musiał podjąć próbę usystematyzowania tego synodalnego chaosu. Może to zrobić, spuszczając z rozdętego balona synodalności nieco powietrza, i odejść od narracji papieża o konieczności „synodalnym” charakterze Kościoła przyszłości. Może też powołać jakieś nowe struktury, które na różnych poziomach życia kościelnego będą wprowadzać element zarządzania kolektywnego lub quasi-demokratycznego. W każdym razie „synodalność” będzie trzeba jakoś wyjaśnić i ująć w zorganizowane ramy.

Pilnym wyzwaniem jest też próba odbudowy papieskiego autorytetu. Franciszek ma coraz gorszą prasę. Wśród konserwatystów miał taką wprowadzić zawsze, ale polityka Watykanu najpierw wobec Chin, a teraz także wobec Rosji, budzi niechęć również na lewicy. Wobec tego faktu pilnej reformy wymaga watykańska dyplomacja, która, jeżeli chce być dalej szanowana w świecie, musi lepiej zadbać o swój wizerunek. Różne nieprzemyślane wypowiedzi i pospieszne decyzje wprowadzają do Kościoła element braku powagi i niestabilności. Dodatkowo autorytarne zarządzanie Kościołem przez Argentczyka, nawet jeżeli na krótką metę może służyć celom rewolucji, nie może trwać w nieskończoność. Nowy papież stanie przed koniecznością głębokiego przemyślenia sposobu sprawowania prymatu, zarówno na polu wewnątrzkościelnym, jak i na polu polityki światowej.

Kolejnych obszarów, na których następca Franciszka będzie musiał szybko działać, jest oczywiście więcej: narastający błyskawicznie spór wewnątrz episkopatu w Stanach Zjednoczonych, poważny kryzys w relacjach katolicko-prawosławnych, całkowity chaos prawny wprowadzony przez Franciszka zbyt szybkim przygotowywaniem różnych dokumentów, próba ujęcia w karby coraz bardziej rozbuchanego ruchu charyzmatycznego... To wszystko sprawy, które same, siłą faktu, narzucają się kolejnemu papieżowi, niezależnie nawet od jego stanowiska eklezjologicznego i politycznego. Pytanie, czy im sprostą i choć trochę uporządkuje bałagan, z którym mamy dziś do czynienia – czy też skala wyzwań przerosła go tak, jak w pewnym sensie przerosła Benedykta XVI.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem portalu PCh24.pl.

Front nastrojów społecznych



Łukasz Warzecha

Wojna spowszedniała, tym bardziej że ograniczony jest jej zakres terytorialny, a trudności uderzające bezpośrednio w ludzi sprawiają, że wyborcy krajów Zachodu będą się koncentrować coraz bardziej na własnych problemach zamiast na nieszczęściu Ukraińców

Wojna na Ukrainie nie toczy się w społecznej próżni. Szczególnie dobrze rozumie to Kijów, który od samego początku przypuścił ofensywę wizerunkową na Zachód. Rządy kierują się przecież nie tylko względami strategicznymi, lecz także oczekiwaniami opinii publicznej. O jej wsparcie walczą Ukraińcy, dla których od początku musiało być jasne, że z czasem zainteresowanie wojną będzie spadać, a rosnać będzie irytacja problemami z niej wynikającymi. Które zresztą Rosja świadomie generuje właśnie po to, aby osiągnąć taki efekt.

W Polsce debata o wojnie na Ukrainie została w ogromnej mierze podporządkowana partyjnym uwarunkowaniom. Jakakolwiek dyskusja jest maksymalnie utrudniona, jeśli zwolennicy jastrzębiego

podejścia za każde odstępstwo od obowiązującej linii doczepiają dysydemtom etykietkę „ruskich onuc” albo co najmniej funkcjonalnych zwolenników Putina (pisaliśmy o tym zjawisku wielokrotnie w „Do Rzeczy”). To sprawia, że trudno także o rzetelne badania opinii publicznej.

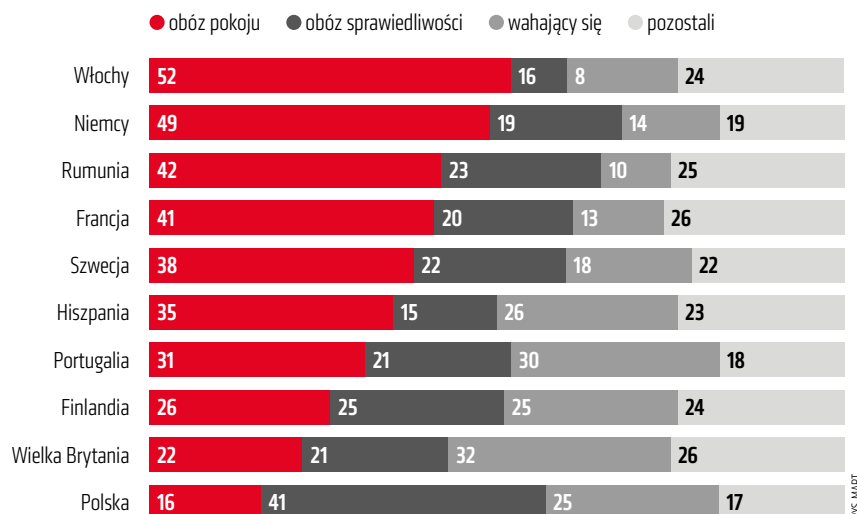
Badania jednak dostaliśmy, i to pokazujące przekrój sentymentów nie tylko w naszym kraju, lecz także w dużej części Europy. Sondaż przeprowadzono na zamówienie prestiżowego think tanku European Council on Foreign Relations w 10 państwach naszego kontynentu. Spoza UE sięgnięto po Wielką Brytanię, obok Polski być może najbardziej asertywne względem Rosji państwo, którego premier kusi nas projektem odrębnego przymierza z Waszyngtonem i Kijowem. Trudno powiedzieć, czy pomysł Borisa Johnsona ma

być alternatywą wobec Unii, jej uzupełnieniem czy też może jest po prostu PR-owską zagrywką szefa brytyjskiego rządu, który cały czas musi się zmagać z buntem w szeregach własnej partii i chce w ten sposób „uciec do przodu”.

Poza tym przepytano mieszkańców Francji, Rumunii, Niemiec, Włoch, Portugalii, Hiszpanii, Szwecji, Finlandii i właśnie Polski. Próba wyniosła nieco ponad 8 tys. osób. Dobór krajów w tym zestawieniu nie jest przypadkowy. Rumunia znalazła się w nim, ponieważ jest krajem wielkości podobnej jak Polska, z podobnym doświadczeniem przynależności do sowieckiej strefy wpływów, graniczącym z Ukrainą, a na dodatek z Mołdawią, a więc państwem realnie zagrożonym rosyjską agresją w kolejnym kroku. Francja i Niemcy są motorami i największymi



Nastawienie do wojny na Ukrainie (w procentach)



Niektóre dane nie sumują się do 100 z powodu zaokrąglenia.

Źródło: Dataprix i yougov dla ECFR, maj 2022

zakończyć wojnę jak najprędzej, nawet kosztem ukraińskich ustępstw, czy też naczelnym celem powinno być „ukaranie” Rosji za jej działania i zachowanie ukraińskiej integralności terytorialnej. Co prawda, użyte w badaniu terminy nie są stuprocentowo precyzyjne, bo pojęcie terytorialnej integralności Ukrainy można w przypadku obecnej sytuacji rozumieć trojako: jako przywrócenie Ukrainie wszystkich terytoriów włącznie z tymi utraconymi w 2014 r.; jako odwołanie jedynie Donbasu, bez Krymu; wreszcie jako powrót – co postulował w Davos Henry Kissinger – do status quo ante, a więc pozostawienie Rosji terytoriów zajętych w 2014 r., lecz wyparcie jej ze wszystkich terenów okupowanych w wyniku obecnej napaści. Można założyć, że większość respondentów rozumie integralność terytorialną ukraińskiego państwa zgodnie z trzecim założeniem, mniejsza część – zgodnie z drugim, a najmniejsza – z pierwszym, najdalej idącym, którego spełnienie wydaje się teraz najmniej prawdopodobne.

Jedno jest jasne: obóz sprawiedliwości jest w tej chwili w zdecydowanej mniejszości. W całej liczbie badanych ma jedynie 22 proc., podczas gdy obóz pokoju aż 35 proc. 20 proc. to wahający się, 23 proc. pozostali. W rozbiu na poszczególne badane państwa samotność polskiej jastrzębiej postawy wybija się jeszcze bardziej: jesteśmy jedynym spośród badanych krajów, gdzie obóz sprawiedliwości ma większość, i to wyraźną:

41 proc. wobec zaledwie 16 proc. zwolenników obozu pokoju – przy 25 proc. wahających się. Kolejnym najbardziej jastrzębim państwem w zestawieniu jest Finlandia, ale plasuje się daleko za nami. 25 proc. poparcia ma tam obóz sprawiedliwości, 26 proc. obóz pokoju, 25 proc. to wahający się. Niemal w równowadze oba obozy są także w Wielkiej Brytanii, gdzie największy wśród badanych państw jest obóz wahających się: ma aż 32 proc., podczas gdy 21 proc. liczy sobie obóz sprawiedliwości, a 22 proc. – obóz pokoju.

Dla porównania spójrzmy jeszcze na Rumunię ze względu na wspomniane wcześniej podobieństwo doświadczeń z Polską. Tam wyraźną przewagę ma obóz pokoju – 42 proc. – nad obozem sprawiedliwości – tylko 23 proc. W Niemczech jest to 49 proc. do 19 proc., a we Włoszech, które są najbardziej kapitulankie – 52 proc. do 16 proc.

Jednak jastrzębia natura Polaków okazuje się mniej jednoznaczna przy kolejnych pytaniach. „Kto jest przede wszystkim odpowiedzialny za wybuch wojny na Ukrainie?” – we wskazaniach na Rosję Polska nie jest pierwsza, jak można by sądzić. Prowadzi Finlandia – 90 proc. do 5 proc. wskazujących na Ukrainę. Druga jest Wielka Brytania: 83 proc. do 5 proc. Polska jest na trzecim miejscu – 83 proc. do 10 proc. Na drugim biegunie są znowu Rumunia – 58 proc. do 21 proc. – oraz Włochy – 56 proc. do 27 proc. Jak jednak widać, nawet w najbardziej prorosyjskich

krajami UE, które rozpaczliwie starają się pozostać w grze, gdy idzie o wojnę na Ukrainie. Finlandię i Szwecję wojna popchnęła ku członkostwu w NATO; oba kraje od dekad – zwłaszcza Finlandia – żyły w cieniu sowieckiego, a potem rosyjskiego zagrożenia. Hiszpania i Portugalia reprezentują najbardziej oddalone rejony kontynentu, potencjalnie najmniej narażone na rosyjski atak. We Włoszech prorosyjskie sympatie były zawsze mocno obecne w polityce. Polska jest w swoich retoryce i działaniach najradzykalniejsza.

DWA OBOZY

Najważniejszym wnioskiem z badania jest istnienie dwóch obozów, nazwanych obozem sprawiedliwości i obozem pokoju. Wyodrębniono je, pytając respondentów, czy Europa powinna starać się

■ krajach wyraźną przewagę ma ta część opinii publicznej, która wskazuje na Rosję jako winowajcę.

„Który kraj stwarza większy problem, jeśli chodzi o pokój między Rosją a Ukrainą?” – Polacy okazują się tutaj znowu mniej jednoznaczni niż Finlandia, Szwecja, a nawet Wielka Brytania. W tych krajach na Rosję wskazało odpowiednio 87 proc., 82 proc. i 76 proc. respondentów. W Polsce – 74 proc. Na Ukrainę – 5 proc., 9 proc., 8 proc. W Polsce – aż 12 proc.

Z sondażu wynika również, że na poziomie wszystkich badanych państw przewidywane skutki wojny zależą od poglądów na nią. Wśród członków obozu pokoju aż 61 proc. uważa, że na wojnie gorzej wyjdzie Ukraina, a w obozie sprawiedliwości tego zdania jest 54 proc. W tej pierwszej grupie 44 proc. stwierdza, że pogorszy się sytuacja Rosji, a w tej drugiej uważa tak aż 54 proc.

Ciekawie wypadła porównanie Polski z innymi krajami, gdy pojawia się pytanie o to, które związki z Rosją powinny zostać ucięte. Do wyboru respondenci mieli trzy możliwości: wszelkie związki gospodarcze, wszelkie związki kulturalne oraz relacje dyplomatyczne. Średnia przedstawia się następująco: pierwszą opcję wskazało 62 proc., drugą – 52 proc., trzecią – 49 proc.

Te wyniki mocno podbili Polacy. Za odcięciem związków gospodarczych jest w naszym kraju 77 proc., kulturalnych – 73 proc., a dyplomatycznych – co jest krokiem radykalnym i zwykle stanowi wstęp do ostrej fazy konfliktu – aż 71 proc. W tych wskazaniach jesteśmy osamotnieni. Następna w kolejności, jeśli idzie o zerwanie relacji dyplomatycznych z Rosją, jest Szwecja, ale tam wskazuje na ten wariant tylko 56 proc. W wojowniczej Finlandii – już tylko 48 proc. W Wielkiej Brytanii – 54 proc. W Niemczech – zaledwie 39 proc. i tyle samo w Rumunii.

Wszystko to nie oznacza jednak, że Polacy nie mają wątpliwości. Mają – nawet zaskakujące. W Polsce największy odsetek osób jako jedną z trzech głównych obaw związanych z wojną wskazał kwestię uchodźców – 21 proc. Jesteśmy też na drugim miejscu – po Finach – jeśli chodzi o obawę przed wojskowym atakiem Rosji na nasz kraj: 56 proc. uwzględniła tę obawę wśród trzech największych. Znajdujemy się w środku stawki, gdy idzie o obawę przed zapaścią ekonomiczną i utratą pracy: 26 proc. Naj-

więcej obaw tego typu jest w Hiszpanii (40 proc.), a najmniej w Wielkiej Brytanii (16 proc.).

W Polsce jest też relatywnie wysoki odsetek osób, które odpowiedziały przecząco na pytanie, czy wspierają swój rząd w przyjmowaniu ukraińskich uchodźców, oraz relatywnie niski odsetek odpowiedzi twierdzących. „Tak” – odpowiada 71 proc., co sytuuje nas zaledwie na trzecim miejscu od końca. Pierwsza jest Finlandia – 91 proc. Za nami zaś są jeszcze Francja – 67 proc. – oraz Rumunia – ledwo 64 proc. Przeciw jest u nas 16 proc., co również daje nam trzecie miejsce.

Najbardziej zaś chyba zaskakująca jest odpowiedź na pytanie, ile uwagi rząd poświęca wojnie na Ukrainie w porównaniu z problemami własnych obywateli.

Polscy politycy powinni uwzględnić, że bojowe nastroje opinii publicznej to specyfika zaledwie kilku krajów Europy, a na poziomie takim jak w Polsce nie ma ich nigdzie

Możliwe były cztery odpowiedzi: „zbyt wiele”, „tyle, ile trzeba”, „zbyt mało” i „nie wiem”. W Polsce pierwszą wybrało aż 52 proc., co daje nam drugie miejsce po Rumunii (58 proc.) i sytuuje nas mocno powyżej średniej (42 proc.). Odwrotnego zdania jest zaledwie 3 proc. Polaków, a 30 proc. sądzi, że „tyle, ile trzeba”.

CZAS NA WNIOSKI

Z badania wyłania się niezmiernie ciekawy obraz.

Po pierwsze – polscy politycy powinni uwzględnić, że bojowe nastroje opinii publicznej to specyfika zaledwie kilku krajów Europy, a na poziomie takim jak w Polsce nie ma ich nigdzie. To znaczy, że będzie rostała presja ze strony europejskiej opinii publicznej, aby poszukiwać rozwiązań będącego jakąś formą kompromisu pomiędzy walczącymi stronami. Polski radykalizm jawi się na tle innych krajów jak ewenement, zjawisko endemiczne dla Polski (choć nie mamy

danych choćby z krajów bałtyckich) i raczej nie da się go przeszczerzyć do państw na zachód od nas.

Po drugie – choć Polacy są z jednej strony nastawieni bojowo, to z drugiej mają poczucie, że wojna stała się ważniejsza niż ich własne problemy. Ten trend będzie się z pewnością pogłębiał, a to powinno być dzwonkiem ostrzegawczym dla partii rządzącej, która zrobiła sobie z rosyjsko-ukraińskiego konfliktu wygodny wehikuł polityczny. Można za jego pomocą mobilizować poparcie, popisując się tym, jak to Polska uplasowała się – by użyć sformułowania Jarosława Kaczyńskiego – w szpicie krajów wspierających Ukrainę. Można też tłumaczyć wojną dowolne własne porażki, przede wszystkim gospodarcze. Jak jednak pokazuje badanie, ta metoda wydaje się tracić skuteczność.

Po trzecie – następuje powolna, lecz wyraźna utrata cierpliwości w sprawie uchodźców. To oczywiście rezultat przyjęcia przez Polskę ogromnej ich liczby i zaangażowania w to gigantycznych środków. Nic dziwnego, że znacznie mniej sceptyczni są respondenci w krajach, które uchodźców przyjęły niewielu, jak Finlandia, Szwecja czy Portugalia. Jednak wskaźnik dla Polski, szczególnie w zestawieniu z początkowo gigantycznym entuzjazmem, zamienionym szybko w entuzjazm oficjalny i obowiązkowy, zwraca uwagę.

Jak zauważają autorzy badania, rozstanie Zachodu z Rosją wydaje się nieodwołalne, przynajmniej w średnim okresie. To oznaczałoby, że jeśli faktycznie część niemieckich elit myśli o powrocie do robienia poważniejszych interesów w Moskwie – pojawiały się ostatnio wzmianki o reanimacji Nord Stream 2 – jest to raczej niewykonalne. Opór opinii publicznej nie tylko w samych Niemczech byłby zbyt wielki. Z drugiej jednak strony nie oznacza to, że europejskie społeczeństwa są gotowe wspierać Ukrainę nie wiadomo jak długo i bezwarunkowo. Wojna spowodowała, tym bardziej że ograniczony jest jej zakres terytorialny, a trudności uderzające bezpośrednio w ludzi sprawiają, że wyborcy będą się koncentrować coraz bardziej na własnych problemach zamiast na nieszczyśnięciu Ukraińców.

W Polsce koło zamachowe proukraińskiego zapalu na razie funkcjonuje, ale coraz słabiej. Nie tylko w Donbasie, lecz także na froncie nastrojów czas działa na korzyść Moskwy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NIESAMOWITA PODRÓŻ NA POGRANICZE UKRAIŃSKO-POLSKIE!





Wszyscy pamiętamy zapewne dramatyczne sceny, które w sierpniu ubiegłego roku rozgrywały się w czasie ewakuacji wojsk NATO-wskich z Kabulu. Afgańscy cywile uwieszeni podwozi startujących z kabulskiego lotniska samolotów, już w powietrzu odrywający się od maszyn i roztrzaskujący o ziemię. Tłumy ludzi szturmujących w panice bramy lotniska, wybuch bomby, której ofiarami padło kilkunastu amerykańskich żołnierzy i ponad 170 afgańskich cywilów – także kobiet i dzieci. Wydarzenia te naruszyły wizerunek nie tylko amerykańskiego supermocarstwa, lecz także całego „kolektywnego Zachodu”.

Mało kto wie, że jeden z ostatnich samolotów, który odleciał z zajmowanego przez talibów Kabulu, wywiózł do bezpiecznej Wielkiej Brytanii zgoła niecodziennych pasażerów. Wycarterowany za ponad 200 tys. funtów przez brytyjską organizację charytatywną Nowzad wziął na pokład profesjonalnie przygotowane



Dariusz Wieronieczny

Mam wrażenie, że następujące w otaczającym nas świecie „podniesienie” zwierząt we wrażliwości współczesnych do godności człowieka przyniosło nam, paradoksalnie, obniżenie godności ludzkiej do poziomu zwierzęcia. Straciły na tym nasze relacje z otaczającymi ludźmi, zwierzęta zyskały niewiele

Zacieranie różnic

Celebryta ekologiczny, były żołnierz brytyjski, Paul „Pen” Farthing, założyciel organizacji Nowzad, która ewakuowała z zajętego przez talibów Kabulu psy ze swojego schroniska, ale w wyczerpanym samolocie nie znalazła miejsca, by zabrać stamtąd pracowników tego schroniska. FOT. JEROME STARKEY / NEWS LICENSING / FORUM



do międzykontynentalnej podróży, zabezpieczone farmakologicznie i umieszczane w profesjonalnych klatkach 94 psy i 68 kotów. Na pokładzie nie znalazło się miejsca dla żadnego Afgańczyka ani Afganki. Nie odlecieli nim nawet miejscowi pracownicy prowadzonego przez Nowzad schroniska dla bezdomnych zwierząt. Prowadzący je celebryta ekologiczny, były żołnierz brytyjski, Paul „Pen” Farthing, wyraził z tego powodu szczerze ubolewanie i obiecał zrobić, co może, by ułatwić swoim pracownikom ewakuację drogą lądową. Do tej pory udało się to tylko części z nich.

Historia prowadzonego przez Paula Farthinga schroniska zaczęła się wraz z wkroczeniem wojsk brytyjskich do afgańskiej prowincji Helmand. Zacytujmy stronę internetową organizacji Nowzad: „Brytyjscy marines, którzy przybyli do miasta w listopadzie 2006 r., szybko zorientowali się, że nie tylko miejscowa ludność potrzebuje pomocy. Liczne bezdomne psy, któreapełniały ulice

Now Zad, znalazły teraz obrońcę, być może pierwszy raz w swoim życiu. Okazał się nim sierżant »Pen« Farthing”.

Misją zaradnego i wrażliwego sierżanta stało się „wygranie tej wojny dla zwierząt”. Szybko stał się celebrytą, lubianym i szanowanym także na politycznych salonach. Tym, co przydaje dodatkowej pikanterii kabulskiej ewakuacji czworonogów, jest to, że – jak wynika z ujawnionej niedawno korespondencji wysokich urzędników brytyjskiego Foreign Office – jej sprawne przeprowadzenie mogło być zasługą samego Borisa Johnsona. Urzędnicy organizujący ewakuację powoływali się w swojej korespondencji na „autoryzację” operacji przez premiera i jego osobistą zgodę na akcję. Być może na taką decyzję miała wpływ małżonka polityka, Carrie Johnson, gorąco zaangażowana w inicjatywy wspierające dobrostan zwierząt i mająca z „Penem” Farthingiem licznych wspólnych przyjaciół. Całkiem niedawno brytyjskie media odkryły, że założyciel Nowzadu straszył swoich politycznych przyjaciół „zniszczeniem” ich karier, jeśli nie dopomogą oni w ewakuacji czworonogów z kabulskiego lotniska. Nieco później opinia publiczna dowiedziała się, że w Nowzadzie zatrudniona była przez lata partnerka Farthinga, która odchodząc z pracy w roku 2021, otrzymała w ramach rekompensaty okrągłą sumkę ponad 30 tys. funtów. Jak widać, wielkoduszność sierżanta nie ograniczała się jedynie do czworonogów.

ŁUDZIE, CZYLI GATUNEK ZWIERZĄT

Historia afgańskiej ewakuacji zwierząt przypominała mi się w marcu, po wybuchu wojny na Ukrainie. Pracowałem wtedy jako wolontariusz na Dworcu Centralnym w Warszawie. Moja praca polegała przede wszystkim na pomocy w kierowaniu uchodźców do miejsc zamieszkania, zarówno tych zbiorowych, organizowanych przez władze, jak i indywidualnie oferowanych przez osoby prywatne. Pracując na dworcu kolejowym, pomagałem też przy rezerwacji biletów, wskazywałem, jak dostać się na odpowiedni peron, znaleźć przesiadkę lub autobus.

W panującym początkowo na hali dworcowej rozgardiaszu łatwo było zauważyć rodziny z dziećmi, zmęczonych, wręcz wycieńczonych wielodniową podróżą ludzi. Wiele było też samot-

nych kobiet, zmagających się z ciężkim bagażem i gromadką uczepionych mamy maluchów. Dla kobiet z dziećmi zorganizowano na antresoli dworca osobne, nieco wygodniejsze miejsce, choć naturalnie słowo „wygoda” nie miało z panującymi tam warunkami wiele wspólnego.

Moją uwagę zwróciły osoby podróżujące ze zwierzętami. W niepewnym przyszłości, zdenerwowanym tłumie ludzi stres udzielał się także zwierzętom. Duże, często prowadzone bez kagańców psy szczeleły i warczały, mniej lub bardziej skutecznie uciszane przez swoich właścicieli. Prośby o założenie psu kagańca często nie przynosiły żadnego rezultatu. W pierwszych dniach wojny przepisy pozwalały każdemu z uchodźców przywieźć do Polski do pięciu zwierząt towarzyszących, nie wymagając przy tym na granicy żadnych świadectw szczepień ochronnych. Na peronach, zwłaszcza w godzinach odjazdów obłożonych pociągów do Berlina i Wiednia, ludzie z psami rywalizowali o miejsce z rodzinami i dziećmi. Bilety na miejsca siedzące kończyły się bardzo szybko, większość uchodźców podróżowała z biletami niegwarantującymi miejsca w przedziale. Wielu miało już za sobą wielogodzinną podróż, na stająco, w korytarzach wagonów. Kiedy spytałem kolegów wolontariuszy, czy uchodźcy z psami nie powinni poczekać, aż do wagonu wejdą kobiety z małymi dziećmi, wywiązała się pomiędzy nami ożywiona dyskusja.

Trzeba pamiętać, że wolontariusze ci byli osobami zasługującymi na prawdziwy szacunek. Pracowali ciężko, przez wiele godzin, często do granic wyczerpania, bez żadnego wynagrodzenia. Były to osoby zaangażowane w pomoc innym, okazujące bliznim bezinteresowne wsparcie i głębokie współczucie. Tym bardziej warto zastanowić się nad powodami, dla których moja propozycja została przez większość kolegów zdecydowanie odrzucona. Argumenty, które usłyszałem, brzmiały następująco: zwierzęta są takimi samymi domownikami, osobami najbliższymi, szczególnymi wprawdzie, ale członkami rodzin. Dawać jednym uchodźcom (tym z dziećmi) pierwszeństwa przed drugimi byłoby niesprawiedliwe. Każdy, kto dostał bilet (były one bezpłatne), ma takie same prawa do podróży. Wreszcie wiele osób młodych przekonywało mnie, że ludzie też są przecież gatunkiem zwierząt,

zwierzęta są od nas szlachetniejsze, wierniejsze, bardziej skłonne do empatii i pomagając ludziom, powinniśmy pomagać także zwierzętom, nie czyniąc w naszych staraniach żadnej różnicy. Przegląsowany, choć nie przekonany, odstąpiłem od swoich „segregacyjnych” planów, obiecując sobie sprawę przemyśleć.

Innej zaskakującej obserwacji dokonalem w miejscu, gdzie zgłaszali się warszawiacy gotowi zaprosić uchodźców do swoich domów. Co najmniej kilka razy spotkałem się z sytuacją, gdy osoby zapraszające deklarowały gotowość przyjęcia gościa ze zwierzętami. Kiedy dopytywałem się, czy ewentualnie zamiast zwierząt znajdzie się miejsce na większą rodzinę bądź dzieci, zdarzało mi się usłyszeć „nie”. Padał tutaj argument „To jest moje mieszkanie i mogę w nim przyjmować, kogo zechcę”. Choć zapewne słuszny, to wydał mi się jednak godny wnikliwego rozważenia.

NOWA DEFINICJA MIŁOŚCI?

Stawiam tezę, że dla wielu ludzi w cywilizacji Zachodu relacje ze zwierzętami stały się równie ważne, a przez to, że łatwiejsze, częściej nawet nawiązywane niż relacje z ludźmi. Zwłaszcza w post-covidowym świecie, gdy ludzie zamknęli się w domach, a spontaniczne relacje towarzyskie uległy częściowej atrofii, kontakt emocjonalny ze zwierzętami towarzyszącymi stał się dla wielu jedyną głęboką relacją emocjonalną. Proces ten silniejszy jest na Zachodzie, choć i u nas daje się zauważyć. Znajoma lekarz weterynarii, od wielu lat pracująca w Wielkiej Brytanii, relacjonuje mi, że większość odwiedzających jej klinikę klientów mówi o sobie, w relacji do zwierząt, słowami „daddy” i „mommy”, zwierzęta opisując jako „baby”, synka albo córeczkę. Znacznie częściej niż w Polsce zwierzęta ubierane są w niby-ludzkie stroje, które poza daniem właścicielowi poczucia „zaopiekowania” czworonożnym dzidziusiem żadnego pożytku zwierzęciu nie przynoszą. Zdarza się, że sprawiają mu widoczny dyskomfort. W walentynki bogata jest oferta specjalnych prezentów dla zwierząt, serduszek do gryzienia i zdobionych cekinami obroży.

Kiedy czytamy w prasie kobiecej wyznania celebrytów w rodzaju: „Wolę zwierzęta niż ludzi, bo te są od ludzi uczciwsze, nie kłamią i nie potrafią z rozmysłem krzywdzić”, widzimy w tym najczęściej minoderię przechwalających

się wrażliwością gwiazdek. Nie przywiązujemy do takich deklaracji większej wagi. Podobnie przywykliśmy już do kokietowania nas w mediach cikliwymi wyznaniami o miłości do zwierząt, którym epatujące fanów gwiazdeczki „oddają całe serce”. Zastanówmy się jednak, czy ten rodzaj „miłości” nie zmienił w naszej kulturze definicji miłości, wprowadzając do niej nadzwyczaj dwuznaczne brzmienia. Kochając drugiego człowieka, kochamy w nim istotę autonomiczną, wolną, mającą z nami całkowicie równe prawa.

Na ile wykorzystujemy zwierzęta, by złagodzić nękające nas samotność, nieumiejętność budowania relacji i lęk?

Zwierzę, nawet obdarzane najwyższym uczuciem, jest od nas zależne, w wielu systemach prawnych jest po prostu naszą własnością. Ukochanego kotka, z troski o jego zdrowie w trakcie marcowych eskapad, możemy wykastrować, koteczkę wysterylizować, kiedy nie zależy nam na kociętach. Czego uczy nas nazywanie takiej relacji słowami przynależnymi do związków, które moglibyśmy nawiązać z ludźmi? Czy wyłącznie dziełem przypadku jest stereotypowy wizerunek kociary, bezdzietnej zazwyczaj damy bezgranicznie skoncentrowanej na ukochanej gromadce czworonogów, a bezwiednie ignorującej potrzeby otaczających ją ludzi? Czy nie mamy wokół siebie „wrażliwych” ekologicznie dziewcząt, które wysyłały datki na ratowanie niedźwiadków koala w czasie australijskich pożarów buszu, a nie potrafiły powiedzieć, gdzie w sąsiedztwie znajdują się jakiekolwiek dom dziecka, hospicjum czy ośrodek dla ludzi starszych? Mam wrażenie, że następujące w otaczającym nas świecie „podniesienie” zwierząt we wrażliwości współczesnych do godności człowieka przyniosło nam, paradoksalnie, obniżenie godności ludzkiej do poziomu zwierzęcia. Straciły na tym nasze relacje z otaczającymi ludźmi, zwierzęta zyskały niewiele.

NIECH LUDZIE POZOSTANĄ LUDŹMI

W niektórych krajach skandynawskich zakazuje się dzisiaj rozmnażania

niektórych ras psów. Są one tak dalece zdeformowane, poprzez nieustanną wzmacniającą selekcję charakterystycznych cech swojego wyglądu, że trudno im normalnie funkcjonować bez skomplikowanych operacji chirurgicznych. O szczególnej chorowości modnych miniaturowych ras, których „słodki” wygląd tak wzrusza ich wielkomięskie właścicielki, wiele wiedzą weterynarze. Niezdolne często do oddychania przez nos z powodu deformacji czaszki buldogi angielskie nie mogą nam opowiedzieć o kosztach, które pociąga za sobą „stylowy” wygląd. Miniaturowe yorki nie są w stanie urodzić się metodą naturalną, gdyż bez interwencji chirurgicznej ciąża kończy się dla suczki bolesną śmiercią. Te i inne zdeformowane rasy cieszą się w naszych miastach niesłabnącą popularnością.

Wielki autorytet polskiej weterynarii, nieżyjący już prof. Jan Tropiło, zwykł powtarzać studentom, że to nie miłość do zwierząt jest niezbędną częścią tego zawodu, ale szacunek do nich i oszczędzanie im cierpienia. Kodeks etyki lekarza weterynarii zaczyna się sentencją „Sanitas animalium pro salute homini”, czyli „Przez zdrowie zwierząt do zdrowia człowieka”. Decydenci, którzy zdecydowali o wpuszczeniu do Polski tysięcy niemających świadectw szczepienia zwierząt, musieli tę dewizę rozumieć w sposób szczególny. Brytyjczy działacze charytatywni, kosztem tysięcy funtów wywożący z Afganistanu psy i koty, gdy bezpośrednio zagrożone było życie milionów ludzi zamieszkujących ten kraj, podeptali ją na oczach całego świata. Zacierając różnicę pomiędzy człowiekiem a zwierzętami, krzywdzimy zarówno naszych czworonożnych przyjaciół, jak i siebie samych. Czy czynimy to powodowani współczuciem czy uroszczeniem ontologicznej wszechmocy, pychą? Na ile wykorzystujemy zwierzęta, by złagodzić nękające nas samotność, nieumiejętność budowania relacji i lęk? Czy naturalnym losem dla psa jest bycie noszonym na rękach „synkiem” lub „córeczką” swej pani, stworzeniem ubranym w opiętą kamizelkę, ozdobionym warkoczykami i dzielącym z właścicielką „etyczną” dietę wegańską z soi i komosy ryżowej? Sądzę, że byłoby lepiej pozwolić zwierzętom na bycie zwierzętami, a ludziom, nauczonym współczucia i szacunku dla różnorodności otaczających nas stworzeń, pozwolić pozostać ludźmi.

POLITYCZNA

kawa



**Tomasz Sakiewicz wspólnie
z zaproszonymi do studia
dziennikarzami i politykami
podsumowuje najważniejsze
wydarzenia minionego tygodnia.**

niedziela
w samo południe
12:00



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl oraz drogą naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2 w Warszawie na kanale 23, we Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.

eprasa.pl/e3dd7db4fc



Z prof. Grzegorzem Łukomskim z UAM w Poznaniu
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Wolność stanowiła dla Sergiusza Piaseckiego imperatyw naczelny?

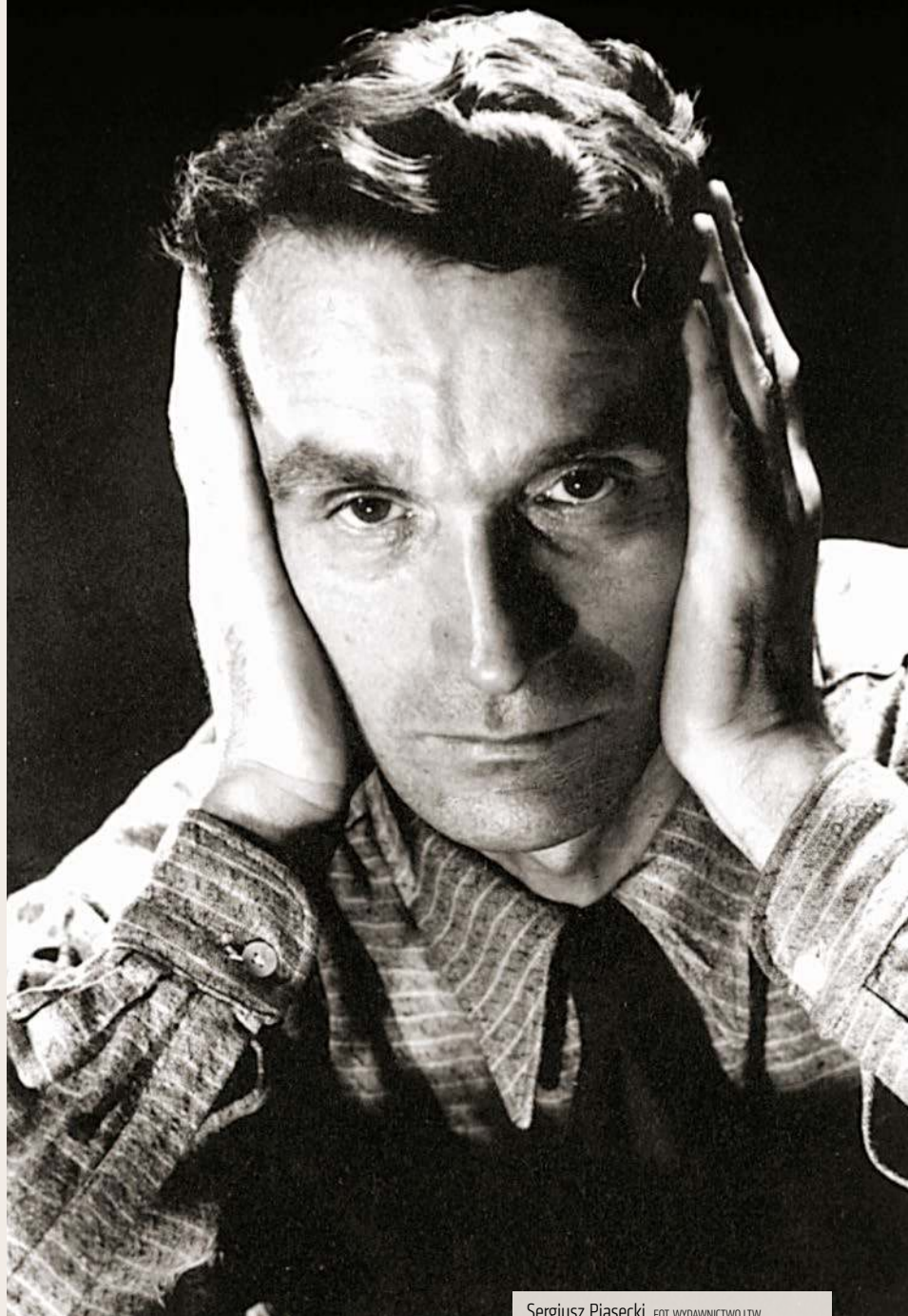
PROF. GRZEGORZ ŁUKOMSKI: Był antykomunistą ideowym, zaryzykujemy stwierdzenie, że także romantycznym ponadto – rzecz może najważniejsza – prawdziwym i szczerym, chociaż nie do końca docenianym, diamentem polskości, co bez wątpienia stanowi o sile jego przekazu intelektualnego. I – co chyba najważniejsze – był depozytariuszem wolności. Tę ostatnią kategorię cenił sobie najbardziej. Wolność uznawał za cel nadrzędny swej drogi życiowej. Z tego wynikała konsekwentna postawa negacji wobec wszystkiego, co autorytarne i totalitarne, a więc także niepolskie. Pozostające w sprzeczności z polską kulturą i naturą polskości. Piasecki to także człowiek prawdziwie niepokorny, niepoddający się sztucznym, narzuconym schematom kulturowym, zwłaszcza tym wynikającym ze wschodniego, rosyjsko-azjatyckiego pojmowania świata.

Co wiemy o jego rodowodzie i młodości?

Pochodził z rodziny zubożałej i zruszczałej polskiej szlachty, zamieszkałej na Nowogródczyźnie. Michał Piasecki, jego ojciec, był w Lachowiczach naczelnikiem poczty. Dziadkowie pisarza posiadali niegdyś folwark w okolicy Nowogródka, jednak w wyniku tragicznych wydarzeń – zostali oboje zamordowani przez swych parobków – prowadzona przez czterech braci posiadłość podupadła.

Edukację odbywał Sergiusz, rzecz oczywista, po rosyjsku, kilkakrotnie zmieniając szkoły średnie. Do 20. roku życia nie mówił po polsku. Rozpoczął naukę w Mińsku Litewskim, miał wówczas 10 lat. Następnie kształcił się w Bobrujsku. Z powodu wojennej ewakuacji w 1915 r. kontynuował nauczanie we Włodzimierzu nad Kłajmą w środkowej Rosji. Był już wówczas w szóstej klasie. Ze skąpych informacji z tego okresu wynika, że nie lubił szkoły, odrabiania lekcji i „wkuwania”. W efekcie, mimo niewątpliwej inteligencji i licznych zdolności, wyniki osiągał bardzo mizerne. Awersja do szkoły wynikała także z braku akceptacji ze strony szkolnego środowiska. Spotykał się z ostracyzmem, był stygmatyzowany jako Polak. Przezywano go „Polaczok”, „Lach”, „Polaczyszka”. Po kolejnej bójce z kolegami znalazł się w szkole w Pokrowie. Jednak konflikty z otoczeniem nie ustały i wkrótce jego edukacja zakończyła się w sposób dramatyczny.

Pistolet i pióro



Sergiusz Piasecki FOT. WYDAWNICTWO LITW

ny, gdy z siódmej klasy – na początku 1917 r. – trafił na krótko do więzienia. Oskarżony – jak utrzymywał, niesłusznie – o „zbrojny” zamach na inspektora gimnazjum i gospodarza klasy.

Antykomunistą stał się po pierwszym zetknięciu z bolszewizmem?

Sergiusza wciągnął wir wydarzeń mających swoje źródło w bolszewickim przewrocie. W drugiej jego fazie przebywał jakiś czas w Moskwie. Przebieg wydarzeń był w całej Rosji bardzo podobny do tych, które miały miejsce w stołecznym Piotrogradzie. Widział niewyobrażalną zbrodnię, bezprawie, zanik więzi społecznych i dotychczasowych wartości kulturowych. Istniejący dotąd znany mu świat leży w gruzach. Miał natomiast możliwość gruntownego poznania systemu bolszewickiego, od samych jego początków.

Uczestniczył w białoruskim, antybolszewickim ruchu zbrojnym. Prawdopodobnie należał do oddziałów tzw. zielonych, niewielkich grup powstańczych, mających wsparcie w miejscowej ludności. Wkrótce, zapewne na początku 1919 r., po zajęciu przez bolszewików Mińska – oddanego im przez wycofujące się oddziały niemieckie – Piasecki musiał opuścić miasto. Wstąpił wówczas do białoruskiej organizacji zbrojnej o nazwie Zielony Dąb.

Splot okoliczności sprawił, że stał się świadkiem narodzin nowego bytu politycznego, bolszewickiego państwa totalitarnego, opartego na ideologii marksistowskiej. Bez wątpienia wpłynęło to na kształtowanie tożsamości Piaseckiego, także tej politycznej i narodowej.

Jak to się stało, że trafił do wywiadu? Co konkretnie robił?

Wiosną 1920 r. ochotniczo wstąpił do oddziałów organizowanych przy Wojsku Polskim przez Białoruską Komisję Wojskową. Został uczestnikiem kursu w Szkole Podchorążych Piechoty w Warszawie. Wkrótce wraz z innymi słuchaczami wysłano go na front. Walczył m.in. w obronie Warszawy. Jego oddział stacjonował w Markach, niedaleko Ossowa.

Pod demobilizacji podjął służbę w szeregach Policji Państwowej Litwy Środkowej – na stanowisku posterunkowego Komisariatu III Okręgu w Wilnie. Niebawem złożył wniosek o przeniesienie do bardziej ambitnej pracy – w urzędzie

śledczym. W rezultacie został zwolniony ze służby.

Przez rok biedował. Aby przeżyć, miał się różnych, często niezbyt chwalebnych, zajęć. Jego status społeczny i kondycja finansowa uległy zdecydowanej zmianie na lepsze, gdy we wrześniu 1922 r. rozpoczął pracę w Oddziale II Sztabu Generalnego. Konkretnie w Referacie „Wschód”, którego działania skupione były na kierunku rosyjsko-litewskim. Stał się agentem cywilnym polskiego wywiadu wojskowego, działającym w ramach Ekspozytury Nr VI w Brześciu nad Bugiem. Rozpoczął się w jego życiu, jak sam to określił, „piąty etap”.

Relatywnie słabo opłacani wywiadowcy w celu wsparcia swojego budżetu, a często również z innych pobudek, równocześnie uczestniczyli niekiedy w zorganizowanej działalności przemytniczej, o wiele bardziej zyskowej niż służba państwowa. Mieli bowiem

Sergiusz Piasecki wykazywał samorodny talent do pisania, któremu towarzyszyły niewątpliwe talenty lingwistyczne

możliwość wielokrotnego przekraczania granicy, a różnice w standardach życia ekonomicznego po obu jej stronach były tak wielkie, że zachęcało to wręcz do aktywności także na tym obszarze.

Kiedy i dlaczego wylądował za kratkami?

Piasecki także parał się kontrabandą. Między innymi w związku z tym 18 lutego 1926 r. zwolniono go ze służby. Kontynuował jednak działalność przemytniczą i chociaż jego modus operandi pozostał taki sam, to jednak odbywał się już bez ochrony czy jakiegokolwiek wsparcia ze strony wpływowej instytucji państwowej. Fakt ten wywołał nader negatywne dlań implikacje. Po raz kolejny w swym życiu „rozbrojony” i rozgoryczony, stał się desperatem próbującym odreagować poczucie poniesionej klęski. Pracę w Oddziale II traktował bowiem jako wyróżnienie spełniające jego życiowe oczekiwania i ambicje. Niebagatelnym motywem działania był też brak jakichkolwiek środków do życia. Wkrótce popadł w poważny konflikt z prawem.

22 sierpnia 1926 r. wraz z kolegą dokonał w okolicy Wasiliszek, w powiecie lidzkim, zbrojnego napadu rabunkowego na wąskotorową kolejkę konną przewożącą pasażerów. Kilka dni później obaj zostali aresztowani.

Dalszy bieg tragicznych wydarzeń wynikał z sytuacji politycznej na granicy polsko-sowieckiej (wojna, a po jej zakończeniu stan permanentnej konfrontacji o podłożu politycznym i ekonomicznym). Od 30 czerwca 1919 r. działały w związku z tym na Kresach Wschodnich sądy doraźne. System egzekwowania prawa był tam niezwykle surowy, odbiegający od standardów obowiązujących w realiach pokojowych. Piaseckiego bronił Adam Pragier, znakomity adwokat. W normalnych warunkach wyrok byłby kilkuletni, pięć lat lub trzy lata więzienia, jednak w sytuacji nadzwyczajnej Piasecki otrzymał karę śmierci. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Jedynie skuteczne działania obrony, połączone ze wstawiennictwem Oddziału II, spowodowały, że wyrok złagodzono do 15 lat więzienia.

Gdzie go odsiadywał? W jakich warunkach? Był więźniem niezdyscyplinowanym? Podupadł zdrowotnie?

Przebywał w Rawiczu, Koronowie oraz w Świętym Krzyżu, najsurowszym wówczas ośrodku penitencjarnym w kraju. Stał na rozdrożu. Przemiana wewnętrzna nadeszła dość niespodziewanie. Przeistoczył się w literata spoglądającego na swój los poprzez refleksję intelektualną. Potrzeba pisania narodziła się w celi. Stanowiła rodzaj terapii wynikającej z odosobnienia, lecz chyba także poczucia krzywdy i utraty sensu życia. W wymiarze duchowym natomiast nowy okres życia Sergiusza – i związanych z nią traumatycznych doświadczeń – był swoistym katharsis. Przyczynił się do odnalezienia własnej drogi życiowej.

Był więźniem szanowanym przez współtowarzyszy niedoli, gdyż otwarcie protestował przeciwko brutalności dozorców, nie tolerował bezgranicznego chamstwa wśród personelu więziennego i skandalicznego traktowania więźniów, za co otrzymywał wiele kar. Podupadł zdrowotnie, zaczął chować na gruźlicę.

Zaczął pisać, aby zabić więzienną nudę?

Wykazywał samorodny talent do pisania, któremu towarzyszyły niewątpliwe talenty lingwistyczne. A język polski, którego systematyczną naukę podjął



■ w celi, stał się naturalną przestrzenią wypowiedzi twórczej Piaseckiego. Po dłuższych staraniach otrzymał pozwolenie na posiadanie przyborów do pisania. Papier bardzo ściśle reglamentowano, a wszystkie jego teksty poddawano starannej więziennej cenzurze.

Wyrok mu skrócono dzięki Melchiorowi Wańkowiczowi?

Powstały w więzieniu rękopis „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” oczarował „króla reporterów”, który podjął energiczne kroki zmierzające do uwolnienia obiecującego prozaika i – co nie było bez znaczenia – chorego na suchoty więźnia. Zyskał on w tym zakresie szerokie poparcie środowiska literackiego i dziennikarskiego. 2 sierpnia 1937 r. Piaseckiego zwolniono warunkowo.

Kolosalna poczytność debiutanckiej powieści zapewniła autorowi u schyłku II RP splendor?

Tak. Odnosił wielki sukces, był zapraszany na salony literackie i nie tylko. Zawsze jednak postrzegano go przez pryzmat procesowo-kryminalistyczny. W marcu 1939 r., podczas pobytu w Zakopanem, Piasecki poznał Stanisława Ignacego Witkiewicza. Nawiązała się między nimi sympatia, a nawet szczerza przyjaźń wynikająca z pewnego braterstwa dusz. Miał wówczas okazję obserwować pracę Witkacego malarza, któremu pisał portrety. Literackim efektem owych spotkań było powstałe wiele lat później, już w realiach emigracyjnych, krótkie, ale niezwykle urokliwe opowiadanie Piaseckiego pt. „Prometeusz”, które zostało nagrodzone w konkursie londyńskich „Wiadomości” w 1958 r.

Wróćmy do roku 1939...

W kampanii wrześniowej walczył jako ochotnik w batalionie KOP w Rykontach przy granicy litewskiej. Pełnił wówczas funkcję zastępcy dowódcy kompanii. W Wilnie, jesienią 1939 r., nie skorzystał z możliwości wyjazdu za granicę. W cza-

Powstały w więzieniu rękopis „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” oczarował Melchiora Wańkowicza, który podjął energiczne kroki zmierzające do uwolnienia obiecującego prozaika

sie okupacji litewskiej przebywał w tym mieście, natomiast za władzy sowieckiej i niemieckiej najczęściej w podwileńskich miejscowościach.

„Zapiski oficera Armii Czerwonej” mają niemalże wymiar dokumentalny.

Zawarł w niej swe obserwacje z czasów sowieckiej okupacji Wilna, ale też przewrotu bolszewickiego i uczestnictwa w białoruskim ruchu partyzanckim. Wiele spostrzeżeń zebrał podczas służby, jako wywiadowca „zakordonowy”, w Oddziale II WP. Posłużyły mu one zresztą również jako tworzywo innych utworów.

Kartoteka Sergiusza Piaseckiego prowadzona przez byłe Biuro „C” MSW w Warszawie

Na czym polegała jego działalność w konspiracji?

Od 19 lutego 1940 r. do 7 lutego 1945 r. był w Wilnie żołnierzem struktur Polskiego Państwa Podziemnego (ZWZ/AK). Początkowo w Biurze Informacji i Propagandy (BIP), następnie w Kierownictwie Dywersji (Kedyw). Formalnie jednak nigdy nie został zaprzysiężonym członkiem organizacji. Służył „sprawie” honorowo, ponieważ, jak uważał, taki był jego obowiązek wobec ojczyzny. Chociaż jest w tym sformułowaniu nuta patosu, to jednak właściwie charakteryzuje osobowość Piaseckiego. Posługiwał się pseudonimami: Konrad, Kira, Suez. Pod kolejnymi okupacjami używał też nazwisk Józef Makarewicz i Jan Tomaszewicz. W ramach ZWZ działał w tzw. legalizacji, zajmującej się wykonywaniem i dostarczaniem fałszywych dokumentów. Jednak najbardziej spektakularna była jego służba w Kedywie. Na początku 1943 r. sprawował nadzór, a następnie przez kilka tygodni dowodził oddziałem wykonującym egzekucje, czyli tzw. egzekutywą.

Podczas okupacji los zetknął Piaseckiego z Józefem Mackiewiczem.

Owszem, znalazł się także w samym centrum tzw. sprawy Józefa Mackiewicza, niesłusznie oskarżonego przez agenta sowieckiego o „kolaborację” z władzami niemieckimi. Prześledźmy zatem przebieg owych wydarzeń, istotnych dla obu twórców. Istniejący przy Komendzie Okręgu Wileńskiego AK Wojskowy Sąd Specjalny, działający pod przewodnictwem ppor. Stanisława Ochockiego „Argusa”, jesienią 1942 r. rozpatrywał zasadność wielu konspira-

cyjnych wyroków, także skazujących na śmierć – m.in. Józefa Mackiewicza.

Po niedługim czasie ustalono, że jednym z jego oskarżycieli był sowiecki szpieg. W rezultacie polecono Piaseckiemu wycofanie wyroku na Mackiewicza – co też się stało. Sprawa jednak skomplikowała się znacząco, gdy kilka tygodni później gestapo aresztowało Zygmunta Andruszkiewicza – istotną figurę lokalnej konspiracji – zatrudnionego formalnie w charakterze administratora osiedla mieszkaniowego. Piasecki otrzymał w związku z tym zadanie polegające na opróżnieniu służbowego biurka zatrzymanego. Doszło do tego 13 czerwca 1943 r. Z narażeniem życia wydobyl archiwum towarzysza broni. Ocalał w ten sposób przed aresztowaniem także Mackiewicza, którego dokumentacja – uzyskana podczas pobytu wiosną 1943 r. w Katyniu – znajdowała się w posiadaniu Andruszkiewicza. Niebawem Piasecki po raz pierwszy spotkał się z Mackiewiczem osobiście.

Małżonką autora „Piątego etapu” została sympatia Czesława Miłosza?

Od wiosny 1941 r., w okresie szczególnego nasilenia sowieckiego terroru, Piasecki dużo czasu spędzał w majątku Barcie, należącym do znanego w Wilnie lekarza Antoniego Waszkiewicza i jego żony Izabeli. Tam poznał ich córkę, Jadwigę. W 1933 r. ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Była wtedy koleżanką, a nawet chyba kimś więcej, Czesława Miłosza. Znajomość Jadwigi i Sergiusza przerodziła się w bliski związek i wkrótce, w 1942 r., zawarli małżeństwo. 17 czerwca 1944 r. urodził się im syn, Władysław.

Polskę pod sowiecką okupacją Piasecki opuścić chciał, czy też musiał?

Zagrożony aresztowaniem, ścigany przez służby sowieckie, 8 maja 1945 r. wyjechał z Wileńszczyzny pod przybranym nazwiskiem Jan Tomaszewicz wraz z transportem przesiedleńców. Początkowo krótko przebywał w Warszawie, następnie próbował znaleźć swoje miejsce na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Żył w ciągłym strachu, ukrywał się, zmieniając miejsca pobytu. Wiosną 1946 r. porozumiał się z jedną z polskich organizacji podziemnych i za jej pomocą postanowił ująć z Polski za granicę, aby tam podjąć walkę przeciwko komunizmowi. Nastąpiło to 30 kwietnia 1946 r.



Pod koniec pobytu w więzieniu w Świątym Krzyżu w 1937 r. FOT. WYDAWNICTWO LTW

Tuż przedtem napisał znamienity list...

Przekonania ideowe jasno i bezkompromisowo zaprezentował w liście otwartym, datowanym w Warszawie na 27 kwietnia 1946 r., zatytułowanym „Sto pytań pod adresem »obecnej« Warszawy”. Był adresowany do redaktora naczelnego tygodnika „Odrodzenie”, Karola Kuryluka, przed drugą wojną światową redaktora naczelnego lwowskich „Sygnałów” – lewicowego, wręcz komunistycznego czasopisma ukazującego się w latach 1933–1939.

Albion zagościł w życiu Piaseckiego przypadkowo?

Na emigracji najpierw wcielono go w stopniu szeregowego do Batalionu Wartowniczego, a następnie przeniesiono do Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu stacjonującego we Włoszech. Wkrótce, wobec rozwiązywania Polskich Sił Zbrojnych, odbył rejs statkiem z Neapolu do Glasgow. Zasiłił szeregi Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, przebywał w kilku obozach przejściowych, a po demobilizacji zmagął się z wypierską rzeczywistością, którą polubił w stopniu nader umiarkowanym. Zamieszkał w Londynie, lecz nie czuł się dobrze w rozpolitykowanym i nieco zgłębliwym środowisku tamtejszej Polonii, toteż po kilku latach przeniósł się do znanego z dziejów średniowiecza Hastings. To urokliwie położone miasteczko stało się od 1953 r. ostatnim miejscem jego ziemskie-

go bytowania. Mieszkał nader skromnie. Pracował dorywczo, jako tragarz i listonosz, zmagając się z trudami codzienności i niedoborem pieniędzy.

Angażował się w życie emigracyjne?

Początkowo bardzo. Na przełomie lat 1951 i 1952 opublikował m.in. cztery teksty nawiązujące do Czesława Miłosza, który wówczas porzucił służbę dla Polski Ludowej i „wybrał wolność”. Pierwszy z nich nosi tytuł „Były poputek Miłosz”. Napisany zdecydowanie w tonie oskarżenia świadczy nie tylko o znajomości problematyki, lecz także o odwadze podejmowania tematów trudnych. Nie jest natomiast – to ważne – atakiem ad personam, dotyczy środowiska intelektualnego polskiej diaspory. Wymiana myśli politycznych była dla Piaseckiego ostatnią tak szeroką polemiką. Najwyraźniej uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Mur niezrozumienia i nieporozumienia okazał się bowiem zbyt wysoki. W swych poglądach pozostał jednak konsekwentny i niezmienny.

Z rodziną w Polsce utrzymywał kontakt?

Zabiegi związane ze sprowadzeniem żony wraz z synem do Anglii zakończyły się niepowodzeniem. Pomagał jednak bliskim, żyjącym w bardzo skromnych warunkach, jak mógł. Wysyłał paczki oraz listy, utrzymując w ten sposób stały – acz z konieczności jedynie konspiracyjny – kontakt.

Do końca PRL figurował na czołowej pozycji cenzorskiego indeksu?

Oczywiście. Znajdował się w orbicie zainteresowań Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a po jego reorganizacji – Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Został wpisany do rejestru osób niepożądanych w PRL jako „nastawiony zdecydowanie wrogo do kraju i antyradziecko”. Książki Piaseckiego były w Polsce komunistycznej prohibitemi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Grzegorz Łukomski – profesor historii, pracownik UAM w Poznaniu. Zainteresowania badawcze koncentruje wokół problematyki historii politycznej i wojskowej kresów wschodnich i zachodnich Rzeczypospolitej XIX i XX w., niemcoznawstwa i sowietologii. Autor wielu publikacji naukowych.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zdzierstwo elektryczne

Czy to nie ponura igraszka losu, że w czasie, gdy elektryfikacja niesłychanie odnosi triumfy w całej Europie, ludność Polski zaczyna od żarówki elektrycznej uciekać i wraca bądź do lampy naftowej, bądź do świecy łojowej lub stearynowej. Nie mogąc wytrzymać zdzierstwa monopolistów prądu, Polacy zażądali obniżenia cen na światło. A kiedy elektrownie odmówiły, wyrzekli się światła elektrycznego i wrócili do półmroku starodawnych lamp. To nie jest apokaliptyczna wizja tego, co czeka nas w najbliższych miesiącach. To fragment artykułu z „Dziennika Białostockiego” z 24 lutego 1932 r. Dziewięćdziesiąt lat temu w naszym kraju doszło do ostrego sporu między ludnością miast a władzami elektrowni. Zubożałych w wyniku wielkiego kryzysu obywateli II RP nie stać było na płacenie coraz wyższych rachunków.

Jedna z odsłon tego konfliktu miała miejsce w Białymstoku. I właśnie o niej możemy przeczytać w nowej „Karcie”. Mieszkańcy miasta wojowali z elektrownią, która nie tylko nie chciała obniżyć cen, lecz także pobierała wysokie opłaty za liczniki.

„Bez względu, z jaką elektrownia traktuje abonamentów – czytamy w gazecie – znajduje wyraz w postępowaniu jej funkcjonariuszy w razie niezapłacenia w wyznaczonym terminie rachunku. Już następnego dnia zgłasza się monter i z miną grabarza wyłącza prąd. Nie pomogą żadne prośby, żadne zapewnienia, że należność będzie dziś, jutro uregulowana. Nieustępliwość tę tłumaczy się faktem, że za ponowne przyłączenie do sieci pobiera się opłatę 3 złote.” W efekcie mieszkańcy Białegostoku ogłosili strajk elektryczny i miasto pogrążyło się w egipskich ciemnościach. Ostatecznie musiał interweniować wojewoda i obie strony usiadły do pertraktacji. W maju 1933 r. udało się osiągnąć kompromis. W strajku solidarnie brali udział zwolennicy wszystkich partii i przedstawiciele wszystkich narodowości zamieszkujących Białystok. A więc – dało się!

W nowej „Karcie” znalazły się też poruszające teksty o wojnie na Ukrainie i ciekawe wspomnienia niemieckiego szlachcica z Prus Wschodnich. Dobry numer. ©



★★★★★
„KARTA” 111/2022



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwowzory bohaterów kultowego serialu

Wprawdzie Janusz Przymanowski zaklinał się, że bohaterowie „Czterech pancernych i psa” powstał na bazie wielu żołnierskich życiorysów, ale można wskazać kilka osób, których losy ewidentnie były zbliżone do głównych postaci książki i serialu. Najwięcej emocji wzbudzała postać Janka Kosa, nastolatka, który podstępem trafił o Brygady im. Bohaterów Westerplatte, a wojnę zakończył jako dowódca czołgu w stopniu oficerskim.

W jego przypadku badacze są raczej jednomyślni i wskazują na pochodzącego z okolic Lwowa Stanisława Zielińskiego. Nieco starszy od swojego literackiego alter ego (w chwili wybuchu wojny miał 20 lat), zdążył wziąć jeszcze udział w kampanii wrześniowej, a następnie został wcielony do Armii Czerwonej, gdzie służył jako działonowy w czołgu. Wykryto jednak, że służył w Wojsku Polskim, i trafił do sowieckiego łagru. Zwolniono go po rozpoczęciu formowania Wojska Polskiego w Sielcach i ponownie został czołgistą, obejmując obowiązki strzelca radiotelegrafisty w wozie o numerze 217. Walczył pod Studziankami, a jego pojazd został poważnie uszkodzony pod Bydgoszczą i radiotelegrafista trafił do szpitala. Dzięki temu ominęło go zdobycie Gdańska i Gdyni, ale powrócił na operację berlińską, gdzie w stopniu starszego sierżanta

dowodził wyremontowanym wozem nr 217.

Po wojnie pozostał w wojsku. W 1956 r. był dowódcą kompanii czołgów i 28 czerwca w Poznaniu odmówił otwarcia ognia do protestujących robotników, a następnie zablokował pojazdem przejazd innych wozów. Został zdegradowany z kapitana do szeregowca, ale po zmianach politycznych przywrócono mu stopień oficerski. Służbę zakończył jako pułkownik, zmarł w czerwcu 2014 r.

Całkowitą fikcją literacką była natomiast postać Gustawa Jelenia. Nie dlatego, żeby w brygadzie brakowało silnych czołgistów, ale jego pochodzenie i służba w Wehrmachcie to propagandowy wymysł autora. Wśród pancerników z Sielc znajdowali się bowiem głównie byli zesłańcy pochodzący z Kresów, a nie z Górnego Śląska. Ale ze względów politycznych taka sytuacja była bardzo wygodna dla Przymanowskiego.

Istniał natomiast pierwowzór Szarika, z tym że nie był to pies, a suka tej samej rasy o imieniu Aza należąca do dowódcy brygady, płk. Jana (Iwana) Mierzycana. Natomiast podczas walk na Wale Pomorskim w ręce czołgistów wpadł owczarek niemiecki, którego przewodnik, ranny, trafił do niewoli. Pies stał się maskotką polskich czołgistów i wygląda na to, że to nie Gustlik, a Szarik miał za sobą służbę w Wehrmachcie... ©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Rozmowa z byłym
agentem KGB Olegiem
Kaługinem!

Jurij Felsztinski – Tak zabija Putin!

Grzegorz Janiszewski – Polowanie na wrogów Kremla

Tymoteusz Pawłowski – Trucizny i skrytobójstwa

Piotr Zychowicz – Polska hrabianka w Abwehrze

Gerald Blaine – Byłem ochroniarzem Kennedy'ego

Arkadiusz Karbowski – Komandosi Hitlera atakują!

Tomasz Stańczyk – Kresowa saga Weyssenhoffów

Rafał A. Ziemkiewicz – Rzeczpospolita Narodów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Olivier Bault

Po raz pierwszy w historii V Republiki Francuskiej prezydent wygrywa wybory i nie ma większości potrzebnej do rządzenia

Policzek – „La Gifle”. Tak brzmiał tytuł na pierwszej stronie lewicowego dziennika „Libération” nazajutrz po drugiej turze wyborów parlamentarnych we Francji. To samo słowo pojawiło się w mediach obok słowa „klęska”. Wychodziło ono z ust lub spod piór wielu francuskich dziennikarzy. Chodziło oczywiście o policzek, który wymierzili prezydentowi Macronowi wyborcy. Powierzili oni bowiem popierającej go koalicji tylko 245 miejsc w nowym Zgromadzeniu Narodowym, podczas gdy pięć lat temu dali jej aż 351 mandatów. To wynik daleki od minimalnej liczby 289, która zapewniłaby bezwzględną większość koalicji Ensemble (Razem), składającej się z partii LREM Marcrona (skrót od La République En Marche, który można rozumieć jako Republika w Drodze albo Republika, Naprzód!) i pomniejszych partii centrowych. Sama LREM ma już tylko 161 deputowanych.

Centrowy dziennik „Le Figaro” mówił tego dnia o Francji, którą nie da się rządzić. Konserwatywny (jak na standardy francuskie) „La Croix” wspominał o Francji rozbitej na kawałki, a centrolewicowy „Le Monde” o absencji, która stała się we Francji problemem strukturalnym. Tylko 46 proc. wyborców wzięło udział w drugiej turze wyborów 19 czerwca, czyli mniej więcej tyle samo co pięć lat temu, co jest wynikiem bardzo, jak na Francję, słabym. W pierwszej turze głosowało natomiast niecałe 48 proc.

STAN DUCHA

Nigdy wcześniej w historii V Republiki Francuskiej nie doszło do podobnej sytuacji w wyborach do Zgromadzenia Narodowego następujących zaraz po wyborach prezydenckich. Do tej pory Francuzi zawsze dawali nowo wybranemu prezydentowi większość potrzebną do rządzenia. Wiadomo jednak, że tym razem prawie połowa głosujących na Emmanuela Macrona w drugiej turze wyborów prezydenckich zrobiła to tylko po to, aby nie

Klęska Macrona



FOT. MICHEL EULER/AP/GETTY IMAGES

pozwoić jego konkurentce Marine Le Pen wygrać. Sondaże wskazywały, że prawie dwie trzecie wyborców nie chcą, aby Macron miał w parlamencie większość. Taki stan ducha francuskiego elektoratu znalazł odzwierciedlenie w urnach wyborczych.

Dodatkowym upokorzeniem dla prezydenta, znanego nie tylko na świecie, lecz także we Francji ze swojej arogancji, była przegrana dwóch czołowych, wiernych prezydentowi postaci jego partii LREM: przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Richarda Ferranda oraz przewodniczącego grupy parlamentarnej LREM i byłego ministra spraw wewnętrznych – Christophe’a Castanera. Tego ostatniego Francuzi pamiętają w szczególności z brutalnych represji stosowanych wobec tzw. żółtych kamizelek. W starciach ze służbami porządkowymi kilkadziesiąt osób straciło oko lub rękę z powodu masowego używania przez policję pocisków gumowych.

– Sytuacja ta stanowi zagrożenie dla naszego kraju w obliczu wyzwań, którym musimy stawiać czoła, zarówno na poziomie krajowym, jak i międzynarodowym – oznajmiła premier Elizabeth Borne zaraz po ogłoszeniu wstępnych wyników. Ona sama wygrała w swoim okręgu w Calvados w Normandii niedużą przewagą głosów (52,5 proc. do 47,5 proc.) nad 22-letnim działaczem skrajnie lewicowej partii Niepokorna Francja (La France Insoumise, LFI).

Przed wyborami do Zgromadzenia Narodowego prezydent Macron zapowiedział, że jeśli członek rządu stanie do wyborów i je przegra, to będzie musiał pożegnać się z posadą. Trzech ministrów musiało zatem odejść z rządu. Niestety, nie ma wśród nich znanego w Polsce z otwartej wrogości do rządów PiS i obsesji na temat rzekomych „stref wolnych od LGBT” Clémenta Beaune’a, ministra ds. europejskich. Udało mu się zachować posadę: dostał w swoim paryskim okręgu 50,7 proc. głosów, podczas gdy jego oponentka Caroline Mérary, adwokatka i działaczka partii Zielonych, uzyskała 49,3 proc. poparcia. Kandydowała ona z ramienia koalicji utworzonej pod przywództwem islamolewicowca Jeana-Luca Mélenchona, szefa LFI, wraz z Zielonymi, socjalistami i komunistami.

LE PEN ZNÓW MA GRUPĘ

Koalicja ta zdobyła pod szyldem „nowej ludowej unii ekologicznej i so-

cialnej” (NUPES) 137 miejsc w nowym Zgromadzeniu Narodowym, w tym 72 dla partii Mélenchona. Jest to mniej niż się spodziewano, gdyż według zapowiedzi sondażowni lewicowa koalicja mogła spodziewać się od 150 do 190 deputowanych, ale więcej, niż miała w poprzednim parlamencie. Udało się to dzięki utworzeniu koalicji wyborczej, gdyż procentowo koalicja zgromadziła mniej więcej tyle samo głosów, co w 2017 r. wszystkie partie wchodzące w jej skład. Ponieważ partie te mają nadal tworzyć osobne grupy parlamentarne, największym ugrupowaniem opozycyjnym w nowym parlamencie będzie Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. ZN odniosło niespodziewanie sukces aż w 89 okręgach, gdy instytuty badawcze mówiły o możliwym sukcesie w od 20 do 45 okręgów wyborczych. Pięć lat temu RN wygrało tylko

Partia Le Pen wprowadzająca 89 posłów do parlamentu dostanie zastrzyk finansowy w wysokości ok. 10 mln euro rocznie przez pięć lat

w ośmiu okręgach i miało ponad 10 razy mniej posłów! Oto drugi raz w historii partia rodziny Le Pen będzie w stanie utworzyć grupę parlamentarną, do której potrzebnych jest minimum 15 deputowanych. Pierwszy raz miało to miejsce po wyborach w 1986 r., kiedy po zmianie ordynacji wyborczej część deputowanych została wybrana w systemie proporcjonalnym, a nie większościowym w okręgach (w dwóch turach), który obowiązuje we Francji. Wówczas Jean-Marie Le Pen, ojciec Marine, wprowadził do izby niższej francuskiego parlamentu 35 deputowanych.

W kolejnych wyborach powrócono do systemu w całości większościowego, gdyż zmiana ordynacji przed wyborami z 1986 r. miała na celu wyłącznie – jak przyznał później ówczesny sekretarz Partii Socjalistycznej prezydenta Mitterranda, Lionel Jospin (późniejszy premier Francji za prezydentury Jacques’a Chiraca) – zmniejszenie rozmiarów zapowiadanej przez sondaże wygranej centroprawicy.

Powrót do ordynacji mieszanej obiecywał przed wyborami prezydenckimi w 2017 r. Emmanuel Macron, ale nie zre-

alizował tej zapowiedzi z obawy przed konsekwencjami wejścia do parlamentu licznej grupy posłów RN, czyli tej prawicy, którą główny nurt polityczno-medialny nazywa „skrajną” i przed którą stawia „front republikański”, będący francuską wersją znanego w kilku krajach Europy Zachodniej tzw. kordonu sanitarnego.

Jedną z konsekwencji wejścia do francuskiego parlamentu 89 posłów Marine Le Pen jest zastrzyk finansowy w wysokości ok. 10 mln euro rocznie, który będzie uzdrawiał finanse partii przez najbliższe pięć lat. Państwowa dotacja dla partii politycznych jest bowiem uzależniona od wyników w wyborach parlamentarnych oraz od liczby parlamentarzystów danej partii. Partia Le Pen będzie mogła zatem spłacić swoje długi, w tym słynny dziewięciomilionowy „dług rosyjski” zaciągnięty na zasadach rynkowych w 2014 r. od First Czech-Russian Bank. Bank ten zbankrutował w 2016 r., a wierzytelność została przejęta przez rosyjską firmę Awiazapczast, działającą w przemyśle lotniczym. Z powodu trudności finansowych RN pożyczka, która miała zostać spłacona do 2019 r., wciąż jest spłacana na podstawie ugody osiągniętej w 2020 r. między rosyjskim wierzycielem a partią.

Po drugiej turze wyborów francuskie media zgodnie zwracały uwagę nie tylko na upokorzenie, którego doznał prezydent Macron, lecz także na przełom, którego dokonało Zjednoczenie Narodowe – i określały go jako wielkie zwycięstwo Marine Le Pen. „RN wysadza front republikański” („Le Figaro”), „Mandat Emmanuela Macrona w imadle między NUPES a RN” („La Croix”), „Nigdy więcej nie mówcie o szklanym suficie” („Valeurs Actuelles”), „Jak front republikański ustąpił przed Zjednoczeniem Narodowym” („Libération”), „RN cieszy się z »tsunami« 89 posłów po drugiej turze wyborów parlamentarnych” („Le Monde”) – to tylko część tytułów prasy francuskiej, która ukazała się w poniedziałek 20 czerwca.

Nigdy nie dowiemy się, ilu posłów Marine Le Pen wprowadziłyby do Zgromadzenia Narodowego i ilu posłów miałyby szeroko pojęty „obóz patriotyczny”, gdyby Zjednoczenie Narodowe nie odrzuciło od razu wszelkiej możliwości sojuszu wyborczego, zwłaszcza z ludźmi Érica Zemmoura, którego partia Rekonkwista w ogóle nie dostała się do parlamentu. Sam Zemmour odpadł już w pierwszej turze w okręgu, gdzie kandydował w departamencie Var na południu Francji,

■ dostawszy ok. 800 głosów mniej niż jego konkurent z RN, który miał w tym okręgu drugi najlepszy wynik w pierwszej turze i wygrał wybory w drugiej.

RN triumfuje – będzie miało dużo większy wpływ na prace Zgromadzenia Narodowego, będzie mogło samodzielnie zaskarżać ustawy do Rady Konstytucyjnej (która jest i tak zdominowana przez lewicę i której przewodniczącym jest socjalista, były premier i były minister) czy zgłaszać wotum nieufności dla rządu, choć nie będzie miało raczej wpływu na kształt przyjmowanych ustaw. Wielce prawdopodobne jest, bo tak pokazywały sondaże po wyborach prezydenckich, że gdyby przed wyborami utworzono prawniczą koalicję na wzór koalicji lewicowej, działałoby to mobilizująco na elektorat prawicowy i „obóz patriotyczny” miałby jeśli nie większość w Zgromadzeniu Narodowym, to na pewno dużo większą grupę posłów. A że praktycznie wszyscy liczący się konserwatyści opuścili już partię Le Pen, prawdziwych konserwatystów

Testem ideologicznej orientacji Zgromadzenia Narodowego będzie próba legalizacji aborcji, którą zapowiedział Macron

jest niewielu w nowym Zgromadzeniu Narodowym, jeśli w ogóle jeszcze tacy są, nawet jeśli jest ono mniej lewicowe, niż się spodziewano. Prawdziwym testem ideologicznej orientacji tego parlamentu będzie np. próba legalizacji eutanazji, którą Emmanuel Macron zapowiedział na czas swojej drugiej kadencji.

RZĄD MNIEJSZOŚCIOWY

Najbardziej prawdopodobny scenariusz rządzenia przez najbliższe lata, albo co najmniej do momentu, gdy prezydent nie postanowi rozwiązać Zgromadzenia Narodowego i zarządzić nowych wyborów, to rząd mniejszościowy prezydenckiej koalicji Razem i poszukiwanie poparcia po lewej lub prawej stronie w zależności od projektów ustaw.

Co do zasady centroprawicowa partia Republikańskie (LR) wydaje się najbardziej prawdopodobnym sojusznikiem Macrona, mając po czerwcowych wyborach 64 deputowanych i posiadając wciąż większość



w senacie. Lider partii, Christian Jacob, zapowiedział od razu po wyborach, że LR nie wejdzie do żadnej koalicji rządowej z koalicją Razem, natomiast liderzy partii obiecują, że będą opozycją konstruktywną. Część posłów LR pewnie chętnie weszłaby do rządu, tak jak uczynił to poprzedni przewodniczący ich grupy parlamentarnej Damien Abad niedługo przed wyborami parlamentarnymi i do czego zachęca były prezydent Nicolas Sarkozy, który otwarcie poparł w tychże wyborach kandydatkę koalicji prezydenckiej przeciwko kandydatce z własnej partii. Jednak większość polityków centroprawicy nie życzy sobie takiego scenariusza, bo wiedzą, że oznaczałoby to wchłonięcie resztek ich formacji przez partię Macrona i dalszy odpływ prawicowych wyborców do partii Le Pen czy Zemmoura.

Tymczasem już nazajutrz po wygranych wyborach osłabiony prezydent musiał przełożyć zapowiedziane na tydzień po wyborach pierwsze posiedzenie „narodowej rady rekonstrukcji” po tym, jak przewodniczący senatu Gérard Larcher (LR) napisał mu, że nie zamierza w nim brać udziału. Zapowiedź powołania takiego ciała konsultacyjnego była krytykowana przed wyborami jako kolejna próba omijania przez prezydenta parlamentu i tworzenia iluzji prowadzenia dialogu ze społeczeństwem, z którego potem nic nie wynika.

Francuzi mogą się cieszyć m.in. z tego, że dużo trudniej będzie prezydentowi i jego rządowi „odwieść” segregację szczepionkową, którą wcześniej zapowiedziano – zamiast po prostu trwale ją odwołać – na krótko przed wyborami prezydenckimi. Partie Mélenchona i Le Pen ostro krytkowały sanitaryzm rządu i arbitralne ograniczenia swobód obywatel-

skich (segregacja szczepionkowa, surowe lockdowny z zakazem oddalania się od miejsca zamieszkania, godziny policyjne itd., itp.). Centroprawica dużą część tych ograniczeń niestety poparła w głosowaniach, ale była wobec nich krytyczna i wie, że są one niepopularne. Jest zatem nadzieja, że prawa konstytucyjne obywateli będą odtąd lepiej respektowane dzięki słabości obozu prezydenckiego. Na poparcie LR prezydent może prawdopodobnie liczyć w sprawie zapowiedzianego podwyższenia wieku emerytalnego, ale reforma ta będzie musiała być negocjowana z centroprawicową opozycją.

W sferze polityki europejskiej i zagranicznej nie ma zasadniczej różnicy zdań między prezydencką koalicją czy jego partią LREM a LR i nie należy spodziewać się zmiany np. w podejściu Francji do wojny Rosji z Ukrainą.

W mediach natomiast od razu pojawiły się spekulacje, że aby umożliwić sobie współpracę z centroprawicą, Macron będzie musiał dokonać skrótu w prawo – po skrócie w lewo dokonanym zaraz po wyborach prezydenckich dla osłabienia pozycji lewicowej opozycji w wyborach parlamentarnych. W tym celu niezbędne może się okazać poświęcenie centrolewicowej pani premier Elizabeth Borne, a przede wszystkim skrajnie lewicowego, nowo wybranego ministra oświaty Papa Ndiaye’a, przedstawiciela ideologii woke, zwolennika teorii o strukturalnym rasizmie Francji (sam brał w przeszłości udział w konferencji zarezerwowanej dla ludzi kolorowych – z której przedstawiciele białej rasy byli wykluczeni ze względu na kolor skóry) i o potrzebie „dekolonizacji”, którą należałoby przeprowadzać także w głowach białych Francuzów.

Mianowanie po kwietniowych wyborach prezydenckich tego historyka o korzeniach senegalskich (ze strony ojca) na ministra oświaty było najbardziej wyraźną oznaką ostrego skrótu w lewo Macrona w czasie drugiej kadencji. Wcześniej stanowisko to zajmował minister Jean-Michel Blanquer, uważany za najbardziej konserwatywnego członka poprzedniego rządu. Po wyborczej porażce z 19 czerwca francuscy komentatorzy byli zgodni, że zbyt wczesny skrót w lewo był wielkim błędem prezydenta Macrona. Dziś, pomimo najgorszego wyniku w wyborach parlamentarnych w swojej historii, to centroprawica zajmuje kluczową pozycję we francuskim parlamencie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ELIZABETH FRANTZ / REUTERS / FORUM

BIDEN POKONANY PRZEZ WŁASNY ROWER

Czy można rządzić największym mocarstwem świata i mieć kłopoty z opanowaniem roweru? Otóż można. Tak właśnie jest w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Joe Biden, który promuje zdrowy styl życia, świętował z żoną 45. rocznicę ślubu w Delaware. Wybrał się na poranną przejażdżkę rowerem. Podjechał do zgromadzonych dziennikarzy i... po zatrzymaniu poleciał jak kukła na ziemię. Podobno na szczęście nic mu się nie stało.

MINISTER: PIJCIĘ MNIEJ HERBATY

Inflacja w Pakistanie jest zbliżona do tej w Polsce – ok. 14 proc. Tamtejszy minister planowania i rozwoju zaapelował do rodaków o wsparcie gospodarki własnego kraju. Zaproponował ludziom ograniczenie spożywania herbaty o jedną filiżankę lub dwie dziennie, ponieważ Pakistan importuje rocznie herbatę za ok. 600 mln dol.

CZY MĘŻCZYNA MOŻE BYĆ W CIĄŻY?

Szkocki zasłużony krwiodawca Leslie Sinclair oddał w swoim życiu ok. 600 litrów krwi. Ale więcej już, niestety, nie odda. Wszystko przez nowoczesne podejście w medycynie. Pan Sinclair wściekł się, że w obowiązkowej ankiecie – przed wkłuciem w żyłę – musiał odpowiedzieć na pytanie, „czy jest w ciąży”. Tłumaczył, że on w ciąży być nie może, więc pytanie jest głupie. Jednak w klinice Albert Halls w Stirling uparli się, że chcą być „inkluzywni”, dlatego odpowiedź na pytanie uznali za obowiązkową i nie ma dla nich znaczenia, że ktoś jest mężczyzną.

WIMBLEDON OGOLONY

Organizatorzy jednego z czterech największych turniejów tenisowych – Wimbledonu – zakazali na nim gry rosyjskim i białoruskim zawodnikom ze względu na agresję Rosji na Ukrainę. Brytyjska prasa odnotowała już, że zakaz obeszła co najmniej jedna zawodniczka. Urodzona w Moskwie Natela Dzalamidze zmieniła obywatelstwo na gruzińskie. 28-letnia zawodniczka wystąpi na brytyjskiej trawie w parze deblowej z Serbką.

DZIECKO KONTRA ELON MUSK

Xavier Aleksander Musk to syn Elona Muska. Właśnie ukończył 18 lat i złożył w sądzie wnioszek o zmianę płci z męskiej na żeńską oraz o zmianę nazwiska. Według amerykańskich mediów Xavier nie chce „żyć ze swoim ojcem” ani być z nim jakkolwiek związany. Dwa lata temu miliarder Elon Musk publicznie powiedział, że wprawdzie wspiera osoby transseksualne, ale używanie do ich określania odpowiednich zaimków to dla niego „estetyczny koszmar”. © **Łukasz Zboralski**

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pieniądze, pieniądze, pieniądze



JACEK PRZYBYLSKI

Trzeba tak dokręcić śrubę, tak pomóc Ukrainie, by Władimir Putin prosił o rozmowę” – ogłosił prezydent Andrzej Duda. Piękne słowa.

Problem w tym, że mimo porażki scenariusza szybkiego podboju Kijowa i uczynienia z Ukrainy kolonii Kremla rosyjskie wojska okupują już jedną piątą ukraińskiego terytorium. I konsekwentnie prą naprzód. Oczywiście Putin może jeszcze w tym roku zadzwonić i zaferować przerwaniu ognia czy wręcz „trwały” porozumienie zakładające wstrzymanie wyniszczającej dla Ukrainy wojny w zamian za zachowanie rosyjskich zdobyczy

terytorialnych. To nie będzie łatwa decyzja, zwłaszcza że przerwa w natarciu i tak będzie jedynie tymczasowa. Polityczne założenia „operacji specjalnej” w ogóle się bowiem nie zmieniły. Putin cieszy się poparciem Rosjan, otwarcie porównuje się do cara Piotra Wielkiego i marzy nie tylko o odtworzeniu ZSRS, lecz także o budowie imperium rosyjskiego w nowym, wielobiegunowym świecie. Chiny mu w tym na razie nie przeszkadzają, bo już dziś nieźle zarabiają na unijnych sankcjach. Państwo Środka zwiększyło w maju import taniej ropy z Rosji o 25 proc. w ujęciu miesięcznym i o 55 proc. w ujęciu

rocznym. Ropę z Rosji kupują też Indie. Dochody Moskwy rosną więc mimo unijnych sankcji.

Warto więc dokręcać śrubę nie tylko mocno, lecz także mądrze, nakładając na Moskwę tylko takie sankcje, które będą dużo bardziej szkodliwe dla agresora niż dla UE. Bonaparte nie bez powodu mawiał, że do prowadzenia wojny potrzebne są tylko trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Aby więc Europa Środkowa mogła stawić czoła agresorowi, a taki scenariusz jest coraz bardziej realny, trzeba pilnie zadbać o stan naszych gospodarek oraz naszych armii. Potem można grać zbawiciela narodów. ©



Na którym froncie wygrywają Ukraińcy, a na którym Rosjanie?

Gdy tylko stało się jasne, że wbrew przewidywaniom wielu analityków Ukraina nie padnie po trzech dniach rosyjskiej inwazji, polską opinię publiczną zdominowały hurraoptymistyczne nastroje. Publicyści, politycy, a także eksperci z wielką satysfakcją komentowali kolejne kompromitacje agresora, wychwalając (słusznie!) bezprzykładne bohaterstwo i (nie zawsze słusznie) militarną wyższość obrońców. Wieszczęli załamanie się nie tylko ofensywy, lecz także państwowości rosyjskiej. Putin miał albo zostać obalony w ramach przewrotu pałacowego, albo po prostu umrzeć na raka. Ukraińcy mieli ruszyć z kontrofensywą i odbić nie tylko



Maciej Pieczyński

Na Ukrainie toczy się konflikt zbrojny, a w Polsce – spór o to, kto ten konflikt wygrywa. Tymczasem sytuacja na froncie – zarówno militarnym, jak i politycznym – jest o wiele bardziej złożona niż jej obraz kreślony przez propagandę obu walczących stron

okupowane po 24 lutego, lecz także utracone w 2014 r. terytoria. Żadne z tych „prorocstw” na razie się nie spełniło. Zaczniemy od pierwszego. O śmiertelnej chorobie Putina rozpisywały się zachodnie media. Wiele wskazywało na zły stan

zdrowia władcy Kremla, który jednak wciąż żyje (przynajmniej w dniu, w którym wysłałem do druku ten artykuł), choć oczywiście nie można dodać „i ma się dobrze”. Z kręgów kremlowskich elit dobiegały wyraźne, ale jednak nieśmiałe

Irpin niedaleko Kijowa. Przed wycofaniem się sił ukraińskich z tego miasta toczyły się w nim zacięte walki

FOT. METIN AKTAS/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES



dzieje ze strachu czy bardziej z pobudek ideowych.

HURRAOPTYMIŚCI

Pierwsze proroctwo straciło swoją moc, gdy stało się jasne, że nawet jeśli Rosja jest kolosem na glinianych nogach, to wiele jeszcze wody w Dnieprze upłynie, zanim kolos ten pod własnym ciężarem upadnie, o ile w ogóle. Drugie wciąż ma swoich wyznawców. Dla nich teza, po raz pierwszy tak ostro postawiona przez Marcina Wyrwała z Onetu, w myśl której Ukraina tę wojnę przegrywa, zabrzmiiała wręcz jak herezja. A najmniej jak niewybaczalny akt defetyzmu. Z tą śmiałą jak na nastroje w Polsce opinią polemizował m.in. słynący z niepoprawnej wiary w klęskę Rosji gen. Skrzypczak. Skądinąd bardzo popularny i ceniony ekspert Jarosław Wolski często powtarza wręcz, że strategicznie Ukraina już tę wojnę wygrała i nie zmieni tego utrata kilku wiosek. Argumentacja hurraoptymistów jest spójna i brzmi logicznie. Rosjanie nie zrealizowali swojego najważniejszego celu, jakim była zmiana władzy nad Dnieprem, ani nawet tego mniej ważnego – czyli nie zdobyli całego Donbasu, a ponadto wykrywawili swoją armię i wepchnęli Ukrainę w objęcia Zachodu, który zjednoczył się przeciwko Putinowi. Tak przedstawiony obraz sytuacji na froncie każe myśleć, że Rosja przegrywa. Czy jednak jest to obraz prawdziwy? Tylko po części.

Oficjalnie ogłoszonym przez Putina celem tzw. operacji specjalnej była demilitaryzacja i denazyfikacja Ukrainy, która miała zatem zostać podbita celem zapewnienia bezpieczeństwa rzekomo zagrożonym pseudorepublikom Donieckiej i Ługańskiej. Kijów nie został zdobyty, a Zełenski nie uciekł, nie został też zabity. Państwo nie rozpadło się od jednego uderzenia. Rosjanie musieli zrezygnować ze szturmu na ukraińską stolicę. Pod tym względem można powiedzieć, że Rosja przegrała, a Ukraina wygrała. Ponadto Putin, ogłaszając inwazję, cynicznie zapewniał: „Nie planujemy okupacji ukraińskiego terytorium. Nikomu niczego nie zamierzamy narzucać siłą”. W tę też stronę poszła kremlowska propaganda – gdy okazało się, że nie uda się podbój całego kraju, obłudnie tłumaczono, że przecież nie o to chodziło. Chodziło natomiast o obalenie reżimu, co też się nie powiodło, jednak i tutaj znalazło się usprawiedliwienie. Tuby Kremla zaczęły

przekonywać swoich odbiorców, że nad Dnieprem, oprócz garstki nazistów, Rosji przeciwstawiła się cała potęga NATO, a to już przeciwnik, którego w trzy dni nie da się pobić. I z którym nie wstyd przegrywać pojedyncze bitwy.

WYSOKA CENA

Ukraina na razie obroniła swoją niepodległość. To jej wielkie zwycięstwo, które jednak kosztowało i wciąż kosztuje bardzo dużo. Nie mogą Ukrainę podbić, Rosja próbuje zamienić ją w ruinę. Z coraz lepszym skutkiem. Blitzkrieg się nie udał – nie było błyskotliwych rajdów pancernych w głąb kraju ani pełnego panowania w powietrzu. Jednak na polach bitew coraz większą dominację uzyskuje rosyjska artyleria, która w mało finezyjny, ale skuteczny sposób zmiata zarówno pozycje ukraińskich wojsk, jak i wiele ukraińskich miast z powierzchni ziemi. Odbudowa ze zniszczeń pochłonie miliardy. Według różnych szacunków w drugim półroczu PKB Ukrainy może spać nawet o 45 proc., Rosji zaś – jedynie o 10–15 proc. Wciąż więc rosyjskie bomby sieją większe zniszczenie niż zachodnie sankcje, które przecież miały rzucić na kolana gospodarkę agresora. Zresztą, nawet gdyby rzuciły, to w Rosji niemal zawsze telewizor i knut wygrywają z lodówką. Rosjanie nigdy nie cierpią głodu, bo się karmią dumą imperialną i wierzą, że wszelkie sankcje to wina wrogów ojczyzny, nie zaś własnych władz. A nawet jeśli cierpią i nie wierzą, to aparat represji zawsze znajdzie sposób, żeby ich przekonać, że jednak nie cierpią i wierzą. Ponadto Ukraina straciła dostęp do Morza Azowskiego, a porty na Morzu Czarnym są skutecznie blokowane. Eksport niemal nie funkcjonuje. Niestety, gospodarczo to Rosja tę wojnę wygrywa.

Termin „operacja specjalna” jest wyśmiewany jako typowy dla kremlowskiej propagandy eufemizm, pod którym kryje się krwawa inwazja. Ale ta inwazja mogła być o wiele szerszej zakrojona. Od samego początku obrońcy mieli przewagę liczebną nad agresorem, a i tak po bohaterskich walkach musieli w końcu ustępować z kolejnych terytoriów. Putin zlekceważył przeciwnika i nie rzucił na Ukrainę wszystkich swoich sił, a gdy okazało się, że nie jest w stanie opanować stolicy i obalić rządu, wołał ograniczyć cele operacji niż ogłosić mobilizację, najpewniej w obawie przed reakcją społeczeństwa, które może i popiera „walkę

pomruki niezadowolenia. Nadzieje na przewrót okazały się na ten moment płonne. A nawet gdyby Putin skończył jak obaleni przez najbliższe otoczenie carowie Piotr III i Paweł I, z jego następcą Zachód z pewnością chętnie zawarłby jakiś kompromis, a po krótkim okresie wymuszonej sytuacją „odwilży” Rosja wróciłaby na imperialne tory. Dla Ukrainy i Europy Środkowo-Wschodniej to niezbyt świetlana perspektywa. Każdy reformator w końcu sięga po knut, a po każdym Chruszczowie przychodzi Breżniew. Hurraoptymiści nie łudzili się przynajmniej, że Putina obali rosyjska ulica. Społeczeństwo popiera operację specjalną – nie wiadomo tylko, czy bar-

z nazizmem”, ale niekoniecznie chce w niej czynnie i masowo uczestniczyć. Tę rozgrywkę Kijów wygrał, a Moskwa przegrała. Porażka zmusiła Putina do korekty planów i skupienia się na Donbasie. Trzy dni przed inwazją uznał niepodległość separatystycznych republik i obiecał im „pomoc wojskową”. Wreszcie zapowiedziana denazyfikacja i demilitaryzacja Ukrainy została oficjalnie uzasadniona koniecznością „obrony” ludności Donbasu przed rzekomym ludobójstwem ze strony „reżimu kijowskiego”. Nie można więc powiedzieć, że Putin całkowicie zmienił plany.

W chwili, gdy piszę te słowa, w rękach Moskwy jest już ponad 90 proc. obwodu ługańskiego. Rosjanie powoli, ze zmiennym szczęściem, ale jednak posuwają się na zachód. Ponoszą ciężkie straty, ale to akurat nigdy nie był dla nich problem. Zwycięstwo musi być okupione morzem krwi, żeby budziło dumę Rosjan przyzwyczajonych do poświęceń. Agresorzy nie są raczej w stanie otoczyć i zniszczyć wszystkich ukraińskich sił, broniących ostatnich rubieży Donbasu, ale skutecznie te siły dziesiątkują ostrzałem artyleryjskim. Siewierodoneck niebawem padnie, jak Mariupol. Podobnie jak w nadazowskim porcie także tutaj ostatnią redutą jest zakład przemysłowy, nawet o podobnie brzmiącej nazwie (Azot). Jeśli zapowiedziana od dawna ukraińska kontrofensywa nie ruszy w najbliższych tygodniach, to niedługo Putin będzie mógł ogłosić „wyzwolenie” Donbasu.

Chyba największym zwycięstwem Rosji jest utworzenie korytarza z Rostowa nad Donem do Krymu. Cóż z tego, że przez wiele miesięcy agresor nie mógł sobie poradzić z heroiczną obroną Mariupola? Finalnie bohaterowie z pułku „Azow” musieli skapitulować, a Morze Azowskie stało się wewnętrznym rosyjskim akwenem. Rosjanie doszli do linii Dniepru, rozwiązując problem wody na Krymie – teraz będzie ona dostarczana Kanałem Północnokrymskim, zablokowanym przez Ukraińców po aneksji półwyspu. Chersoń jest wciąż jedynym miastem obwodowym zdobytym przez agresora, ale za to miastem niezwykle istotnym przez swoje strategiczne położenie. Obwód chersoński oddziela bowiem Krym od reszty Ukrainy.

„ANTY-ROSJA”

Często za porażkę polityczną Putina uznaje się zjednoczenie Zachodu wobec agresji rosyjskiej. Okazało się, że NATO jest

Ukraina na razie obroniła swoją niepodległość. To jej wielkie zwycięstwo, które jednak kosztowało i wciąż kosztuje bardzo dużo. Nie mogąc Ukrainy podbić, Rosja próbuje zamienić ją w ruinę. Z coraz lepszym skutkiem

gotowe do działania na rzecz powstrzymania zapędów moskiewskiego imperium. Rosji nie udaje się już tak jak kiedyś rozgrywać sprzeczności pomiędzy grupami interesów różnych państw. Co prawda, zdarzają się pęknięcia, takie jak dwuznaczna często postawa Francji, Niemiec, Węgier czy Turcji, ale to nie są wyłomy, w które może się wbić kremlowski klin. Z drugiej strony, naciski tego w miarę zjednoczonego Zachodu nie odnoszą zamierzonych skutków. Rosja nie zbankrutowała. Ponadto za sankcje Rosjanie obwiniają Zachód, a nie Putina. Zewnętrzne naciski konsolidują społeczeństwo wokół wodza. Oczywiście, gdyby nie pomoc wywiadowcza Stanów Zjednoczonych, zapewne najwięksi optymiści nie mieliby powodu mówić o tym, że Ukraina wygrywa tę wojnę. Gorzej z dostawami broni, które ruszyły za późno i jest ich na ten moment za mało, aby obrońcy byli w stanie odbić to, co stracili po 24 lutego. Ponadto w końcu „kolektywny Zachód” (może wyłączając Polskę i kraje bałtyckie) zacznie naciskać na Zełenskiego, by usiadł do rozmów z Putinem i zgodził się na pokój za cenę ustępstw terytorialnych.

A wtedy może się okazać, że pod pewnym względem Ukraina jednak przegrała tę wojnę. Dziś trudno sobie wyobrazić, aby możliwe było odbicie terytoriów okupowanych po 24 lutego. W pewnym momencie Kijów będzie musiał się z tym, przynajmniej na jakiś czas, pogodzić. Zełenski deklaruje, że nie podpisze kolejnych „porozumień mińskich”. Trudno się dziwić, to byłaby wielka pożywka dla opozycji. „Patriota” Poroszenko (choć sam podpisywał poprzednie porozumienia) mógłby znów swojego rywala oskarżać o działania na rękę Kremla. I robiłby to ze wszystkich sił, bo po zawarciu pokoju argument, zgodnie z którym podczas wojny nie należy krytykować władz, straciłby moc. Ale nawet gdyby rzeczywi-

ście Kijów nie zgodziłby się formalnie na ustępstwa, te stałyby się faktem. Obecnie ponad 20 proc. kraju znajduje się pod rosyjską okupacją. Ukraina obroniła swoją niepodległość, ale, o ile nie zdarzy się cud, nie obroni swojej integralności terytorialnej. To nie Rosja traci część swojego terytorium. To nie rosyjskie miasta są zniszczone. To nie rosyjskie PKB spadnie o prawie połowę. To nie Rosja straciła praktycznie dostęp do morza. Trudno więc jednoznacznie powiedzieć, że Ukraina wygrywa tę wojnę.

Ale są fronty, na których rzeczywiście Kijów Moskwę spektakularnie rozgromił. Wbrew przewidywaniom rosyjskojęzycznej ludność południowego wschodu kraju nie przywitała Rosjan kwiatami i odmawia współpracy z okupantem. Z tego powodu nie powiodły się kolejne próby proklamowania Chersońskiej Republiki Ludowej. Rosjanie nie mogą czuć się pewnie na zajętych terenach. Generalnie Ukraina nie tylko obroniła swoją niepodległość, lecz także umocniła swoją podmiotowość i definitywnie odwróciła się od Rosji, trwale obierając kurs zachodni, niezależnie od tego, czy kiedyś wejdzie do UE czy też nie. Na frontach walk zyskała nowych bohaterów, zahartowała się w walce z Moskwą i szczerze znienawidziła „Rusnię” (jak pogardliwie nad Dnieprem nazywa się Rosjan). Putin swoją agresją mimo woli zbudował legendę Zełenskiego, który dla świata Zachodu stał się uosobieniem walki o wolność. Kreml bezpowrotnie utracił możliwości wpływu na Ukraińców za pomocą miękkiej siły. Postępują dekomunizacja i derusyfikacja przestrzeni publicznej. Literatura rosyjska znika ze szkół. Nikt nie rozpacza z powodu delegalizacji prorosyjskich partii politycznych. Człowiek Putina Wiktor Medwedczuk siedzi za kratami. Rosja może Ukrainę zniszczyć, zburzyć, zrównać z ziemią, ale nie jest w stanie zabić jej ducha. Może ją okupować, ale nie jest w stanie jej zrusyfikować. Ukraińców może mordować i wywozić do Rosji, ale wszystkich nie da rady. Rosjanie zawsze byli mistrzami w podboju propagandowym, mentalnym, w demoralizowaniu i rozbijaniu sił wroga od środka. Tym razem na tym polu sromotnie przegrali. Putin chciał zlikwidować Ukrainę jako „anty-Rosję” i na jej miejsce powołać podległe Moskwie parapaństwo. W efekcie wyszarpał jej spory kawałek terytorium, ale Ukraina nie tylko dalej istnieje, ale jest po tysiącokrotnie bardziej „anty-Rosją” niż wcześniej.

Budowanie wartości marki



Krzysztof Budka

Ekspertka analiza wartości znaku towarowego Grupy Inwest wycenia go obecnie na 11,34 mln zł. Tak duży wzrost w ciągu czterech lat – z poziomu 2,5 mln zł w 2018 r. – pokazuje, że dynamiczny rozwój spółek należących do konsorcjum spod tego znaku nie jest dziełem przypadku, a Grupa Inwest z przytupem wkroczyła do biznesowej ekstraklasy i znalazła tam dla siebie odpowiednie miejsce.

Cztery lata to w biznesie szmat czasu. Wiele firm jest w stanie ustabilizować w tym czasie rynkową pozycję, inne znikają z gospodarczej mapy Polski i nie ma już po nich śladu. Są jednak i takie, które potrafią wykorzystać absolutnie wszystkie atuty, wkroczyć na ścieżkę dynamicznego rozwoju i znaleźć się na zupełnie innym, dla wielu nieosiągalnym poziomie. W ciągu czterech ostatnich lat Grupa Inwest nie tylko znalazła się w biznesowej ekstraklasie, lecz także systematycznie, krok po kroku, pnie się w wirtualnej tabeli, pokonując kolejne szczeble i podbijając coraz to nowe rynki. Na ten sukces złożyło się kilka czynników. Jednym z nich jest z pewnością doświadczenie.

– W branży budowlanej i na rynku nieruchomości działam blisko ćwierć wieku. Śmiało mogę więc powiedzieć, że przez te dwie i pół dekady byłem świadkiem różnych faz rozwoju tego rynku. Widziałem rynek lat 90., jeszcze nieuporządkowany, kiedy większość realizacji budownictwa mieszkaniowego wciąż była w rękach spółdzielni mieszkaniowych. Byłem świadkiem kryzysu branży w latach 2007–2010. Po nim nastąpiła pewna stabilizacja, która została przerwana dwa lata temu wybuchem pandemii i teraz wojną na Ukrainie. Ten sektor gospodarki mocno się więc zmienił, podobnie jak zmieniły się firmy w nim działające. Przetrwali ci, którzy umiejętnie reagują na zachodzące zmiany, nie boją się wyzwań i są w stanie sprostać nowym, nieraz zaskakującym wymaganiom rynku – opowiada Piotr Hofman, prezes Grupy Inwest.

W 2018 r., kiedy dokonano poprzedniej wyceny wartości znaku towarowego Grupy Inwest, firma była solidnym, rozpoznawalnym graczem na rynku nieruchomości w Warszawie. Miała za sobą

wiele udanych inwestycji w stolicy, ale też coś ważniejszego – apetyt na dużo więcej. Trzeba było więc zrobić kolejne kroki.

W lipcu 2019 r. firma zadebiutowała na parkiecie głównym Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, dając do zrozumienia inwestorom i całej branży, że na dotychczasowej pozycji nie zamierza poprzestać. – Czego szukamy na giełdzie? Po pierwsze, kapitału na rozwój, po drugie, prestiżu, po trzecie, umocnienia swojej pozycji na rynku. Obecność na giełdzie sprawia, że firma jest inaczej postrzegana przez urzędy, samorządy, instytucje bankowe i klientów. Taka firma traktowana jest już jak dorosły, pełnoprawny i wiarygodny uczestnik gospodarki – tłumaczy prezes Piotr Hofman. Rozpoznawalność i wartość marki błyskawicznie wzrosły.



Dziesięć miesięcy wcześniej, we wrześniu 2018 r., Grupa Inwest poszerzyła swoją działalność o produkcję materiałów prefabrykowanych. Częścią konsorcjum została fabryka HM Factory w podwarszawskim Sochaczewie. – Pozy-skanie zakładu produkcyjnego miało dla nas znaczenie fundamentalne. Jednym ze strategicznych celów, które przed sobą postawiliśmy, było stworzenie autorskiego modelu realizacji mieszkań w oparciu o technologię budownictwa modułowego z elementów prefabrykowanych. Dlatego tak bardzo zależało nam na ścisłym powiązaniu obu filarów działalności, tak aby spółka deweloperska mogła pełną garścią czerpać z zasobów zakładu produkcyjnego, żeby mogła stawiać mieszkania szybciej i taniej, z zachowaniem wysokiej jakości – zaznacza prezes Grupy Inwest.

Od samego początku po przejęciu fabryki zaczęto produkować w niej materiały zarówno na rynek krajowy, jak i zagraniczny. Dziś głównym kierunkiem

eksportu jest Szwecja, gdzie Grupa Inwest wyrobiła sobie bardzo silną pozycję i gdzie od czterech lat jest rozpoznawalną marką. Świadczą o tym zarówno bardzo liczne zamówienia, które trafiają do Sochaczewa ze Skandynawii, jak i stała współpraca z takimi gigantami tamtejszego budownictwa jak Skanska i PEAB.

W ciągu ostatnich czterech lat Grupa Inwest zdecydowanie poszerzyła też swoją działalność deweloperską. Znana jest już nie tylko w Warszawie. Z powodzeniem znalazła dla siebie miejsce na rynku wielkopolskim, gdzie realizuje obecnie największą inwestycję. – Wybraliśmy Poznań, bo to niezwykle chłonny i dynamicznie rozwijający się rynek. Chcieliśmy przenieść tu nasze doświadczenie i zaimplementować naszą jakość. Cel błyskawicznie został osiągnięty – zaznacza Piotr Hofman. Inwestycje Grupy Inwest kuszą poznaniaków lokalizacją, komfortem oraz wyjątkowo wysoką jakością.

Analizując stronę przychodową całego konsorcjum, eksperci wyceniający wartość znaku towarowego Grupy Inwest zaznaczyli, że w 2021 r. przychody ze sprzedaży w stosunku do roku 2017 wzrosły aż o 262,4 proc. (to 3,6-krotny wzrost)! „Świadczy to o bardzo dużym rozwoju Grupy w analizowanym okresie” – napisali. Biorąc pod uwagę fakt, że w tym czasie doszło do dwóch wydarzeń, których absolutnie nie dało się przewidzieć, a które zachwiały łańcuchami dostaw i światową gospodarką na każdym jej odcinku, mowa tu o pandemii COVID-19 i inwazji Rosji na Ukrainę, trzeba stwierdzić, że w tym niezwykle trudnym czasie szalejącej inflacji i wzrostu cen materiałów budowlanych zarząd oraz pracownicy Grupy Inwest poradzi sobie znakomicie. Nie poddając się marazmowi, znajdując nowe rozwiązania i pokonując kolejne wyzwania, z dumą mogą stwierdzić, że czas ten został przez nich bardzo owocnie spożytkowany.

Jakie perspektywy na kolejne cztery lata? Eksperti nie mają wątpliwości – nastąpi kolejny etap rozwoju całej Grupy, utrzymane zostanie tempo wzrostu przychodów, a wartość znaku towarowego i rozpoznawalność marki jeszcze bardziej pójdą w górę.





Piotr Włoczyk

Strategicznie położona Nikaragua zaprosiła do siebie rosyjskie wojska, poważnie niepokojąc tym Amerykanów. Rosja grozi też Ameryce zakładaniem baz w Wenezueli i na Kubie

Oficjalnie rosyjscy żołnierze mają pomóc władzom Nikaragui w zdobyciu odpowiedniego doświadczenia, zapewnieniu „porządku publicznego” i pomocy humanitarnej, a także w walce z narkobiznesem. Szczególnie ten ostatni punkt może jednak budzić uśmiech, zważywszy na to, że reżim Daniela Ortegi słynie z korupcji i wyciskania miliardowych zysków z działalności przestępczej.

Umowa między Nikaraguą a Rosją doskonale służy interesom obu państw. Ortega może się w ten sposób „odgryźć” USA za kolejne sankcje i pokazać się w regionie jako przywódca, który skutecznie sprzeciwia się „jankeskiemu imperializmowi”. Kreml z kolei zyskuje doskonałą okazję, by choć trochę zrewanżować się USA za wsparcie Ukrainy i wejść militarnie na obszar, który uważany jest przez Waszyngton za swój „ogródek”.

„Poszczególne państwa podejmują własne suwerenne decyzje, ale pomysł, że Rosja będzie dobrym partnerem, jeżeli chodzi o porządek publiczny i pomoc humanitarną, nie brzmi zbyt szczerze” – powiedział sekretarz stanu USA Anthony Blinken.

Mocniej wypowiedział się w tej sprawie Brian Nichols, kierujący w Departamencie Stanu relacjami z państwami zachodniej półkuli. „Uznajemy to za prowokację ze strony nikaraguańskiego reżimu” – oznajmił Nichols. I chociaż tym razem Amerykanie nie przywołali

Kreml jak zwykle w takich sytuacjach przekonuje, że nikt nie powinien czuć się zagrożony obecnością wojsk rosyjskich



Niedźwiedź wchodzi do „ogródka”

doktryny Monroego z 1823 r., która stwierdzała, że USA nie będą tolerowały ingerencji mocarstw europejskich w sprawy obu Ameryk, to wydaje się, że nic się w tej kwestii nie zmieniło, odkąd w 2018 r. ówczesny sekretarz stanu Rex Tillerson powiedział: „Myślę, że jest ona [doktryna Monroego] dziś tak samo ważna, jak wówczas, gdy została spisana”.

Kreml jak zwykle w takich sytuacjach przekonuje, że nikt nie powinien czuć się zagrożony obecnością wojsk rosyjskich. „To tylko tymczasowe dopuszczenie zagranicznych wojsk na teren Nikaragui w celu rozwinięcia współpracy w różnych dziedzinach, m.in. pomocy humanitarnej, zwalczaniu przestępczości zorganizowanej oraz przemytu narkotyków” – uspokajała rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa. Zresztą kontyngent rosyjskich wojsk nie będzie pierwszym przyczółkiem Moskwy w Nikaragui. Rosyjskie specłużby już mają tam swoje

biura, które oficjalnie zajmują się – a jakżeby inaczej – pomocą w walce z narkobiznesem.

POMOC DLA COMANDANTE

Sprowadzenie rosyjskich wojsk do Nikaragui musiało być zupełnie naturalnym krokiem dla Daniela Ortegi. Ten rządzący Nikaraguą nieprzerwanie od 2007 r. były dowódca marksistowskiej partyzantki, działającej pod nazwą Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego, od młodości szukał oparcia w Moskwie. Jego bojownicy szkoleni byli przez sowieckich „doradców”, od nich dostawali też broń. Po zwycięstwie sandinistów w wojnie przeciw dyktaturze Somozy Ronald Reagan zaczął wspierać pravicową partyzantkę Contras, ponieważ w nowym reżimie Ortegi widział posłusznego klienta Moskwy. Z jednej strony Sowietci wysyłali ogromne transporty broni i amunicji dla sandinistów, z drugiej zaś Amerykanie

Prezydent Nikaragui Daniel Ortega (po prawej) wita prezydenta Rosji Władimira Putina na lotnisku w Managui w Nikaragui, 11 lipca 2014 r.

FOT. ALEXEI NIKOLSKIY/RIA NOVOSTI/AP/EAST NEWS

Ameryki Centralnej dla żołnierzy z naszywkami „Z”.

Obecność rosyjskich żołdaków z jednej strony będzie przydawać jego państwu więcej wagi w regionie, a z drugiej strony będzie polisą ubezpieczeniową na wypadek zaostrzenia się protestów opozycji.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Amerykanie od dłuższego czasu z niepokojem obserwują, jak Rosjanie na różne sposoby próbują się włamać do ich „ogródka”.

„Od 2008 r. widzimy, jak Rosjanie systematycznie dążą do zwiększenia swojej obecności w Ameryce Łacińskiej poprzez propagandę, dostawy uzbrojenia, umowy antynarkotykowe i handel. Pod rządami Putina mamy do czynienia z jasnym powrotem do zimnowojennej taktyki – zeznawał w 2015 r. przed amerykańskim Senatem gen. John Kelly, ówczesny szef Dowództwa Południowego Pentagonu, które odpowiada za Amerykę Łacińską. – Częścią globalnej strategii Rosji jest używanie projekcji siły w celu podmycia przywództwa Ameryki i jej wpływów na półkuli zachodniej”.

Cezurą jest tu faktycznie rok 2008, gdy po wojnie w Gruzji (Ameryka starała się wówczas wyrzucić presję na Putina, m.in. ekspedując okręty wojenne na Morze Czarne) Rosja zaczęła wysyłać na Karaiby i do Wenezueli swoje okręty wojenne. Jej bombowce strategiczne Tu-160 również zaczęły się pojawiać w tym regionie. Amerykańska dyplomacja za każdym razem wysyłała sygnały, że takie ruchy są bardzo niemile widziane.

„Rosyjskie działania w Ameryce Łacińskiej nie były tak nagłaśniane, jak wtrącanie się przez Rosję do byłej strefy sowieckiej. Tymczasem Moskwa uważa swoje wpływy w Ameryce Centralnej i Południowej za odgryzanie się, za wchodzenie przez USA do własnego »ogródka« – tłumaczy Julia Gurganus, była wysoko postawiona analityczka amerykańskiego wywiadu, zajmująca się Rosją. – Dla USA zwiększająca się obecność Rosji na półkuli zachodniej jest problematycznym czynnikiem, który może pogłębić niekorzystne relacje z południowymi sąsiadami, a także stanowić nowe zagrożenie dla bezpieczeństwa”.

NOWE STARE BAZY

O tym, że Rosja ma potencjał, by stworzyć instalacje wojskowe w Ameryce Łacińskiej, przypominał w styczniu tego

W grze wciąż pozostają też kubańskie władze, które ze smutkiem patrzyły, jak w 1991 r. ostatni sowieccy żołnierze opuszczali wyspę

roku wiceszef rosyjskiego MSZ, Siergiej Riabkow. Dyplomata groził USA, że jeżeli oba państwa nie porozumieją się w sprawie specjalnych „gwarancji bezpieczeństwa” dla Rosji w Europie, to Moskwa nie wyklucza przesunięcia swoich „zasobów wojskowych” do Wenezueli i na Kubę.

Oba te państwa z chęcią przyjęłyby rosyjskich wojskowych. Reżim Nicolása Maduro wielokrotnie gościł w swoich portach i na lotniskach rosyjskie okręty i bombowce, a trzy lata temu, w szczycie ogromnych protestów wenezuelskiej opozycji, Rosja wysłała nawet do tego kraju ok. 100 żołnierzy w charakterze „doradców”. Wenezuelska armia jest już zresztą w znacznej mierze oparta na rosyjskim know-how wojskowym, ponieważ w ciągu ostatnich 20 lat tamtejszy reżim kupił od Moskwy uzbrojenia za ponad 11 mld dolarów.

Jeszcze tydzień przed wybuchem wojny na Ukrainie Nicolás Maduro twierdził dumnie, że jego kraj otwiera nowy rozdział w historii, rozpoczynając „potężną współpracę wojskową” z Rosją. „Jej celami będą pokój, suwerenność i obrona integralności terytorialnej” – mówił Maduro. Dziś jednak sytuacja może nie być już tak jednoznaczna z punktu widzenia chawistowskiego reżimu, ponieważ Amerykanie, szukając desperacko nowych dostaw ropy naftowej, gotowi są znieść dużą część sankcji nałożonych na Wenezuelę.

W grze wciąż pozostają też kubańskie władze, które ze smutkiem patrzyły, jak w 1991 r. ostatni sowieccy żołnierze opuszczali wyspę, a dekadę później Rosja Putina zamknęła swój wielki ośrodek wywiadowczy Lourdes SIGINT pod Hawaną (był to gest dobrej woli pod adresem Ameryki, która liczyła na współpracę Rosji w wojnie z terroryzmem). Moskwa od czasu do czasu – w okresach kryzysu w relacjach z USA – przypomina, że w każdej chwili może otworzyć ten ośrodek, zyskując potężne narzędzie wywiadowcze tuż u wybrzeży Florydy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Wozinski

Węgry wraz ze Słowacją i z Czechami uzyskały zwolnienie z unijnego embarga na rosyjską ropę. To świetna okazja do zarobku dla węgierskiego przemysłu naftowego

Kraje Europy Środkowo-Wschodniej są jednymi z najbardziej uzależnionych od dostaw rosyjskiej ropy. Niska cena surowca, bliskość geograficzna, a w przypadku Węgier również przychylny stosunek wobec Rosji sprawiły, że jeszcze do niedawna import z Federacji Rosyjskiej odpowiadał za aż 60 proc. całej ropy sprowadzanej na Węgry, 98 proc. na Słowację i 50 proc. do Czech. W przeciwieństwie jednak do dostaw gazu import ropy naftowej może zostać zdywersyfikowany w dość sprawny i szybki sposób. Jeśli oczywiście są do tego chęci.

BIZNESOWA KALKULACJA

Dyskusja na temat wprowadzenia unijnego embarga na rosyjską ropę weszła w decydującą fazę na początku maja, a ostateczne decyzje zapadły 3 czerwca. Rada Unii Europejskiej postanowiła, że do końca obecnego roku kraje członkowskie mają zrezygnować z 90 proc. dostaw z Federacji Rosyjskiej (okres odchodzenia ma wynosić dokładnie sześć miesięcy dla surowej ropy i osiem miesięcy dla produktów naftowych). Wprowadzone embargo dotyczy dostaw surowca drogą morską, którą sprowadzane są dwie trzecie rosyjskiej ropy, lecz Węgry, Czechy i Słowacja uzyskały dla siebie specjalny wyjątek, zastępując się brakiem dostępu do morza.

Dostęp do morza rzeczywiście potrafi robić różnicę, o czym świadczy choćby przykład naszego kraju. Już pod koniec maja Polska kupowała ponad 70 proc. ropy naftowej spoza Rosji, choć jeszcze niedawno Federacja Rosyjska odpowiadała za ponad 60 proc. dostaw. Do Polski przybywają kolejne tankowce z Arabii Saudyjskiej i tym samym w ekspresowym tempie dopełnia się rewolucja w zakresie kierunku dostaw czarnego złota.

Czysto teoretycznie nieposiadające ani jednego metra własnego wybrzeża Węgry,

Dochodowy wyjątek



FOT. ADRIAN STOK

Czechy i Słowacja nie mogą uczynić w kwestii zmiany dostaw zbyt wiele. Rosyjski rurociąg Drużba dostarcza ropę od lat wprost z Uralu poprzez terytorium Ukrainy, a biorąc pod uwagę fakt, że płynący nim surowiec jest aż 30 proc. tańszy niż ten, który transportują tankowce, perspektywa zmiany kierunku dostaw musi się wydawać bardzo niekorzystna. Nie oznacza to jednak, że nasi południowi sąsiedzi nie są w stanie w żaden sposób przestawić się na nowe źródło dostaw: ich opór to bardziej kalkulacja biznesowa (i polityczna), z którą

na dodatek wiąże się wątek uzyskania przewagi nad konkurencją w regionie.

ATOMOWA BOMBA GOSPODARCZA

W przeciwieństwie do dostaw gazu w formie ciekłej, które wymagają nie tylko posiadania odpowiedniej infrastruktury, lecz także i znalezienia dostawcy posiadającego odpowiednią ilość towaru, zmiana struktury zakupów ropy naftowej przedstawia się dużo prościej. Węgry od czasu podpisania traktatu w Trianon z 1920

r. nie posiadają wprawdzie dostępu do morza, ale za to z wybrzeżem Adriatyku łączą ich biegnący przez terytorium Chorwacji rurociąg Adria, którego przepustowość (14 mln ton rocznie) jest wystarczająca do tego, aby zaopatrywać rafinerie zarówno na Węgrzech, jak i na Słowacji.

Premier Węgier Viktor Orbán od początku torpedował pomysł wprowadzenia embarga na rosyjską ropę, argumentując, że oznaczałoby to wręcz zrzuć bombę atomowej na węgierską gospodarkę. Byłaby to jednak raczej bomba o niewielkiej sile, gdyż – jak powiedział w połowie maja węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó – jego kraj musiałby w razie nagłej rezygnacji z rosyjskich dostaw przeznaczyć na nową rafinerię 550 mln euro oraz 200 mln euro na nowy ropociąg. Dość szybko jednak węgierski rząd podbił stawkę i zamiast o 750 mln euro zaczął mówić o kwocie rzędu aż 15–18 mld euro, które Unia Europejska musiałaby przeznaczyć na całkowitą modernizację infrastruktury energetycznej Węgier. Suma ta miałaby zostać przeznaczona m.in. na budowę nowych rurociągów, przedstawienie rafinerii na przetwarzanie innego gatunku ropy, całościową modernizację gospodarki oraz pokrycie kosztu wzrostu cen. Węgierskie żądania finansowe nie zostały oczywiście spełnione w całości, lecz i tak wynagrodzeniem naszych południowych sąsiadów będzie z pewnością uzyskanie zgody na wyjęcie spod ogólnych zasad embarga.

Po przeprowadzeniu pewnych prac dostosowawczych kraj rządzony przez Viktora Orbána mógłby więc bez większych problemów przestawić się w całości na ropę sprowadzaną drogą morską i choć zapłaciłby za to określoną cenę finansową, to z pewnością nie zrujnowałoby to jego gospodarki. Dużo większy koszt niż Węgry poniesie Polska, która dodatkowo nie dostanie od Unii za swój wysiłek ani jednego euro rekompensaty.

Upokarzany od wielu lat przez unijnych polityków Viktor Orbán napotkał z ich strony w trakcie ostatnich negocjacji relatywnie słaby opór. Uległa postawa Niemiec i Francji wobec Rosji znana jest nie od dziś, co w znacznej mierze tłumaczy, dlaczego premier Węgier uzyskał dla siebie tak znaczne ustępstwa. Okazuje się tym samym, że zamiast spuszczenia „gospodarczej bomby atomowej” na węgierską gospodarkę bratankowie mogą w następstwie podjętych właśnie decyzji uzyskać dla swojego

flagowego koncernu naftowego (ale i dla całej gospodarki) znaczne korzyści.

BOGATY JAK MOL

Jedną z podstawowych przyczyn, przez które ostatnie podwyżki cen paliw są dla konsumentów aż tak bardzo bolesne, jest źródło ich dostaw. Wspomniana już znaczna różnica cenowa między ropą sprowadzaną z Rosji i ropą dostarczaną z innych krajów może zapewnić węgierskiemu koncernowi naftowemu MOL znaczną przewagę nad konkurencją w regionie. Największym udziałowcem spółki jest węgierskie państwo oraz powiązane z nim podmioty (m.in. Uniwersytet Korwina), a także liczni zagraniczni inwestorzy instytucjonalni. Mimo tak rozproszonego akcjonariatu MOL jest w pełni podporządkowany rządowi w Budapeszcie.

W tej sytuacji głównym poszkodowanym może być Orlen, który planując fuzję z Lotosem, będzie musiał zgodnie z decyzją Komisji Europejskiej oddać 400 stacji grupy Lotos w ręce Węgrów. Węgrzy z pewnością nie będą oferowali w Polsce niższych cen paliw na swoich stacjach, za to grupa Orlen, która w wyniku fuzji

zakładać „atomowe zyski” również w kolejnych kwartałach, gdyż unijne embargo zapewni mu wyjątkowo wiele korzyści. Co ciekawe, MOL zdaje się nie szkodzić nawet wprowadzony przez węgierski rząd limit cen paliw wynoszący 480 forintów. Przy obecnych poziomach cen rosyjskiej ropy koncern i tak jest w stanie wygenerować znaczne dochody ze sprzedaży.

Choć jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się, że współpraca węgiersko-polska przebiega w bardzo zadowalający sposób, dziś sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Zaproszony do przejęcia 400 stacji w Polsce węgierski MOL nie dość, że znacząco rozbuduje swoją bazę, to na dodatek w następstwie rażącego braku solidarności zapewni sobie w najbliższych miesiącach nadzwyczaj korzystny model funkcjonowania, o którym jego konkurenci w regionie mogą tylko pomarzyć. Do MOL należy także słowacka rafineria w Bratysławie, chorwacka w Rijecie, a spółka posiada także znaczną sieć stacji w Chorwacji, Rumunii i Czechach. Jedną z najbardziej dochodowych firm w całej Europie Środkowo-Wschodniej stanie się prawdziwą maszynką do zarabiania pieniędzy.

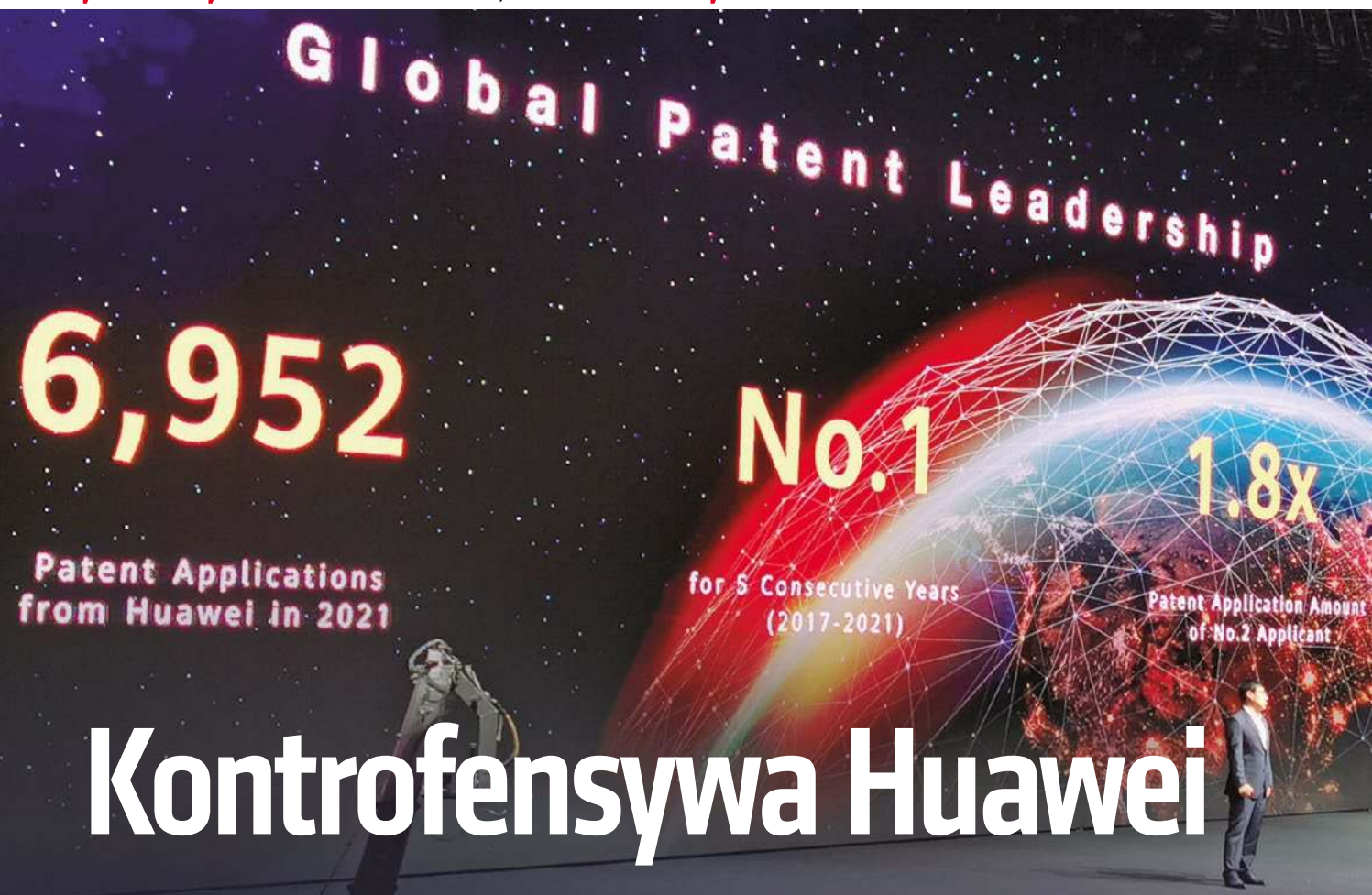
DWUZNA CZNY PARTNER

Komisja Europejska zadeklarowała, że będzie uważnie przyglądała się temu, w jaki sposób Węgry wykonują prace dostosowawcze przy gazociągu Adria i będzie starała się wymóc jak najszybsze odejście od udzielonego czasowo zwolnienia. Nadchodzący czas pokaże tym samym, na ile Viktor Orbán rzeczywiście zrezygnuje z dostaw rosyjskiej ropy, gdyż wiele jego dotychczasowych słów i czynów wskazuje na to, że najchętniej wcale by się z nią nie rozstawał. Tuż po wywalczeniu dla swojego kraju okresu przejściowego węgierski premier triumfalnie oświadczał swoim rodakom, że mogą spać spokojnie, ponieważ zostali uratowani przed horrendalnie wysokimi cenami energii i paliw. Rzeczywistym skutkiem zawartego na unijnym szczeblu porozumienia będzie natomiast uzyskanie dla MOL niezwykle korzystnych warunków do konkurencji z innymi podmiotami. Swoim zyskiem MOL będzie musiał i tak podzielić się z węgierskim państwem, które wprowadziło pod koniec maja nowy podatek od „specjalnych zysków” osiągniętych przez duże firmy z powodu wojny. Udziałowcy spółki z pewnością jednak nie rozpaczają, gdyż tak jak w poprzednim roku wypłacone mają być sowite dywidendy. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Znaczna różnica cenowa między ropą z innych krajów i Rosji może zapewnić MOL znaczną przewagę nad konkurencją

przejmuje 144 stacji benzynowych na Węgrzech i 41 na Słowacji, będzie tam musiała konkurować z działającym na specjalnych, korzystnych dla niego warunkach MOL-em. Dzięki okresowi przejściowemu węgierski koncern naftowy może w kilka lat uzyskać nad Orlenem niemałą przewagę kapitałową. Tym bardziej że podjęta właśnie decyzja o unijnym embargo z pewnością jeszcze bardziej zwiększy różnicę między ceną surowca oferowanego przez Rosję i pozostałe kraje.

Ostatnie miesiące ze względu na wysokie marże są niezwykle dochodowe dla wszystkich koncernów energetycznych. Węgierski MOL, który jeszcze dwa lata temu był pod kreską, zanotował w pierwszym kwartale tego roku wzrost przychodów o 77 proc. w porównaniu z analogicznym okresem w roku poprzednim. Węgierski potentat może śmiało



Stambuł. Licząca aż 20 mln mieszkańców największa turecka metropolia od wieków łączy Europę i Azję. Za rządów cesarza Justyniana stanął tu najbardziej znany zabytek: Hagia Sophia. Na początku XIII w. miasto zdobyli krzyżowcy, którzy z Konstantynopola stworzyli stolicę ustanowioną przez nich Cesarstwa Łacińskiego. W XV w. miasto zostało stolicą imperium osmańskiego, a obecnie stanowi wizytówkę tureckiej potęgi.

To właśnie Stambuł wybrał chiński koncern Huawei na europejską premierę nowych produktów, które mają otworzyć mu drzwi do kolejnych sukcesów na rynku europejskiej elektroniki. Na wydarzenie zaproszono ok. 900 dziennikarzy z 30 krajów Europy. Wszystko po to, aby ogłosić wielki europejski kontratak chińskiego koncernu.

BILIONY EURO NA INNOWACJE

W czwartek dziennikarzom pokaza-
no m.in. najnowszy składany smartfon,
dwa 16-calowe laptopy, bezprzewodowe
słuchawki z systemem tłumienia hałasu,
a także pierwszy tablet Huawei z ekranem
e-ink.



Jacek Przybylski
ze Stambułu

Chociaż konflikt Chiny – USA sprawił, że sprzedaż smartfonów chińskiego koncernu w Europie spadła o 90 proc., to Huawei nie zamierza dzielić losu Nokii czy Ericssona. Wydaje krocie na rozwój nowych produktów. Dzięki temu jest już w czołówce w kategorii urządzeń ubieralnych, takich jak smartwatche czy opaski, i chce szturmować kolejne segmenty rynku

– W Stambule nie tylko wprowadziliśmy na rynek wiele nowych produktów, lecz także mówiliśmy o szczegółach naszej strategii, która polega na rozwoju produktów w wielu różnych kategoriach. Staramy się robić produkty potrzebne konsumentom, dzięki czemu w wielu segmentach odnotowujemy solidne wzrosty. Dane dotyczące sprzedaży jasno pokazują, że obecnie trwa nasza kontrofensywa – powiedziała „Do Rzeczy” Dorota Haller, VP Marketing CEE, Turkey, Nordics & Canada Huawei CBG.

Rzeczywiście, grupa Huawei Consumer Business – której przychody wynio-

sły w zeszłym roku 38 mld dol. – odnotowała wzrost sprzedaży w segmencie tzw. urządzeń ubieralnych (smartwatche, opaski etc.) o 42 proc., słuchawek true wireless o 35 proc., tabletów o 50 proc. Sama marka mimo zawirowań związanych ze sporem między Waszyngtonem a Pekinem też trzyma się nieźle: w ubiegłym roku zajmowała 8. miejsce wśród 50 najbardziej innowacyjnych firm według Boston Consulting Group, 44. na liście Global 500 magazynu „Fortune” oraz 50. w rankingu 100 najbardziej wartościowych globalnych marek według grupy badawczej Kantar BrandZ.



Huawei wydaje fortunę na innowacje

FOT. JACEK PRZYBYLSKI

Wartość samej marki szacuje się na 71,2 mld dol. (po wzroście rok do roku o 28,6 proc.).

– Huawei nieustannie dąży do wprowadzania innowacji i udostępniania świata cyfrowego każdemu użytkownikowi. Utrzymujemy wysokie nakłady na badania i rozwój oraz marketing w wielu kategoriach produktowych. Chcemy dostarczać konsumentom rewolucyjne innowacje i stale przewodzić rozwojowi branży – powiedział Derek Yu, prezes Central Eastern Europe, Nordic & Canada, Huawei Consumer Business Group. Na szczęście za tą marketingową nowomową, w oryginale jeszcze bardziej nieznośną, bo wypowiedzianą angielskim w wersji Chinglish, idą miliony euro na innowacje (Huawei jest na drugim miejscu na świecie pod względem wydatków na badania i rozwój – za spółką Alphabet, ale przed Microsoftem, Samsungiem czy Apple), kolejne patenty (w 2021 r. chiński koncern zgłosił 6952 wnioski patentowe, co przez pięć ostatnich lat dawało mu pierwsze miejsce na świecie) oraz premiery rzeczywiście innowacyjnych produktów.

Najnowszy składany smartfon Huawei – Mate Xs 2 – po rozłożeniu ma ekran o przekątnej 7,8 cala. Panel OLED o rozdzielczości 2200 x 2480 pikseli z odświeżaniem obrazu na poziomie 120 Hz robi wrażenie, nawet jeśli ktoś nie jest zwolennikiem składanych telefonów. Wyświetlacz chronią trzy dodatkowe warstwy, dzięki czemu ma być bardziej odporny na upadki, uderzenia i zarysowania. Nowy flagowiec ma też robić świetne zdjęcia dzięki trzem obiektywom, w tym jednym z matrycą o wielkości 50 MP z laserowym autofocusem i jasnością f/1.8. Nowe urządzenie oferuje również pojemną baterię o pojemności 4600 mAh, z ultraszybkim ładowaniem 66 W Huawei SuperCharge, które pozwala naładować baterię do poziomu 90 proc. w 30 minut. Wazący zaledwie 255 g model pokazuje zaawansowane możliwości techniczne chińskiego koncernu. Nie pozwoli jednak bić rekordów sprzedaży, bo urządzenie wyceniono na 7999 zł. Huawei wprowadza więc na europejski rynek smartfony nova Y70 i nova 90 ze średniej półki cenowej, wyposażając je w niemal siedmiocalowe ekrany, potężne baterie i technologię szybkiego ładowania Huawei SuperCharge (producent zapewnia, że wersja Y70 z baterią 6000 mAh wymaga ładowania tylko dwa razy w tygodniu, a nova Y90 ładuje się do 50 proc. w zaledwie 30 minut dzięki ładowaniu mocą 40 W w technologii).

Chcąc wykorzystać to, że po pandemii wiele osób nadal pracuje zdalnie, chiński koncern wprowadził na rynek nowe laptopy napędzane przez procesory 12 generacji IntelCore, z szybkimi dyskami SSD oraz 16-calowymi ekranami, które chińskim inżynierom udało się zmieścić w obudowach do laptopów 15,6. Ceny nowej serii zaczynają się od 3999 zł za wersję z procesorem i5 i 8 GB pamięci RAM i 5699 zł za wersję z procesorem i7 i 16 GB RAM.

Chińczycy pokazali też w Stambule zaawansowane bezprzewodowe słuchawki Huawei Freebuds Pro 2 z kodekiem LDAC i wykorzystującym trzy mikrofony systemem redukcji hałasu (wycenione na 899 zł) oraz Huawei MatePad Paper, czyli pierwszy tablet Huawei z ekranem e-ink do notowania i pisania. Waży 360 g i ma wyświetlacz o wielkości 10,3 cala, który pozwala nie tylko godzinami czytać książki, lecz także robić notatki elektronicznym piórkiem na ekranie. MatePad Paper

w zestawie z rysikiem M-Pencil oraz magnetycznym etui kosztuje 2299 zł.

OFIARA SYSTEMU

Huawei pod koniec ubiegłej dekady wyrósł na lidera globalnej sprzedaży na rynku smartfonów. W 2019 r. amerykański Departament Handlu wpisał jednak chińskiego producenta na czarną listę handlową, co sprawiło, że Google zdecydowało się zawiesić współpracę handlową z koncernem z Shenzhen.

Pod koniec 2019 r. chińscy menedżerowie chwalili się co prawda rekordową liczbą smartfonów sprzedanych w Chinach, ale w Europie i w USA odnotowywali już pierwsze spadki sprzedaży, choć w trzecim kwartale 2019 r. nadal zajmowali drugą pozycję wśród największych producentów smartfonów w Europie – wiele wskazywało bowiem na to, że Huawei zachowa dostęp do okrojonej wersji Androida oraz podstawowych aplikacji. Gdy wiadomo już było na pewno, że Huawei szybko nie uzyska dostępu do systemu Android i podstawowych usług Google, strach potencjalnych klientów przed brakiem dostępu do znanych sobie map, serwisu YouTube czy służącej do prostego dokonywania płatności zbliżeniowych aplikacji Google Pay mocno odbił się na danych sprzedażowych.

Chociaż Chińczycy również w Europie robili dobrą minę do złej gry – na rynkach azjatyckich, a zwłaszcza w samych Chinach ich smartfony wciąż sprzedają się świetnie – to dane sprzedażowe były dla nich bezlitosne. Według danych zebranych przez firmę Counterpoint Technology Market Research za cały 2021 r. w Europie pierwsze miejsce na rynku smartfonów miał południowokoreański Samsung (32 proc.), na drugim miejscu było Apple (22 proc. rynku), które wyprzedziło Xiaomi (14 proc. rynku). W Europie bardzo mocno zyskiwały również takie marki jak Vivo, Realme czy Oppo. Sprzedaż smartfonów Huawei oraz marki Honor (do 2020 r. należącej do koncernu z Shenzhen) na Starym Kontynencie zmalała o ok. 90 proc., a ich udział w europejskim rynku smartfonów spadł poniżej 1 proc.

W Polsce Huawei – który jeszcze w roku 2020 był na trzecim miejscu producentów smartfonów z udziałem w rynku na poziomie 16 proc. – wypadł już z pierwszej piątki. Przychody ze sprzedaży sprzętu konsumenckiego i sieciowego zmalały nad Wisłą o 41,7 proc. z 2,18 mld zł do 1,56 mld zł, co firma

■ tłumaczy w sprawozdaniu zmniejszeniem „wolumenu sprzedaży telefonów komórkowych spowodowanego niezależnymi od spółki zewnętrznymi czynnikami”. Zysk netto firmy zmalał zaś ze 114,4 do 69,3 mln zł. Huawei w sprawozdaniu podkreślił jednak, że aktualna sytuacja finansowa firmy „jest stabilna i oparta na przychodach od największych krajowych operatorów telefonii mobilnej”.

– Ubiegły rok w kategorii smartfonów był dla nas rzeczywiście trudny, ale w roku 2022 planujemy odbić sporą część rynku – deklarował w Stambule Derek Yu, prezes Huawei na region Europy Środkowo-Wschodniej, kraje nordyckie i Kanadę.

BEZ ANDROIDA? NIE SZKODZI

Początkowo brak usług Google praktycznie dyskwalifikował smartfony chińskiego producenta w oczach użytkowników. Koncern szybko rozwinął swój własny system operacyjny, inwestując ogromne pieniądze w rozwój HMS, a także sklepu z aplikacjami, w którym można już znaleźć zarówno fajne gry, jak i użyteczne aplikacje biurowe. Huawei ma więc własne mapy Petal oraz własną wyszukiwarkę Petal.

– Nad rozwojem własnego systemu intensywnie pracujemy od dwóch lat i mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że na naszych smartfonach z systemem HMS można płacić, można korzystać z map, można robić prawie wszystko. Mamy aplikacje różnych polskich banków, a także aplikację Curve, która umożliwia podpięcie karty i płatności zbliżeniowe – tłumaczy nam Dorota Haller.

– Myślę, że w przyszłości więcej urządzeń będzie bazować na naszym systemie. Jednocześnie wydajemy ogromne pieniądze na innowacje: nie tylko w urządzeniach ubieralnych, lecz także w smartfonach. Smartfony pozostają naszym priorytetem – podkreślił prezes Huawei na region Europy Środkowej Derek Yu.

Chiński koncern rozwija nie tylko sprzęty, lecz także oprogramowanie, wprowadzając nowe ułatwienia dla użytkowników różnych typów urządzeń Huawei. Dzięki funkcji SuperDevice nowe laptopy nie tylko automatycznie wykrywają smartfon, słuchawki, mysz, klawiaturę, głośnik lub drukarkę Huawei i sprawnie je parują, lecz także w przypadku smartfonów i tabletów na ekranie laptopa pojawia się interfejs,

który umożliwia jednocześnie korzystanie z zasobów laptopa, smartfona i tableta, tak jakby stanowiły one jedno urządzenie, z szybkim dostępem do plików i możliwością ich edycji. To rozwiązanie likwiduje problem z brakiem możliwości przerwania dużych plików, jeśli ktoś akurat nie wziął ze sobą odpowiedniego kabla.

Chiński koncern rozwija jednocześnie innowacyjne rozwiązania dla motoryzacji oraz inteligentnego domu. Chińczycy oficjalnie zadebiutowali w Stambule również z usługami dla biznesu. Chcą współpracować nie tylko z przedsiębiorstwami, lecz także z europejskimi rządami. Odpowiadając na pytanie „Do Rzeczy” o współpracę z Polską, Derek Yu podkreślił, że ma nadzieję, iż Huawei uda się dojść do porozumienia z polskim rządem w sprawie współpracy w budowie 5G w Polsce. Nie jest to niemożliwe, choć z pewnością nie będzie to łatwe, bo już w 2020 r. anglojęzyczne media zastanawiały się, czy Polska nie będzie główną „antyhuaweiową” siłą w Unii Europejskiej.

Dorota Haller podkreśla jednak, że polscy konsumenci nie mają problemu

z zaufaniem do chińskiej marki. – Polskich użytkowników interesuje przede wszystkim dobry produkt. Marka nie tylko budzi zaufanie, lecz także jest w Polsce lubiana. Świadomość marki jest wysoka – praktycznie każdy Polak wie, czym jest Huawei. Jesteśmy liderem rynku, jeśli chodzi o urządzenia ubieralne, czyli zegarki i opaski – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Dorota Haller, szefowa marketingu Huawei Polska.

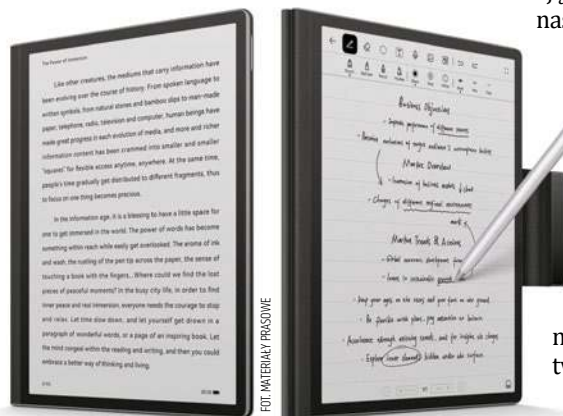
A co z tym szpiegowaniem? Amerykanie zarzucają przecież Huawei, że urządzenia koncernu mogą być wykorzystywane do szpiegostwa, przez co naruszają bezpieczeństwo państwa. Chińczycy odpowiadają, że to absurd, i chwala się międzynarodowymi certyfikatami bezpieczeństwa.

Prawda jest zaś taka, że smartfony Huawei mogą szpiegować użytkowników – podobnie jak absolutnie każde urządzenie elektroniczne każdej innej marki, w tym smartfony amerykańskich producentów. Trzeba więc ostrożnie udzielać zgód, o które proszą konkretne aplikacje. Jeśli bowiem wydajemy zgodę na geolokalizację, to dany program rzeczywiście będzie nas śledził. Każdy smartfon śledzi nas bowiem i podsłuchuje nasze rozmowy w takim stopniu, na jaki mu pozwolimy. Nie bez powodu szef Facebooka Mark Zuckerberg zakleja kamerę taśmą, a szef FBI już w 2016 r. oficjalnie ostrzegał Amerykanów, aby zasłaniał kamery w komputerach. Ten ostatni szczególnie dobrze wie, co mówi, bo rząd USA sam wielokrotnie szpiegował obywateli za pośrednictwem kamer w laptopach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAL PRASOWE



FOT. MATERIAL PRASOWE



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Jastrząb Glapiński

Jak najlepiej pomóc ludziom zadłużonym ponad miarę z powodu koszmarniej inflacji i w szaleńczym tempie podążających za nią w górę stóp procentowych i wysokości odsetek od kredytów?

Cóż, odpowiedź na to pytanie zna każdy nastolatek, który uważa na zajęciach z ekonomii, lecz niestety zdają się nie znać jej ministrowie polskiego rządu. A może znają ją dobrze, lecz przecież im, politykom (i rządzącym i opozycyjnym), chodzi przeważnie nie o dopomożenie komukolwiek, w tym zadłużonym, lecz o zdobycie głosów wyborców, a to nie zawsze to samo?

Otóż, żeby najlepiej pomóc ludziom zadłużonym ponad miarę z powodu koszmarniej inflacji i w szaleńczym tempie podążających za nią w górę stóp procentowych i wysokości odsetek od kredytów, trzeba jak najszybciej obniżyć inflację do powszechnie akceptowanego poziomu; dajmy na to – do 2 proc.

w skali roku. I właśnie temu – obniżaniu inflacji – powinny być dziś podporządkowane działania wszystkich polskich polityków i urzędników państwowych, którym leży na sercu dobro nie tylko ponad miarę zadłużonych kredytobiorców, lecz także po prostu wszystkich Polaków, którym inflacja zżera bieżące pensje i odłożone na czarną godzinę oszczędności ich życia.

A zatem polski bank centralny, czyli NBP, powinien szybko zacieśniać politykę monetarną – właśnie tak, jak to teraz, nareszcie!, czyni. A polski rząd powinien szybko zacieśniać po-

litykę fiskalną – czyli postępować dokładnie odwrotnie, niż dziś postępuje, proinflacyjnie mnożąc i powiększając jedno po drugim wydatki budżetu i jeszcze na dodatek próbując przekonać wyborców, że nakręcanie przezeń spirali inflacji jest walką z inflacją.

Jednym z kolejnych pomysłów rządu na jeszcze większe powiększenie inflacji, czyli – nie inaczej – odsunięcie w czasie jej zmniejszania się, cofania się, jest wprowadzenie powszechnych wakacji kredytowych dla nadmiernie zadłużonych (w złotychkach, a nie we frankach). Nowe prawo zakłada bowiem, że przez półtora roku będą oni mogli bez żadnych konsekwencji i narastających odsetek nie spłacić nawet ośmiu rat kredytów hipotecnych; raty te nie zostaną co prawda im anulowane, lecz wydłużą się okres kredytowania, a koszty odsetkowe poniosą banki.

I to właśnie temu pomysłowi stanowczo sprzeciwia się NBP i jego dziś coraz bardziej jastrzębio nastawiony szef Adam Glapiński. Zapewne dobrze rozumiejąc, że wprowadzenie go w życie zmusiłoby Radę Polityki Pieniężnej NBP do wywindowania stóp procentowych na jeszcze wyższy poziom.

A zatem: jeśli posłowie i senatorowie – zarówno rządowi, jak i opozycyjni – ostatecznie przyjmując ustawę o wakacjach kredytowych w obecnym kształcie, zagłosują za wyższą inflacją, to czy powstrzymają ich, znając mocno krytyczne stanowisko NBP w tej sprawie, prezydent Andrzej Duda, wetując ustawę? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Uchodźcy – tylko warunkowo

Sondaż, zamówiony przez „Rzeczpospolitą”, oraz opisywane przez dziennik badania prowadzone przez zespół z Uniwersytetu Warszawskiego pokazują jasno, że cierpliwość Polaków, jeśli idzie o bezwarunkową pomoc dla ukraińskich uchodźców, się kończy. Polacy oczekują, że uchodźcy podejmą pracę i będą posyłać dzieci do polskich szkół. W coraz mniejszym stopniu akceptują rozbudowany socjal dla Ukraińców. Ma to oczywiście związek z coraz gorszą

Ukraińców, dbały, żeby ta gościna miała charakter ściśle tymczasowy. Polska wydawała się iść zupełnie inną drogą i może miałoby to sens, gdyby umiano pokazać jakiejkolwiek analizy, potwierdzające słuszność tego kierunku. Ale to nigdy nie nastąpiło.

Na razie rząd wycofuje tylko wsparcie dla osób goszczących u siebie uchodźców – co akurat jest zmianą najmniej potrzebną. Szczególnie że sam nie zrobił literalnie nic, aby zapewnić alternatywę ludziom, którzy chcieliby już tę gościnę zakończyć. A przecież, jeżeli przyjrzeć się sytuacji z uchodźcami, nic właściwie nie zostało wyjaśnione czy rozwiązane. Nie wiemy, jaka część pobiera polskie świadczenia, faktycznie mieszkając na Ukrainie. Nie wiemy, na jakich zasadach ukraińskie dzieci mają być przyjmowane do polskich szkół w nowym roku szkolnym. Nie wiemy, jaka część spośród uchodźców będzie chętna ostatecznie podjąć pracę – na razie jest to rozczarowujące 29 proc. spośród osób w wieku produkcyjnym. Nie wiemy, co rząd zamierza zrobić, jeśli – jak przewidują ekonomiści – rynek pracy się skurczy i okaże się, że zajęcia dla uchodźców w Polsce nie ma.

Wygląda na to, że wciąż trafna jest pierwotna diagnoza: władza najpierw podjęła decyzję, bez śladu analizy, a potem... nie analizowała dalej. Chyba że tym pomysłem mają być mrzonki o polsko-ukraińskiej federacji. ©©

Władza podjęła decyzję, bez analizy, a potem... nie analizowała dalej

sytuacją bytową ogromnej części Polaków, a to z kolei zaczyna rodzić niezgodę na wspieranie uchodźców naszym kosztem.

Czy w takim razie przyjęta od początku strategia, kosztująca nas, wedle różnych wyliczeń, od 24 do 50 mld zł tylko w tym roku, była błędem? Tak – to był poważny błąd. Za takimi rozwiązaniami nie stała żadna poważniejsza analiza skutków finansowych, społecznych czy dla rynku pracy, który zresztą w związku ze spowolnieniem gospodarczym najpewniej wkrótce straci chłonność. Kraje znacznie od Polski bogatsze, przyjmując

TEST „DO RZECZY”: SŁUCHAWKI SONY WH-1000XM5

Rewelacyjny system tłumienia hałasu, bardzo dobre, czyste brzmienie, pełen charakteru bas, świetna jakość prowadzonych rozmów, wygodne sterowanie dotykowe, obsługa opcji wyszukiwania zgubionego urządzenia oraz pojemna bateria – to największe zalety najnowszej wersji legendarnych słuchawek japońskiej firmy Sony.

Wzornictwo słuchawek jest do granic minimalistyczne. Wygląd WH-1000XM5 mnie się nie podoba, ale to kwestia gustu. Samo wykonanie jest już jednak bardzo dobre. Przemyślana, elastyczna konstrukcja sprawia również, że ważący 250 g model jest wygodny nawet przy wielogodzinnej użytkowaniu. Użyte materiały są również przyjemne w dotyku.

Najważniejszą zaletą testowanych słuchawek jest rewelacyjny system tłumienia hałasu (ANC), dzięki któremu Sony WH-1000XM5 to jedno z najlepszych słuchawek na rynku dla osób często podróżujących samolotami, pociągami czy pracujących w zatłoczonych open space'ach. ANC w testowanym modelu działa naprawdę bajecznie. Wygodne jest również sterowanie dotykowe. Bardzo przydatna jest także możliwość sparowania słuchawek jednocześnie z dwoma urządzeniami, dzięki czemu można bez trudu przełączać się między smartfonem a komputerem czy telewizorem (można np. wygodnie odebrać telefon podczas oglądania filmu).

A co z brzmieniem? Jest bardzo dobre, czyste, pełne detali i choć neutralne, to w rockowych utworach testowany model potrafi

pokazać pazur. Dzięki rewelacyjnym mikrofonom świetna jest również jakość prowadzonych rozmów. Zaletą nowego modelu jest też ledwo słyszalne pogorszenie jakości odtwarzanego dźwięku podczas włączonego systemu ANC. Oczywiście sama konstrukcja słuchawek i założenie bezprzewodowego przesyłania dźwięku sprawiają, że nie są to słuchawki dla wymagających audiofilów – zdecydowana większość „normalnych” użytkowników powinna być jednak z brzmienia naprawdę zadowolona. Plusem jest obsługa wielu kodeków, w tym umożliwiających transmisję dźwięku wysokiej jakości: SBC, AAC oraz LDAC. Ciekawa jest także aplikacja umożliwiająca wykorzystanie wszystkich możliwości tak zaawansowanych technologicznie słuchawek.

Bateria pozwala na korzystanie ze słuchawek przez mniej więcej 30 godzin. Najnowszy model umożliwia również bardzo szybkie ładowanie – zaledwie trzy minuty z podłączoną ładowarką pozwalają na trzy godziny słuchania muzyki. Nieźle!

Wady? Dla wielu największym minusem tych słuchawek będzie wysoka cena (w takim przypadku warto rozważyć o 600 zł tańszą wersję WH-1000XM4). Poważną wadą jest też brak możliwości wygodnego składania na czas przenoszenia, przez co dołączony w zestawie futerał zajmuje w plecaku naprawdę sporo miejsca. Funkcja automatycznego wyłączania



muzyki, gdy zacznie się mówić (tzw. speak to chat), reaguje również na wszelkie kasznięcia czy próby podśpiewywania słuchanej muzyki (na szczęście można ją wyłączyć). Szkoda również, że słuchawki nie mają jakiegokolwiek odporności na kontakt z wodą, przez co lepiej nie chodzić w nich podczas ulew, a także nie uprawiać w nich sportu, bo gadżet może słabo znosić pot. Cena: 1999 zł. ©© **Jacek Przybylski**

ENERGIA DLA ROWERU

Paliwo jest coraz droższe, więc do łasek wracają rowery. Kto jednak nie ma ochoty za dużo pedałować, ten może kupić zestaw, który – według obietnic producentów – przemieni każdy tradycyjny jednoślad w rower elektryczny. Na rynku wkrótce dostępny ma być m.in. sprzęt firmy Swytch. W zestawie znajduje się koło – podczas zamówienia można dobrać rozmiar – wyposażone w silnik o mocy 250 W, czujnik pedałowania, a także ważący 700 g akumulator. Producent zapewnia, że sprzęt ten umożliwi pokonanie na baterii nawet 15 km. Producent przyjmuje zapisy chętnych na swojej stronie i ma ich informować o cenie i dacie premiery. Z założenia jeszcze szybszy w montażu ma być zestaw Skarper Disk Drive – wystarczy wymienić tarczę hamulcową z roweru na

tarczę z zestawu, dodać odpowiedni czujnik do korb oraz oczywiście zamontować główny napęd z 250-watowym silnikiem, akumulatorem oraz tylnym światłem. Według producenta gadżet pozwala przejechać 60 km z prędkością do 25 km/h. Cena ma wynosić ok. 5 tys. zł, a pierwsze zestawy mają trafić do klientów na początku 2023 r.

MAŁY PROJEKTOR, DUŻY OBRAZ

Xming Mini Projector Q1 SE chińskiej firmy Xiaomi to maleństwo o wymiarach 11,5 x 13,4 x 17,5 cm, a mimo to potrafi wyświetlać obraz o przekątnej od 40 do nawet 120 cali. Maleńki projektor wyposażono w lampę o jasności 250 ANSI lumenów oraz technologię automatycznej korekty wyświetlanego obrazu o maksymalnej rozdzielczości wynoszącej 1080 p. W niewielkim urządzeniu producent zainstalował dwa niewielkie wiatraki. Na obudowie są też głośniczki o mocy 3W oraz porty HDMI i USB 2.0. Miniprojektor jest już w sprzedaży w Europie. Kosztuje 229 euro, czyli równowartość 1060 zł. ©©



Jacek Przybylski

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Książę Józef pod Markuszowem



JACEK KOMUDA

Markuszów na Lubelszczyźnie, dziś znany jest bardziej jako miejsce postoju na trasie S-17 Lublin – Warszawa niż jako miasteczko sławne z zabytków i pozostałości minionych epok, choć i tych pozostało kilka. Mało kto wie jednak, że na polach pomiędzy wspomnianą miejscowością a sąsiednim Garbowem, mniej więcej na południe od dzisiejszego węzła Nałęczów, odbyła się desperacka szarża, w której omal nie zginął książę Józef Poniatowski, naczelny wódz armii Rzeczypospolitej. To była ostatnia walka wojny w obronie Konstytucji 3 maja, przeciwko której w 1792 r. wystąpiły wojska moskiewskie

do koncentrację wojska pod stolicą i działanie z położenia środkowego w celu pobicia kolejnych kolumn nieprzyjaciela. „Rosjanie dużą część swych sił rozrzućli na etapach i liniach komunikacyjnych, utracili więc bezwzględna przewagę liczebną; można było z powodzeniem bronić linii Wisły” – pisał o tych wydarzeniach Wacław Tokarz. Niestety, 23 lipca odbyło się na Zamku Królewskim w Warszawie posiedzenie króla i Rady Wojennej, na którym Stanisław August Poniatowski zdradził naród, Rzeczpospolitą i konstytucję, zdradził armię, która jeszcze nie została rozbita. Po tajnych rokowaniach z Katarzyną i jej ambasadorem Bułhakowem podjął bowiem decyzję o zaprzestaniu działań wojennych i przystąpieniu do konfederacji targowickiej. Wiadomość ta doprowadziła do czarnej rozpaczki dowódców wojskowych z księciem Józefem na czele. Rozważano nawet możliwość przeprowadzenia zamachu stanu i uwięzienia króla, co na pewno byłoby lepszą opcją niż pełna kapitulacja, jednak nie zdecydowano się na tak drastyczne rozwiązanie.

W zaistniałej sytuacji 26 lipca 1792 r. rano książę Józef, będący w fatalnym stanie psychicznym, nie powiadamiając żołnierzy o zdradzie królewskiej, na czele 12 szwadronów kawalerii narodowej zaatakował z furją przebywających pod Markuszowem Kozaków, rabujących rodzinę podążającego za wojskiem felczera. Spodziewał się, że znajdują się przed nim tylko dwa pułki jazdy, w dodatku sam wysforował się na czoło, szarżując w pierwszej linii. Być może szukał śmierci, gdyż w nadchodzącym boju nie dbał o siebie. Szarża zmiotła i pognąła przed sobą Kozaków, którzy jednak naprowadzili kawalerię narodową na główne siły rosyjskiego generała Markowa, zajmując trakt pod Markuszowem i dysponując czterema działami. Rozgorzał

bój, Polacy zaczęli ustępować, jednak nacierającą moskiewską jazdę powstrzymało uderzenie brygady jazdy Sanguszków. Jak pisze Adam Wolański: „Życie ks. Józefa wisiało na włosku. Nacierał na niego kozacki ataman i jakiś wachmistrz z konnych strzelców Bauera, lecz nie poznali naczelnego wodza w berejterskiej kurtce ze szpicrutą w rękę i gdy zwałiwszy z konia jadącego tuż obok namiestnika, zajęli się rabunkiem, rasowa klacz angielska przesadziła dwa płoty, unosząc ks. Józefa w bezpieczne miejsce”.

Dzisiaj trudno ustalić, czy załamany książę Józef próbował popełnić samobójstwo, rzucając się z kawalerią narodową na Moskali, czy też przez odniesienie niespodziewanego zwycięstwa chciał wymusić na królu odwołanie kapitulacji. Jak podaje Adam Wolański, w boju zginęło 20 Polaków, w tym generał inspektor jazdy Stanisław Iliński, postrzelony w gardło i zakłuty kozackimi spisami. Poległo także ok. 40 Moskali, kilku innych wzięto do niewoli.

Szałeńcza szarża ks. Józefa pod Markuszowem była ostatnią bitwą wojny o obronę konstytucji. Zdradzone wojsko wycofało się do Kozienic, gdzie później wielu generałów, w tym wódz naczelny, złożyło dymisję i wyjechało z kraju. Król Stanisław August pogrążył i ostatecznie unicestwił Rzeczpospolitą. Chwiejnego charakteru, uzależniony psychicznie od byłej kochanki Katarzyny, w ostatniej rozpaczliwej chwili zadał cios w plecy armii I Rzeczypospolitej. Wybrał hańbę niż wojnę, ale – jak to zawsze bywa w takich okolicznościach – wojnę i tak miał, gdyż już niecałe dwa lata później wybuchło powstanie kościuszkowskie w walce o wolność i godność mieszkańców Rzeczypospolitej, w obliczu kolejnego rozbioru i bandyckich rządów targowicy. ©



FOT. DOKUMENTALNA

I RZECZYPOSPOLITA

• Markuszów

carycy Katarzyny, zakładając w Petersburgu złowrogą konfederację znaną później jako targowica.

W okolicy

Markuszowa w lipcu wycofały się z Ukrainy polskie wojska, które pomimo zwycięstwa pod Zieleńcami utraciły linię Bugu po klęsce gen. Tadeusza Kościuszki pod Dubienką. Chociaż Moskale ciągle mieli przewagę liczebną, to wojna o konstytucję nie była jeszcze stracona – od północy ciągnęła pod Węgrów armia litewska, możliwe było ściągnięcie posiłków spod Krakowa i innych części kraju. Sytuacja przypominała nieco tę z 1920 r., zatem siły nieprzyjaciela, które z Litwy i Ukrainy parły na Warszawę, były już osłabione i wyczerpane. Z kolei dowództwo polskie zakłada-



ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK



FOT. ADAM STOK

SIOSTRY GOTUJĄ

Co mógł jadać król Jan III Sobieski?

oraz „Zbiór dla kuchmistrza”, gdzie znajdujemy nie tylko przepisy kulinarne, lecz także porady gospodarskie. Na przykład takie: Jak wyprawiać kobierce? „Żółci bydłęcej nabrawszy, szcztoką wszystkie kobierce nasmaruj od ściany, na słońce wywieś. Nie ruszy mysz i na pluskwy to dobra”.

W książce zamieszczono piękne zdjęcia naczyń i sztućców ze zbiorów w Wilanowie.

W dawnej kuchni polskiej wszystko robiło się „na oko” – nie ma tu podanych gramatur ani objętości, po prostu wymienia się składniki i sposób ich przygotowania. Często używa się pojęć dziś już nieużywanych, jak np. „oszafrani” albo słowo „prawie” w znaczeniu „bardzo starannie” – np. „miód prawie dobrze odszumowany”. Zbiór dla kuchmistrza pełen jest niezwykłych nazw, np. „Bucalaj alias cymbaloty włoskie” albo „Konfekt z zajęczego szczawiu na gorączkę”.

Z dawnych przepisów wybrałyśmy coś, co wydawało nam się zrozumiałe i proste w przygotowaniu. Ciekawostką jest użycie w tym przepisie pieprzu do słodkiej skądinąd potrawy. A pamiętać trzeba, że orientalne przyprawy w dawnej kuchni były bardzo cenione. Spróbujcie pierożków, ale zachęcamy także do odwiedzin Wilanowa.

Pierożki smażone w oliwie

Zagniotszy ciasta wodą, rozwałkować, a kłaść powidła przyprawne z miodem a z pieprzem i czynić pierożki, a kłaść powidła i smażyć dobrze w oleju lub też w oliwie.

(Zamieszczone przepisy wypisane zostały w 1757 r.). ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Białe słonie

Mieć czy być? Chciałoby się jedno i drugie. Ale czy to możliwe? To, że rzeczy nie dają szczęścia, jest prawdą starą jak świat, którą literatura świecka i religijna przerabia od stuleci. Święty Franciszek, Pascal, janseniści, ascezyści... Ale nigdy prawda ta nie miała takiej ostrości, jak w świecie przywalonym dobrami konsumpcyjnymi, przeżartym reklamą.

Bohater „Wojny i pokoju”, Piotr Bezuchow, doznaje nigdy przedtem nieodczuwanego szczęścia, kiedy w łachmanach, wyzuty z całej fortuny, idzie w tłumie uchodźców po pożarze Moskwy. Przykłady można by mnożyć. Wiemy, że „być” powinno mieć przewagę nad posiadaniem, a jednak w naszych mieszkaniach, w naszych domach, szafach, garażach rzeczy przybywa. I co by powiedzieć o kryzysie, oszczędzaniu, biedzie, stać nas na więcej niż za PRL. Nie tylko na pralkę, telewizor, komputer, lecz także na domowe gadżety, o których urodzie ani jakości nie wyrażam się, tylko o liczbie. Wiadomo, że jakość zależy od dochodów; także gustu, lecz to pomińmy. Jedni mają na ścianie kolekcjonerskie obra-

zy, inni reprodukcję z Ikei lub kalendarz z gołą babą. Jedni właską kanapę, inni wersalkę Bodzio.

Przeczytałam w „Financial Times”, że 70 proc. Amerykanów ma garaże zajęte nie przez samochody, ale przez graty. White elephants to się nazywa. Nie używa się ich, ale wyrzucić żal. A nuż się przyda. Pewnym rozwiązaniem są garage sales, ale podejrzewam, że w ten sposób rzeczy z jednego garażu przenoszą się do innych.

Pierwszy raz byłam w amerykańskim domu w roku 1985. To, co zaskoczyło mnie w nim najbardziej, to była ilość rzeczy. Mieszkanie w Nowym Jorku zajmowała rodzina z dwójkiem dzieci w wieku szkolnym. Duża kuchnia, cztery sypialnie, wszystko od podłogi do sufitu wypełnione meblami, sprzętami, książkami, gadżetami. Już wtedy mieli komputer – jeden na wszystkich, tak wtedy było. Jak na tamte czasy i warunki amerykańskie ludzie ci, naukowcy, byli umiarkowanie zamożni. U nas z podobnym statusem mieszkali (wtedy) w nowo wybudowanym bloku, na podłodze rozkładaną sofę do spania, w 10-metrowym pokoju dzieciennym sosnowy regalik. Dla kogoś, kto przyjechał z biednej Polski, ich dom był szokująco bogaty – ile oni tego mają! Odpowiedź była prosta – więcej zarabiają i na więcej ich stać.

To tylko garść refleksji, które przyszły mi do głowy przy sprzątanu garażu. ©



FOT. ADAM STOK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Uśmiech dla dziecka

Na filmiku uśmiechnięta pani dyrektor amerykańskiego CDC (coś w rodzaju naszego sanepidu) informuje, że można już będzie szczepić dzieci w wieku od pół roku do pięciu lat. Z radością komunikuje widzom, że już jest to, na co czekali (?) z utęsknieniem rodzice. No, kwestia szczepienia dzieci od 5 do 11 lat została rozstrzygnięta w tym gronie już na początku listopada zeszłego roku. Na twarzy naszej krajanki z CDC (Rochelle Walensky) widać szczere zadowolenie. W końcu otwiera się rynek zbytu na kolejne 20 mln (to w USA) kandydatów do szczepień.

Powoli wychodzą inne fakty w kwestii tzw. Pfizer paper. Przypomnieć należy, że tylko dzięki docieklowości amerykańskiego sądu nie udało się utajnić Pfizerowi na postulowane 75 lat (i wspierającej go w tej mierze... państwowej agencji FDA) raportu z badań i teraz w seriach po kilkadziesiąt stron są one upubliczniane i omawiane przez niezależnych ekspertów.

I wychodzą stamtąd rzeczy niesamowite, jak choćby to, że agencja FDA, mająca ocenić wiarygodność badań Pfizera nad działaniem i bezpieczeństwem preparatu, WIEDZIAŁA I GODZIŁA się na to, że firma w badaniach oszukuje. Powodem tych „ustępstw” miała być – uważa! – sytuacja wyjątkowej śmiertelności wirusa i potrzeba przyjęcia preparatu do stosowania jako wyjątku w sytuacji awaryjnej. Dodajmy – trwającej już dwa lata.

Co do naszego tematu mamy tu i polski ślad, gdyż badania nad działaniem szczepionki u niemowlaków odbywały się również w Polsce, która jako jedna z nielicznych na świecie zgodziła się przeprowadzić takie eksperymenty. Przewodował tu prezes Cessak ze swym Urzędem Rejestracji Produktów Leczniczych, który spełnia podobną rolę jak amerykański FDA. Jednak w tym wypadku polski urząd jedynie organizował padania kliniczne, a składu samej szczepionki nie przeanalizował do dziś. Tu raczej chodziło o przeprowadzenie badań na polskich dzieciach, by odciążyć w eksperymencie dzieci amerykańskie.

Zającego być tajnym, a ujawnionego protokołu badań Pfizera wynika, że w trakcie badań nad preparatem podano go 4526 dzieciom, z czego 3 tys. z nich nie dotrwało do końca testów. Pani dr Clare Craig postuluje, by tego rodzaju wyniki skłoniły FDA nie do wprowadzenia, ale zaprzestania podawania szczepionki najmłodszym dzieciom. Te 3 tys. to nie jest liczba dzieci, które w trakcie tego eksperymentu zmarły, ale fakt, że tyle ich „ubyło” w trakcie testów, świadczy, że eksperyment się tutaj nie powiódł. Stąd decyzja FDA jest mocno wątpliwa, o czym musimy pamiętać, kiedy na naszych ekranach pojawi się ktoś uśmiechnięty, już pełnej krwi polskiej, i powiadomi zniecierpliwionych i niemogących się doczekać rodziców o tej dobrej nowinie. ©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Priorytet bezpieczeństwa narodowego

Jeśli Rosji kiedykolwiek przyszłoby do głowy, aby zaatakować Polskę, to Kreml musi wiedzieć, że w Polsce jest gotowych 40 mln Polaków stanąć z bronią w rękę, aby bronić swojej ojczyzny” – zagrział Mateusz Morawiecki na spotkaniu w Myszkowie. Oczywiście wiem, że wystąpienia wiecowe mają specyficzne reguły, że emocje odgrywają ogromną rolę, bo właśnie tak spin doktorzy konstruują politykom przekaz. W tym jednym zdaniu, które wygląda jak wpis pobudzonej nastolatki w mediach społecznościowych, premier poruszył dwie sprawy, które należą do kategorii racji stanu: bezpieczeństwo i demografię. W obu tych kwestiach szef rządu rozmija się z realiami.

O bezpieczeństwie pisałem wielokrotnie, więc krótko. Polska należy do najbardziej rozbrojonych krajów, gdzie – procentowo do populacji – największa liczba mężczyzn nigdy nie miała w ręku broni. Stopień wyszkolenia i sprawność bojowa formacji mundurowych są na bardzo niskim poziomie, a przygotowanie ludności w zakresie obrony cywilnej (zwanej w Skandynawii obroną totalną) praktycznie nie istnieje.

Jeszcze gorzej jest z demografią. Polska liczy nie 40, a 38 mln ludzi. 40 proc., czyli ok. 16 mln, to dzieci i seniorzy, a w pozostałej grupie więcej niż połowę stanowią panie. Zatem mężczyzn w wieku mobilizacyjnym jest 10 mln, z czego większość z nich nie

ma pojęcia o posługiwaniu się nawet zwykłym AK-47.

Nie wiem, czy premier zdaje sobie sprawę, że ostatni rok należał do najgorszych pod względem urodzeń od czasów drugiej wojny. W 2021 r. urodziło się 331 tys. Polaków, a zmarło 519 tys. Niespotykany w historii rozdzźwięk między zgonami i urodzeniami można zilustrować zniknięciem z powierzchni kraju 188-tysięcznego miasta (np. Kielc lub Gliwic). Ogromny wzrost śmiertelności nie był spowodowany tylko wirusem SARS-CoV-2, lecz przede wszystkim (piszę to z pełną odpowiedzialnością) zapaścią opieki zdrowotnej wskutek decyzji władz.

Ale zapaść demograficzna nie pojawiła się nagle. Według prognozy ONZ w roku 2050 ludność Polski, z obecnych 38 mln, spadnie do 29,5 mln, a w 2100 r. ludność Polski skurczy się do 13,7 mln. Przy optymistycznych prognozach zakładających wzrost dzietności do 1,6 dziecka na kobietę będzie nas 17 mln.

Nie trzeba być ekspertem, by stwierdzić, że zapaść demograficzna związana jest z kryzysem rodziny, bo najlepszym miejscem, gdzie przychodzi nowe życie, jest właśnie trwała, bezpieczna i silna rodzina. Zatem najwyższy czas, by powstał profesjonalny instytut badawczy, naukowy, będący także rzeczniczką rodzin, który zajmie się sprawą odbudowy demograficznej i potraktuje to jako priorytet bezpieczeństwa narodowego. ©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Krzywdzenie Stefana

Było śmiesznie, że chce, chce, chce, ale nie jest. Dzisiejsza sytuacja jest taka: prokuratura może skutecznie skompromitować i ubrać opozycyjnego polityka, a sąd go całkowicie oczyścić. Polska. Napisałem „dziś”, bo wyrok uniewinniający Stefana Niesiołowskiego jest nieprawomocny, więc wiele może się wydarzyć. Niemniej to, co się stało, już się stało.

Zastrzegam, że nie wiem, kto ma rację, i nie wiem komu wierzyć – czy prokuratorze, czy sądowi. Powiem nawet, że pewnie do końca się nie dowiemy, bo cały proces toczył się z powodu specyfiki za zamkniętymi drzwiami, niemniej wydarzenia się wydarzyły, a sam Niesiołowski pożegnał się przez oskarżenie z polityką. Sprawa jest i będzie komentowana, była i będzie głośna. Powiem, że na pewno zaufanie obywatela do państwa dzięki niej nie poszybuję... No właśnie, może to jest kluczowe, po raz kolejny okazuje się, że nie możemy ufać własnemu państwu.

Według prokuratora Mariusza Jaworskiego Niesiołowski miał brać łapówki od biznesmenów w postaci usług seksualnych. Niezła historia, bo Stefan miał już swoje lata. Do mediów wyciekały pikantne szczegóły, że miał od tych gości żądać nie tylko dziewczyn, lecz także fasolki po bretońsku i takie tam. Najgorsza ta fasolka. Jaworski twierdził, że dowody są pewne, ale Niesiołowski utrzymywał, że w ogóle nie zna koleś,

a sprawa to wymysł i polityczna prowokacja. Uniewinniający wyrok sądu w Łodzi to niezły pstryczek w nos dla Prokuratury Krajowej i CBA, które zajmowało się sprawą. Gdyby okazało się, że Stefan „niewinowaty”, no to mamy gotową receptę, jak załatwić polityka. Będzie apelacja. Zobaczymy.

Ponieważ w kraju szaleje inflacja, ludzie martwią się o węgiel, ceny paliwa i gazu, Sejm zajmował się aborcją. Aborcja jest zawsze dobrym tematem dla polityków, którzy akurat nie dostrzegają ważniejszych tematów. Projekt zmian prawa aborcyjnego prezentowała Marta Lempart. Ta duża od „j...ć”, „wypier...ć” i błyskawic. Sama Lempart publicznie opowiada, że jest lesbijką, co dla jednych w kontekście jej zainteresowania aborcją jest zdumiewające, a dla innych szalenie zdumiewające. Projekt nie przeszedł.

Trwa zmasowany lewopad na podręcznik „Historia i teraźniejszość” Wojciecha Roszkowskiego. Siły postępu nie mogą zwyciężyć wielu sformułowań w nim zawartych i w ogóle konserwatywno-patriotycznego spojrzenia na świat. No jak zgodzić mieliby się z autorem niemoluby, skoro w podręczniku są np. takie kwiatki: „Niemcy zostały co prawda pokonane, zniszczone i podzielone, jednak zatrzymały wiele z zagrabionych ruchomości wywiezionych podczas wojny”. No przecież z tego wynika, że to złodzieje. Podręcznik polecam. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Moje **votum** separatum

Małgośka, mówią mi, człowiek to taka bestia, która do wszystkiego się przyzwyczai”. Tak odpowiedziała mi pewna zakonnica na pytanie, jak wytrzymuje upał w czarnym habicie. To była zabawna riposta w ustach drobnej, ujmującej dobrocią zakonnicy, ale gdy przenieść ją do naszej rzeczywistości, to jest to dobitne podsumowanie naszej mizernej kondycji ludzkiej. Niestety „bestialsko” przyzwyczajamy się też do masakry wojennej tuż za naszą granicą, bo to nie nasze dzieci drepczą po ruinach, szukając matek, to nie polskie kobiety znajdowane są w lasach powieszane i zgwałcone, to nie nasz Nowak ginie co 15 minut na froncie i nie nasze psy skowyczą na zgłiszczach domów. „To takie nieżyciowe, wciąż myśleć o śmierci” – napisał jakiś aforysta i trzeba przyznać, że nas przejrzał.

„Cóż ja mogę?” – mówimy sobie, włączając rano ekspres do kawy i czytając, jak minął 118. dzień agresji na Ukrainę. Czasem zrobimy kolejny przelew na uchodźców, żeby sumienie nam nie rzeziło, a „poza tym jak zwykle handel i kopulacja” – jak pisał Pan Cogito. Oczywiście ja też mijam roześmiane Ukrainki, które spacerują, jak gdyby nigdy nic, ale ja mogę się rozliczać tylko z mojego sumienia i ewentualnie zapytywać o sumienie mego narodu. Garstka prawych i rozumnych nie zastąpi Herberta, którego

dotkliwie brakuje, aby skomentować nowe dramaty i naszą hańbę domową, z opozycją w roli głównej. Przyznam, że bardzo często szukam porady u Pana Cogito, zwłaszcza gdy mój wewnętrzny głos zaczyna chrząkać na dźwięk opinii niektórych moich kolegów z łamów (a wielki to zaszczyt pracować dla redakcji, w której zawsze dozwolony jest wielogłos). Nie można Herberta zamykać w biblioteczce, trzeba mu użyć własnej krwi i głosu. Jeden z najpiękniejszych wierszy dedykował walczącym i osamotnionym Węgrom, którzy wtedy w 1956 r. też zebrawali o pomoc Amerykanów. Może gdyby jakiś Ukrainiec odczytał Orbánowi ten wiersz Herberta na głos – wróciłaby Węgrom pamięć? A może i sumienie.

Rodakom i kolegom z obozu realistów chciałabym zadedykować krótką frazę z „Węzła gordyjskiego”: „Chłodny intelekt troskliwie chroni od błędów i z równą skrupulatnością – chroni od natchnienia”. Natchnienie – dodajmy – bywało na polskiej ziemi zazwyczaj dobrze wymodlone. I zbawienne dla nas. Pisał też Pan Cogito o postawie wyprostowanej, notując, że „w mieście wybuchła epidemia instynktu samozachowawczego”... Dlatego ufam, że w przeciwieństwie do Budapesztu czy Paryża w mojej Warszawie nigdy ów instynkt nie wygra z „włóknami duszy i chrząstkami sumienia”. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

O nagrodzie imienia donosiciela...



JOANNA SIEDECKA

Ja nie czytał, no znaju – mówili atakujący Borysa Pasternaka za wydanego na Zachodzie „Doktora Żywego”. Podobnie jak Michał Rusinek, halabardnik nie tylko nieskazitelnego wizerunku Wisławy Szymborskiej, lecz także jej byłego męża Adama Włodka – marnego poety, stalinowca, donosiciela, tłumacza „Suliko”, ukochanej pieśni Stalina, a mimo to patrona literackiej Nagrody Młodych, przyznawanej przez fundację noblistki, której Rusinek prezesuje. Po moim felietonie o Włodku („Suliko”, „Do Rzeczy” z 24 kwietnia) 13 maja w „Gazecie Wyborczej” w tekście „Szymborska o »jedynej prawdzie«. Siedlecka o najczarniejszym charakterze” pouczył mnie oraz nieżyjącego już Sławomira Mrożka, że nie powinniśmy pisać o Włodku jako o donosicielu, „skoro, jak dotąd, odnaleziono tylko jeden jego donos, czasownik »donosić«, którym się posługujemy, jest niewłaściwy, insynuuje bowiem czynność powtarzaną wielokrotnie”. A przecież, zaraz po wypłynięciu rzekomo jednego tylko donosu Włodka, w „Do Rzeczy” nr 1/2013 napisałam tekst „Donosiciel po sąsiedzku” o odnalezionych przeze mnie dwóch jego donosach kolejnych – na Kisiela, sąsiada Włodka z Domu Literatów przy Krupniczej. Nieznajomość mego tekstu z popularnego, opiniotwórczego tygodnika kompromituje nie tylko prezesa Rusinka, zwłaszcza że lubi pouczać innych, lecz także całą fundację. Wiedza o patronie nagrody to jej obowiązek i dawno powinna zlecić IPN kwerendę na jego temat.

Informuję ją więc, że oba donosy Włodka, złożone na UB o osobie, pochodzące z akt sprawy na Kisiela (sygnatura 010/80879) wytoczonej mu za „wrogą działalność na odcinku literatury”, są wyjątkowo szkodliwe i obrzy-

dliwe. Pierwszy, z 3 grudnia 1952 r., dostarczył UB wiele cennych informacji, które miały pomóc w niszczeniu „figuranta”, np. o miejscu pracy zatrudnionej nielegalnie żony Kisiela, o nadużywaniu przez niego alkoholu (choć sam Włodek za kołnierza nie wylewał), o publicznej krytyce głupiego, jak mówił, Stalina, za co to właśnie Włodek domagał się od Związku Literatów usunięcia Kisielewskich z trojgiem dzieci z domu przy Krupniczej (uratowała ich samokrytyka Kisiela).

Drugi z donosów złożył 7 września 1955 r., w odwilżowej już atmosferze. Informował o: poglądach krakowskich literatów Lema i Filipowicza, grupie rozwiązanej „Tygodnika Powszechnego”, Turowiczu w nędzy, Kisielu montującym liberalne pismo, nazwiskach jego współpracowników, np. Pawła Hertza. Tym razem uratował Kisiela Październik ’56.

Przekonując, że Włodek nie jest czarnym charakterem, prezes Rusinek nie tylko nie zna (albo udaje, że nie zna) wszystkich jego donosów, lecz także fałszuje i bagatelizuje ten pierwszy, jedyny według niego, donos na Macieja Słomczyńskiego, bo „dotyczył spraw powszechnie w środowisku znanych, omawianych na zebraniu partii” i słowem się nie zająknął, że to Włodek tę sprawę tam postawił. Donosił bowiem do partii i na UB o wymyślonym przez niego rzekomym szpiegostwie przyszłego tłumacza „Ulissesa” na rzecz zachodniego wywiadu. W apogeum stalinizmu były to zarzuty narażające Słomczyńskiego na więzienie i to wtedy UB osaczyło go, na szczęście na krótko.

Wybielając donosiciela, lekceważy też Rusinek cytowany przeze mnie głos byłego podopiecznego Włodka, Sławomira Mrożka, który zawsze

widział więcej niż stado i w swoim „Baltazarze” nie przedstawił go jako opiekuna kół młodych, ale szkół janczarów, donosiciela, wpływowego naganiacza młodych do partii, autora tekstów o Nowej Hucie, który kupował ich pokojami w domu przy Krupniczej, posadami, drukiem. Chwalił za to Rusinek kolektywną „Godzinę dla Adama”, choć jest typowym, jak nazywają ją Niemcy, „festschriftem” – zbiorem hagiograficznych laurów, pisanych z okazji czyjegoś jubileuszu czy śmierci. Autorami większości z nich są osoby nieznane, a także była żona, Wisława Szymborska, i dwie jego partnerki: Ewa Lipska i Grażyna Dobrzeńko, bo na poetęcki parnas pomagał dostać się głównie ładnym debiutantkom.

Brak tu informacji, że po Październiku ’56 kół młodych zlikwidowano (choć wrócili w zmienionej postaci), a Włodek przepędzono jako symbol stalinizmu. Nie pomogło koniunkturalne wystąpienie z partii – przekreślali się wtedy niemal wszyscy.

Gdy po ujawnieniu przeszłości Włodka z udziału w nagrodzie wycofał się Instytut Książki, Fundacja Szymborskiej finansuje ją sama i teoretycznie może nagradzać wysoką (zwłaszcza dla młodych) sumą 50 tys. zł, kogo tylko chce. Czy jednak rzeczywiście? Czy może lekceważyć zupełnie opinię publiczną? Obecny jest wciąż w Internecie protest przeciw niemoralnej nagrodzie imienia konfidenta. Nie brak w nim przykrych słów nie tylko pod adresem jej patrona i sobiepanów z fundacji, lecz także samej Szymborskiej, a hałasu unikała. Choć zdaniem prof. Jadwigi Staniszkis to jej ostatni, ponury żart – wiedząc o przeszłości męża (co Rusinek potwierdził), laureatom nagrody jego imienia odebrała prawo do osądzania wszystkich kolaborujących z reżimem stalinistów, również jej samej. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czasami w westernach pojawia się okrzyk: „STAWIAM WSZYSTKIM” – byłem ciekaw, jakie to uczucie, co się wtedy dzieje i ile to kosztuje, gdy stawiasz kolejkę grupie 300 osób. Postawiłem wszystkim w naszym barze. Była sobota i ludzi full.

Barman nachylił się do mnie uśmiechnięty od ucha do ucha. Wiadomo – zarobi, to się uśmiecha. Też bym się uśmiechał na jego miejscu. Ale on się uśmiechał z całkiem innego powodu.

– Gringo, dobra robota. Nie przejmuj się, nie zbankrutujesz – powiedział. – Gdy ktoś stawia wszystkim, wówczas nikt nie wybrzydza i pije, co dają, czyli ja mogę pociągnąć hurtowo i... tanio.

Mruknął do mnie, wskoczył na bar i zaczął wyć jak stado kojotów. Reszta towarzystwa zaczęła wyć tak samo jak on i potem do północy nie było chwili ciszy.

Stał na barze z flaszka pod pachą i wrzeszczał na całe gardło:

– Gringo, podaj pierwszą stówę!

Otworzyłem portfel, podałem, bo już nie miałem odwrotu, a barman zawołał:

– Cygara na mój koszt! Komu przypalić?

Kilka osób wzięło sobie po cygarze z pudełka na szynkwasię. Poodgryzali końcówki, wypluli na podłogę i wyli z radości. Barman podał im ogień moją studolarówką.

Miał rację – tego dnia nie zbankrutowałem i byłem zaskoczony, jak mało mnie to wszystko kosztowało. To była prosta, zdrowa, kapitalistyczna ekonomia – żadnemu z nas nie zależało na tym, żebym został bankrutem, bo bankrut nie jest dobrym klientem na przyszłość.

Przyleciałem do Polski. Patrze, a tu władza stawia



wszystkim. Różnica polega na tym, że ja stawiałem za swoje, a oni stawiają za cudze. Widziałem w telewizji kilka wystąpień premiera, który był uradowany, rozdając bony turystyczne i inne nie swoje prezenty. Jego w ogóle nie interesuje, czy prywatni przedsiębiorcy zostaną bankrutami.

Cytat: „Nie ma czegoś takiego jak publiczne pieniądze. Jeśli rząd mówi, że komuś coś da, to znaczy, że zabierze tobie, bo rząd nie ma żadnych własnych pieniędzy”. Margaret Thatcher (1925–2013).

Człowiek uczciwy powinien cudze pieniądze wydawać dużo bardziej ostrożnie niż własne. Premier RP powinien przepraszać publicznie za każdą wydaną złotówkę, powinien się z każdej tłumaczyć: „Zabrałem wam przymusowo tyle i tyle, a teraz pokazuję i objaśniam, dlaczego to zrobiłem”.

A czy on wytłumaczył, dlaczego kupował wadliwe maski i woził je najdroższym samolotem transportowym świata? Czy w zeszłym tygodniu – po ujawnieniu przez firmę Pfizer dokumentacji dotyczącej „szczepionek” – premier RP wystąpił o zwrot pieniędzy i odszkodowania? Czemu go to nie obchodzi, że mu sprzedali preparaty o skuteczności 12 proc. w pierwszym tygodniu oraz poniżej 1 proc. w tygodniach kolejnych? Nic nie robi w tej sprawie, bo to nie była jego farsa? Kurde balans, ale to była nasza farsa! Ja wiem, że on wolałby być miłutki i w dobrych stosunkach ze wszystkimi na świecie, ale są granice. Zgłosił się do BRUDNEJ roboty, jaką jest polityka, to niech się teraz ubrudzi. Nie można się stale uśmiechać, gdy nas ktoś rypnął na kasę.

Ja chcę, by premier RP był jak ochroniarz na bramce – ma nas bronić, czyli czasami powinien dać komuś w pysk, a przynajmniej skutecznie grozić, że da. Orbán – można go nie lubić, można się z nim nie zgadzać, ale on JEST ochroniarzem swego kraju. Podobnie Erdoğan. Nawet taka NRD-owska działaczka komunistyczna i kumpela Putina jak Merkel była ochroniarzem swego kraju. A w Polsce? Nie ma nikogo, kto się postawi? Albo pudel niemiecki, albo amerykański, albo unijny. A nam trzeba buldoga, nie pudła.

Do analizy politycznej potrzebny jest kalkulator. Niezależnie od twoich przekonań, niezależnie od tego, czy jesteś po mojej stronie czy po lewej – policz. Matematyka nie kłamie, liczby nie są lewicowe ani prawicowe. W matematyce jesteśmy po jednej lub drugiej stronie równania: my tu płacimy podatki, a oni tam wydają naszą forszę.

WYDATKI KANCELARII SEJMU:

2013 r. – marszałek Radek Sikorski z PO wydał 408 mln;

2015 r. – marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska z PO wydała 458 mln;

2018 r. – marszałek Marek Kuchciński PiS wydał 591 mln.

Dalej nie liczę, bo dane nie pewne, a te wystarczą, by zrozumieć, co się dzieje: trzy spore przedsiębiorstwa pracowały przez cały rok na utrzymanie tej jednej kancelarii.

Socjalizm nigdzie nie wyszedł – to zdanie prawdziwe, ale mało kogo przekonuje. Padają argumenty, że może

i nie wyszedł, ale nie wolno porównywać krajów typu Kambodża, Kuba i Wenezuela z Europą, gdzie są całkiem inne warunki.

Jest jednak pewien przykład europejski. Eksperyment przeprowadzony zgodnie z zasadami naukowymi, przeprowadzony na tym samym narodzie w tym samym kraju i w bardzo długim okresie obejmującym trzy pokolenia. Po drugiej wojnie światowej Niemcy podzielono na dwa kraje – RFN i NRD. Po stronie zachodniej budowano kapitalizm i rosło bogactwo oraz potęga gospodarcza. Po stronie wschodniej – socjalizm. Ten sam naród, język, ta sama kultura, ten sam punkt startowy – obie połowy zrujnowane po wojnie.

Strona wschodnia – socjalistyczna – w krótkim czasie została zniewolona i ludzie masowo chcieli stamtąd uciekać. Aby tego nie robili, władza postawiła mur berliński i odebrała paszporty. Po kilkudziesięciu latach eksperyment zakończył się bankrutem części socjalistycznej.

Po stronie zachodniej powstawały mercedesy i bmw, po stronie wschodniej: smrodliwe trabanty – zacofane technologicznie samochodziki. Ci sami Niemcy, ta sama myśl techniczna, ale dwa różne systemy gospodarcze i społeczne. Gdyby ktoś porównał drogi w RFN i NRD, to też widział gołym okiem – w socjalizmie dziury i nie opłaca się naprawiać, w kapitalizmie – najlepsze (wtedy) drogi w Europie, tak dobre, że nie było na nich ograniczeń prędkości.

Niestety, dziś Niemcy po obu stronach mają skłonność do socjalizmu i wybierają rządy socjaldemokratyczne. Polska to samo.

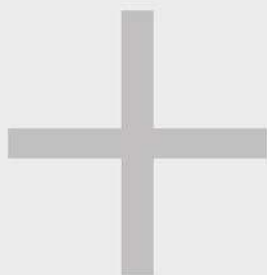
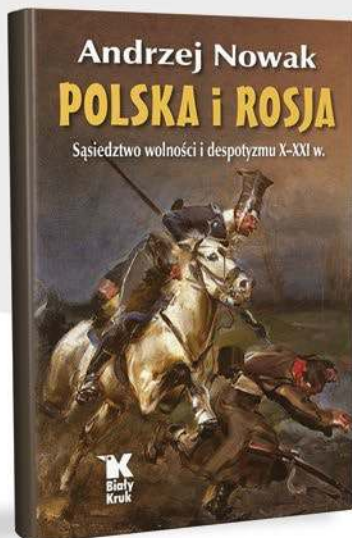
Socjalizm zawsze prowadzi do biedy, bo: „Problem z socjalizmem polega na tym, że kiedyś kończą ci się cudze pieniądze” – M. Thatcher. © ©

FOT. W. CEJROWSKI/LUDJARD/AV. SCOSINSKI

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~963 ZŁ~~

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ANDRZEJ NOWAK

„POLSKA I ROSJA. SĄSIEDZTWO
WOLNOŚCI I DESPOTYZMU X-XXI W.”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

346,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 617 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e3dd7d64fc



Banknot kolekcjonerski NBP upamiętniający
Prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego

Najlepszym Banknotem Kolekcjonerskim 2021 roku



*Lech Kaczyński.
Warto być Polakiem*

